BIBLIOTEKA PISARZY POLSKICH.

TOM LXII.

PAMIĘTNIKI

KASZTELANA NARCYZA OLIZARA.

DWIE CZĘŚCI RAZEM.

Centralna Biblioteka Miejska w Katowicach
B. 450

LIPSK:
F. A. BROCKHAUS.
—
1871.

Zbiory specjalne

1547583

BIBLIOTEKA UNIWERSYTECKA
im. Jerzego Giedroycia w Białymstoku
FUW0176505

D-271/84

PRZEDMOWA WYDAWCY.

Jedną z tych postaci żelaznych, schodzącej ze sceny europejskiego życia nieszczęsnej Polski, jakie niby meteory jej ostatniej siły, jako filary podpory razem z całą budową niezwalczone runęły, by pogrzebać raczej wielkość swą w gruzach istnienia, niżeli ugiąć się pod brzemieniem ciężaru niewoli, byłby zaiste kasztelan Narcyz Olizar, gdyby nie okoliczności, które mu los inny zgotowały.

Hrabia Narcyz Olizar, pomimo iż stanowiskiem i majątkiem liczył się na Wołyniu do klasy magnatów, klasy przez niego samego ironicznie oznaczonej, był on przecie Polakiem starej daty co do obchodzenia się z wyższymi i równymi ludźmi, a nowatorem przez wysokie wykształcenie i ogładę z niższymi. Nie znaleziono w całej okolicy właściciela, któremuby włościanie więcej byli oddani, jak w dobrach jego, i którzy tyle dowodów przywiązania oddali jemu i familji jego w chwilach prześladowania, wyszukując ukrywające się kobiety

Zbiory specjalne

450

1547583

BIBLIOTEKA UNIWERSYTECKA
im. Jerzego Giedroycia w Białymstoku
FUW0176505

D-271/84

PRZEDMOWA WYDAWCY.

Jedną z tych postaci żelaznych, schodzącej ze sceny europejskiego życia nieszczęsnej Polski, jakie niby meteory jej ostatniej siły, jako filary podpory razem z całą budową niezwalczone runęły, by pogrzebać raczej wielkość swą w gruzach istnienia, niżeli ugiąć się pod brzemieniem ciężaru niewoli, byłby zaiste kasztelan Narcyz Olizar, gdyby nie okoliczności, które mu los inny zgotowały.

Hrabia Narcyz Olizar, pomimo iż stanowiskiem i majątkiem liczył się na Wołyniu do klasy magnatów, klasy przez niego samego ironicznie oznaczonej, był on przecie Polakiem starej daty co do obchodzenia się z wyższymi i równymi ludźmi, a nowatorem przez wysokie wykształcenie i ogładę z niższymi. Nie znaleziono w całej okolicy właściciela, któremuby włościanie więcej byli oddani, jak w dobrach jego, i którzy tyle dowodów przywiązania oddali jemu i familji jego w chwilach prześladowania, wyszukując ukrywające się kobiety

i dzieci, aby je wspomagać, strzedz od napadu nieprzyjaciela, gdy powątpiewano o ich uczuciach. — Ale nie można było w nim znaleźć tej staropolskiej, jeżeli słabo nazwę, prostoduszności w dziwnem z dumą połączeniu — i owszem ogłada francuska całkowicie ród ten przesiąkła, nie naruszając uczuć serca, rugując z umysłu jedynie przywary i zdobiąc go bystrością nowego pojęcia miłości ojczyzny. Jednem słowem, hrabia Narcyz Olizar uczynił to, coby wszyscy prawi magnaci uczynić wonczas powinni: oświatę zachodnią przyjął i ugruntował na potrzebach krajowych, na polskiem sercu, na miłości swej starej ojczyzny.

Z tego powodu należał on, jeden z pierwszych, do towarzystwa Kosynierów; gdy zaś naczelnik jego wpadł w szpony wroga, wybrany został naczelnikiem na Wołyniu i przeprowadził organizację powstania tamtejszego, niestety słabej próby siły, zniszczonej przez nieoględność głównych przewódzców z poręki istniejącej wówczas siły narodowej cywilnej i zbrojnej w Zamościu.

O ile było w stanie człowieka zdolnego, zręcznego i oględnego, kasztelan Olizar prostował te ciągłe błędy, wstrzymywał wywołane przez nie straty, szczędził nieoszacowanej krwi młodzieży, niepotrzebnie z powodu lekkomyślności wszelakich raportów, narażanej — aż wreszcie, wyczerpawszy wszelkie zasoby własnego taktu, rozwiązał organizację, której nerwu życia nie wewnątrz, ale zewnątrz, to jest przez nadużycie onego, zabrakło. Kiedy praca jego tak smutny koniec otrzymała, starał się usunąć z pola dawnej czynności przez ucieczkę, jaka nieszczęściem się nie udała, powodując długi czas

niewoli i więzienia, aż do chwili powtórnego ujścia żelaznego ramienia wroga.

Nawet i w chwili, kiedy te słowa z pod pióra wypływają, nie ma zgody między nami, a cóż dopiero między sąsiady naszymi i europejskiemi narody, co do przyczyn upadku Polski — nie ma jej takoż co do środków odzyskania niepodległości zewnętrznej. Ale niezawodnie rozświeca ten chaos uwaga, że gdyby wszyscy Polacy, szczególnie tak zwani magnaci nasi, postępowali wedle zasad honoru i prawości, gdyby wszyscy tak szczerze i bezoględnie wypełniali powinność syna ojczyzny, jak ci szlachetni mężowie, powstań podpora, do których zaszczytnie kasztelana Narcyza Olizara liczyć się powinno — nie byłoby potrzeby odszukiwać przyczyn upadku Polski, a tem mniej dróg onej postawienia, odbudowania. Jedność dążeń i czynów, zgoda — oto siła narodów — różność i niezgoda, oto potępienie i przekleństwo, rozproszenie na przykrą tułaczkę, poniżenie, męki . . . .

W tych strasznych chwilach upadku narodu jest głównem schronieniem jego tętna żywotnego, jego ziarna sił na przyszłość — historja, dzieje ojczyste. Pamiętniki kasztelana Olizara są ziarnkiem do tego spichrza naszego żywota.

Z powodu zachodniej ogłady bohatera naszego, oraz przebywania między obcymi, dla których głównie ten obraz swej niedoli i uczuć skreślić zamierzał, napisane one były po francuzku — a tu podają się tylko w przekładzie w myśl autora wykonanym.

Napisane one są bez najmniejszej pretensji, pra-

wdziwie skromnie, z wyznaniem najszczerszem gołej prawdy i potępieniem własnego sposobu zapatrywania, gdzie szlachetny charakter tego męża wedle swego późniejszego wyrozumienia błąd jaki odkrył. Otwartość owa pociąga nadzwyczaj serca ku opowiadającemu i uczuć daje wyższość jego nad tylu innymi pisarzami tego rodzaju.

Widać z tego opisu jasno, iż autor najchętniej dla punktu honoru poświęciłby wrogom na pastwę osobę swoją i nie szukał usunąć się z ich żelaznych uścisków, ale pozostać na miejscu, jako ostatni szczątek oporu przemocy, aby upaść i zagrzebać się na gruzach ojczyzny. Ale jedno szlachetne uczucie zwycięża to postanowienie wszędzie — uczucie poświęcenia, przywiązania i miłości. Poświęcenie się jego nakazuje zachować życie nadal, wolne od prześladowań i przymusu, aby resztki jego zużytkować na pracę około odbudowania podstaw, na których przyszłość Polski wzrosnąć powinna. Przywiązanie do małżonki i rodziny, troskliwość o ich przyszłe istnienie, nakazuje mu unieść to życie w miejsce bezpieczne, aby nie zostawić istot drogich sercu jego na łasce obcych, w nieutulonym żalu. A gdy nadchodzą chwile zwątpienia, w których obawa o honor, o szczęście rodaków, o to życie najmilszej rodziny, zwycięża wszelkie inne uczucia — gotów on jest natychmiast to życie własne poświęcić — i czynem to stwierdza.

Pan Bóg czuwał nad nim, nagradzając mu prawość jego i wybawił go od wielu nieszczęść, od wielu postaci śmierci, aby mógł żyć nadal, choć w oddaleniu,

na łonie tych istot, które ukochał — aż do ostatniego wszystkim kresu.

Pamiętniki więc kasztelana Narcyza Olizara, spoglądając na nie ze stanowiska „Biblioteki pisarzy polskich“, wchodzić muszą w jej skład koniecznie. Są one niejako dalszym ciągiem Pamiętników nestora naszego Juljana Ursyna Niemcewicza; a raczej, nie obejmując całego obszaru wypadków krajowych, są rzeczywiście cząstką tego dalszego ciągu, tej ostatniej tragedji oporu uorganizowanej siły narodowej. Ze stanowiska i poglądu dzisiejszego naturalnie znajdą się zestarzałe poglądy — nie poglądy na samą sprawę, tylko na zaborców naszego kraju. Były to czasy, w których pomimo ciemnoty północy, wróg nasz główny nie mógł wszędzie z taką wyrachowaną bestjalnością przeprowadzić zasady pastwienia się nad nami. Znalazł on na swej drodze własnych służalców, którzy stali się, ich sercem i honorem, nieprzebytą zaporą podłych zamysłów. Z tego powodu była sposobność jeszcze podziwiania dobrych chęci i czynów urzędników rosyjskich. To też nasz autor Pamiętników oddaje sprawiedliwość tej szlachetności. Będzie obraz ten, przez wspomnienie na uczucia Rosjan, ważną przestrogą dla nich w czasach dzisiejszych — bo niech porównają obchodzenie się ówczesne z patrjotami polskimi, z obchodzeniem dzisiejszem, datującem szczególniej od ostatniego naszego powstania. Czytając te pamiętniki i pochwały oddane sprawiedliwości, należy pomnieć, iż wonczas właśnie dopiero co przelano krew własną w Petersburgu, męczenników za wolność ludu, a setki dobrze myślących

rodaków rozesłano w głąb Sybiru po puszczach i dziczach lodowatych. Uczucia słuszności dla narodu dążącego do własnego istnienia, nie mogły wtenczas obudzać w sercach prawych Rosjan odrazy lub zemsty, albowiem w łonie ich własnej ojczyzny rozwijały się one i mnóstwo tajnych towarzystw szczepiło u siebie też same co i Polacy idee. Poglądając ze stanowiska dzisiejszego na ówczesne obrazy, jakąż nam się one w pierwszej chwili ironją wydają, w stosunku do rozbestwienia uczuć moskiewskiego szczepu, których tak straszne przykłady lata 1863, 64, a tak brudne obrazy reszta lat aż do dnia dzisiejszego, przedstawiają. Cywilizacja dzisiejszego czasu nie tylko zaszczepiła się w kraju, dawniej sławiańskim, dziś i tej zaszczytnej nazwy nie wartym, ale obudziła przez zazdrość, nienawiść tak głęboką, tak bezwzględną i tak bezczestną, iż się owe chwile pierwszych walk o byt narodu polskiego z napaścią Moskwy, wydają niby chwile szlachetnej uprzejmości w nieszczęściu, pomocy narodu przeciw brutalstwom monarchji, przeciw rządowi despotycznemu. Do tego to stopnia zapomnienia, upojenia w niesprawiedliwości zepchnięty został naród moskiewski, zgubnym systemem demoralizacji z Katkowami i tym podobnymi podżegaczami na czele! Przyszłość pokaże, czy Moskwa siebie samą, czy też nas gnębi, mordując Polskę — bardzo blizka przyszłość!

Dowodem drugim szczególnej otwartości i prawości pisarza Pamiętników jest szkic udziału jego w powstaniu wołyńskiem. Niepodobna mu nic innego zarzucić, jak chyba to, do czego się nie przyznaje — to jest

braku pochwały. Wszystko i wszędzie uważa on być świętym obowiązkiem, więc rzeczą arcynaturalną i konieczną.

Zaprawdę, gdyby ostatnie chwile żywota narodowego Polski pod Stanisławem Augustem, przy forytowaniu przezeń obczyzny, i miłość kraju w sercach młodych szczepiły, odrzucając wszelakie zagraniczne brudy i bzdurstwa, jakie niewieściły najlepsze soki męskości — gdyby, jednem słowem, prawdziwy postęp Olizarów rozlał wówczas zbawcze światło swoje na nasze obszary, nie mielibyśmy tak smutnych następstw owego naśladownictwa. Bo głupotą jest potępiać wszystkie nowości zagraniczne, dla tego, że obce, jako głupotą jest wszystkie znowu przyjmować. Pan Bóg dał rozum człowiekowi na to, aby się nim rządził, a nie aby go tracił bez użycia.

„Biblioteka pisarzy polskich“ już wiele dobrych i złych przykładów tej prawdy podała. Znajdzie łaskawy czytelnik w rzędzie jej tomów utwory narodowe treści różnorodnej. Znajdzie się tam wybryk rozhukanego szlachcica i chłopa, wianek głębokich uczuć miłości ojczyzny, poświęcenie bez granic w różnych postaciach — tak staropolski ubiór, jak i francuzkie zwyczaje, idą tam w parze obok, ucząc że nie suknia, nie powierzchowność stanowią człowieka — ale serce!

Niechże ten Pamiętnik możnego pana, ziomka, w którym bracia wszech stanów swą ufność pokładali; arystokraty urodzeniem, a Polaka brata ludu, sercem; ukształconego oświatą zachodu, a z sercem niezepsutem i szlachetnem — niechże i on dostarczy treścią swą

łaskawemu czytelnikowi zajęcia, jakie podniecając miłość ojczyzny, utuli nadzieje postępowej przyszłości, lub też doda materji do rozmyślań, do naśladowania — do przekazania czynem potomności.

Tej nagrody oczekiwał autor, tłomacz i oczekuje

WYDAWCA.

SPIS TREŚCI.

Str.

PRZEDMOWA V

CZĘŚĆ PIERWSZA.

I. Wyjazd z Płocka. — Spotkanie się z Czerkiesami w Rypinie. — Oficer Rozświetajew. — Zabranie papierów. — Zdrada. — Podróż z Rypina do obozu rosyjskiego. — Pobyt w obozie. — Wyjazd do Warszawy. — Powrót z drogi do obozu 1

II. Powtórny wyjazd z obozu do Warszawy. — Książę Chyłków. — Jenerał Prytwicz. — Więzienie na Pradze. — Pułkownik Siewers. — Bystrom 31

III. Pułkownik Czelejew. — Poseł Sabatyn. — Wizyta Kapucyna. — Przeniesienie do Karmelitów. — Wizyty w więzieniu 53

IV. Pani F.... i L.... — List odcięty. — Wysocki. — Mysz. — Wzięcie trucizny. — Pani S.... — Ks. J.... — Poseł Augustowski. — Poświęcenie się oficera rosyjskiego 71

V. Wychodzenie z więzienia dla widzenia żony. — Jej przygody na Wołyniu. — Jej podróż do Warszawy w przebraniu włościanki. — Indagacje u Karmelitów: Fałęski, Pokięskowski. — Wywiezienie od Karmelitów do Żytomierza 102

VI. Przybycie do Żytomierza. — Marszałek Lenkiewicz. — Wyjazd do Kijowa. — Feldmarszałek Sacken, gubernator Łaskarew. — Powrót do Żytomierza. — Gubernator Korsakow i jego żona. — Uwolnienie. — Nowe potępienie. — Uwięzienie w klasztorze Bernardynów w Żytomierzu. — Ucieczka z tego więzienia. — Przybycie do Galicji. — Wyjazd do Karlsbadu. — Przybycie do Francji 123

CZĘŚĆ DRUGA.

Powstanie na Wołyniu 159

PAMIĘTNIKI

KASZTELANA NARCYZA OLIZARA.

(CZĘŚĆ PIERWSZA.)

1831.

I.

Wyjazd z Płocka. — Spotkanie się z Czerkiesami w Rypinie. — Oficer Rozświetajew. — Zabranie papierów. — Zdrada. — Podróż z Rypina do obozu rosyjskiego. — Pobyt w obozie. — Wyjazd do Warszawy. — Powrót z drogi do obozu.

Wojska rosyjskie zalały już były Polskę, kiedy Sejm zgromadził się w Płocku. Podczas ówczasowego stanu rzeczy nie można było myśleć o przedłużeniu wojny. Wszakże Sejm nie rozpaczał o ojczyznie. Uważał on za pierwszą powinność zachować się na koleje przyszłości i unieść na obcą ziemię złożony w sobie majestat narodowy i czuwać nad losem kraju, który na chwilę wolny, powierzył go jego patrjotyzmowi. Słusznie spodziewano się, że przyjdzie czas, kiedy narody wstyd uczują za opuszczenie haniebne przedniej straży północnej; kiedy zawiedziona w swojej rachubie polityka żałować będzie bezwstydnego poświęcenia Polski, jeśli nie żądzy, to przynajmniej nadziei pozyskania przyjaźni rosyjskiej, i że wtedy Sejm, zachowawszy nietykalną istotę i godność swego charakteru, mógł będzie działać i przemawiać w imieniu narodu polskiego z przekonaniem służenia mu użytecznie, z pewnością jego przyzwolenia i posłuszeństwa. Postanowił więc przenieść się za granicę i uchwalił komplet prawny trzydziestu trzech członków.

Przyrzekłszy sobie zjechać się w Krakowie, rozstaliśmy się w nadziei bliskiego widzenia i każdy z nas myślał, jak podróż tę przywieść do skutku. Jedni rozjechali się poje-

dyńczo, inni w kilku, reszta trzymała się wojska cofającego się do Prus. Co do mnie, wyjechałem z Płocka dnia 23. września 1831 r. około drugiej po południu w towarzystwie pana Wincentego Niemojowskiego*), który mi ofiarował był miejsce w swoim powozie. Służący mój odjechał był kilkoma godzinami pierwej z moimi końmi wierzchowymi i z mojemi rzeczami; nie wiem dotychczas co się z nim stało.

Po trzechletniej ciężkiej chorobie nie przyszedłem był jeszcze do zdrowia, kiedy nasze powstanie wybuchnęło. Prace i niespokojność w czasie wojny nie dozwoliły mi wyzdrowieć, a kiedy klęski nasze zmusiły mnie opuścić nieszczęśliwą ziemię ojczystą, srogie troski moralne połączyły się z cierpieniami fizycznemi. Jaki los spotka moją ojczyznę, moją rodzinę! Moją ojczyznę, dla której wszystko poświęciłem! Moją rodzinę, tak kochającą i kochaną, tak szczęśliwą, nim dla sprawy ojczystej naraziłem jej pomyślność, jej bezpieczeństwo! Te myśli rozdzierały mi serce; wpadłem w gorączkę, potrzebowałem nieco spoczynku, ale ponieważ niepodobna mi było odwlekać wyjazdu, nie chciałem się pozbawić towarzystwa pana Niemojowskiego — i pojechaliśmy razem.

Zaledwie ujechaliśmy milę, kiedy straciłem prawie przytomność, kiedy sen mój stał się marzeniem gorączkowem. Same widziadła rozpaczy i przeczucia, na nieszczęście wnet sprawdzone, nasuwały się snom moim; widziałem Kozaków, szamotałem się z nimi, byłem w ich ręku, słowem gorączka tak mną miotała, że pan Niemojowski mię przebudził i radził zatrzymać się na przeprzęgu, gdzieśmy właśnie się zatrzymali. Pocztyljon, który wracał drogą, którą mieliśmy przebywać, zapewnił nas, że w tej stronie nie było Rosjan; przyjąłem więc propozycję pana Niemojowskiego i przepędziliśmy noc w domu pocztmistrza. Ten to spoczynek, zresztą tak potrzebny dla mego zdrowia, zgubił nas. Obudziłem się wprawdzie mniej osłabiony, mniej cierpiący, ale droga bezpieczna wczoraj, nie była nią dzisiaj.

*) Minister spraw wewnętrznych, wice-prezes rządu narodowego, zakończył zasłużone życie w Moskwie.

Około południa przybyliśmy do Rypina, drugiej z kolei poczty. Mój towarzysz wysiadł z powozu i w kilka minut powrócił z wiadomością, że w Rypinie są Czerkiesi. Na mnie, co byłem tak osłabiony, wiadomość ta zrazu nie wielkie uczyniła wrażenie; ale wnet widziałem całe niebezpieczeństwo naszego położenia i chciałem się o tem zapewnić, bo mój towarzysz mając słuch mocno osłabiony, mógł źle słyszeć, co mu powiedziano. Wysiadłem także z powozu dla rozmówienia się z pocztmistrzem, ale zaledwieśmy weszli do domu pocztowego, ujrzeliśmy trzech tych barbarzyńców, wychodzących z po za stodoły naprzeciw poczty i zmierzających wprost do naszego powozu. Zaczęli żywo rozmawiać z naszym służącym, pokazując na nasze tłumoki i dotykając ich, a potem weszli na pocztę. Pan Niemojowski przechadzał się zamyślony, jak gdyby go nic nie powinno było niepokoić; ja dla braku sił rzuciłem się na sofę, gdzie zdawałem się odpoczywać. Nasza pozorna spokojność musiała niewątpliwie uderzyć Czerkiesów, ponieważ wchodząc i nim nas zapytali, kto jesteśmy, pozdejmowali czapki i pozdrowili nas z uszanowaniem. Podjąłem się odpowiadać na zapytania, tem bardziej że mój towarzysz mocno nie dosłyszał i ani słowa po rosyjsku nie umiał. Nie uszło mojej baczności wrażenie, jakie na tych ludziach uczyniły nasz powóz i nasza spokojność. Chciałem z tego korzystać i zamiast im odpowiedzieć, sam ich zapytałem, jakiem prawem przychodzą zadawać zapytania podróżnym, którzy zapewne nie mają się czego obawiać, kiedy do podróży swojej używają poczty. Tak zagadnieni po rosyjsku, musieli się zmięszać, bo się oddalili z oznaką większego jeszcze niż pierwej uszanowania, co ich wszakże nie wstrzymało od przyjęcia kilku sztuk monety, które im dałem, mówiąc, aby się napili za nasze zdrowie. Jak tylko odeszli, rzuciłem się znowu na sofę, zmęczony wysileniem się na tę rozmowę.

Zdawało się, żeśmy ocaleni, ale trzeba było odjeżdżać jak najprędzej; prosiliśmy więc pocztmistrza, aby nam spiesznie kazał przeprząść konie. Na nieszczęście nie było koni w tej chwili na poczcie i dopiero za godzinę obiecano nam przeprząg. Za godzinę! W naszem położeniu jakże to długo! W takim razie, mówię, zatrzymajmy konie, któremiśmy

przyjechali i odjeżdżajmy. To mówiąc, spojrzałem na powóz. Jakiż bolesny widok! Powóz już stał sam, bez koni, a pocztyljon już odjechał. Co tu począć? Najmniejsza zwłoka mogła nas zgubić. Prosiłem pisarza poczty, aby pobiegł za pocztyljonem: w kwadrans powrócił z wiadomością, że go nie mógł doścignąć, a tak, co bądź nastąpi, zmuszeni byliśmy czekać.

Tymczasem przyszło do głowy naszemu służącemu porządkować rzeczy, które się znajdowały w naszym powozie. Przez jakąś fatalność wydobył i wystawił na widok przechodzących kapelusz stósowany i szpadę pana Niemojowskiego. Nieszczęście chciało, że właśnie w tej chwili przechodził Czerkies i te, tak rażące wzrok rzeczy, spostrzegł. Jak gdyby mu się w oczach rozjaśniło, pobiegł natychmiast do swoich towarzyszów, opowiedział im co widział i przyszedł do nas z trzema innymi. Tym razem przyszli do pokoju pocztowego w czapkach i zapytali nas tonem hardym, kto jesteśmy. Przyszli zapytywać się o to samo, o co zapytywali nieco pierwej, ale nie był to już ten sam ton, ten sam wzrok, ta sama postawa. Wiedziałem, że trzeba im odpowiadać szybko i nie dać im powodu do najmniejszego powątpiewania; udałem że nie spostrzegam w nich żadnej zmiany i taką samą, jak pierwej odpowiedzią, chciałem pozbyć się. Udało mi się otrzymać od nich tylko więcej grzeczności. Kiedy chciałem od nich wiedzieć, jakiem prawem zadają nam pytania, odpowiedzieli:

— Wielono (kazano).

— Dobrze — rzekłem im — dowiemy się później od waszego jenerała, czy macie rozkaz niepokoić podróżnych na wielkim gościńcu, a na teraz odpowiadam wam, że jesteśmy tutejszymi obywatelami i że wyjechaliśmy z Płocka, bo tam co chwila może być wojna. —

Ponieważ odeszli po tej odpowiedzi, myślałem że na niej poprzestali i że jeszcze raz skończyło się tylko na niespokojności; ale przy drzwiach zatrzymali się, zrobili po cichu naradę, a potem jeden z nich zwraca się ku mnie i pokazując nieszczęśliwy kapelusz, zawsze na koźle powozu na widok wystawiony, rzecze:

— Jesteście wojskowi. —

Napróżno zapewniałem go, co było prawdą, że kapelusz i szpada należą do munduru cywilnego; nic nie mogło ich przekonać. Powiedzieli nam wręcz, że nie mogąc brać na siebie odpowiedzialności i pozwalać nam jechać dalej, muszą o nas uwiadomić swego oficera.

— To — rzekłem — nie może nas zastraszać, bo pokażemy że nie jesteśmy wojskowi; ale to nam zwlecze podróż i sprawi nam nieprzyjemność zostawania tu bez potrzeby.

To mówiąc, brałem się na sposób, zawsze prawie nieomylny, kiedy się ma do czynienia z Moskalami: chciałem, żeby przyjęli pieniądze, ale boleśnie mi było widzieć, że są nieugięci. Nakoniec wyszli do sieni i posłali jednego z pośród siebie po oficera. Korzystałem z ich nieobecności i zniszczyłem moje papiery, co nie trudno mi było uczynić, bo miałem przy sobie tylko paszport, moje nominacje na senatora i na krzyż wojskowy. Towarzysz mój mniej był szczęśliwy, bo zaledwie go namówiłem, żeby papiery zniszczył, oficer wszedł.

W minie tego nowego inkwizytora nie było nic pocieszającego. Nazywał on się Rozświetajew; był to człowiek przystojny, ale cera blada i twarz zużyta, wzrok niepewny i strudzony, podbite oko, znak widoczny niedawnej bijatyki, zapowiadały od razu, że to albo pijak, albo człowiek rozpustny. Jego głos i poruszenia popierały zresztą ten domysł. Wszedł do pokoju nagle, zmierzył nas od stóp do głów i bez najmniejszego powitania zawołał jeszcze przy drzwiach:

— Kto jesteście? —

Zbliżyłem się do niego i powtórzyłem co do słowa to samo, co powiedziałem był jego żołnierzom. Kiedy do niego mówiłem, wpatrywał się we mnie z nieufnością, a na zwiędłej twarzy jego pokazał się uśmiech zimny i szyderski. Kiedym mówić przestał, zawołał głosem dzikim:

— Wasze papiery! —

Właśnie żądania naszych papierów najwięcej się obawiałem, pan Niemojowski miał ich pełne kieszenie. Wszelkie protestacje nic nie pomogły; trzeba było je oddać, bo Czerkies zagroził, że nas każe rozebrać. Ale jak powiedziano,

wszystko na świecie ma stronę śmieszną: i tu zaczęła się scena prawdziwie śmieszna. Kiedy pan Niemojowski papiery swoje już oddał, Czerkies, który ich nigdy tyle razem nie widział, w tak ważnym przypadku nasunął czapkę na uszy, zasiadł przy stole i zaczął wszystkie z kolei papiery na wszystkie strony obracać i oglądać. Po tym pierwszym, oczywiście bezskutecznym przeglądzie, oficer chciał przystąpić niby do porządniejszego rozpatrzenia się w papierach; brał więc z kolei jeden po drugim i przypatrywał się każdej sztuce oczyma, które nic nie widziały, bo czytać nie umiejąc, żadnego napisanego wyrazu zrozumieć nie mógł. Nagle przychodzi mu myśl szczęśliwa, zaczyna swój przegląd po raz trzeci i znowu z kolei zapytuje nas o znaczenie każdego papieru; odpowiadaliśmy, co nam się podobało odpowiedzieć, a po każdej naszej odpowiedzi zadowolniony, odkładał papier na stronę, mówiąc:

— To nic. —

Dopóty wszystko szło bardzo dobrze, niewiadomość oficera dziwnie nam służyła, najniebezpieczniejsze przeszły przez jego ręce i otrzymały zupełne rozgrzeszenie. Należało nam sądzić, żeśmy ocaleni i może bylibyśmy z tego śledztwa wyszli bezpieczni, gdyby mój towarzysz same tylko papiery miał był przy sobie; ale w papierach znalazło się kilkanaście kart wizytowych, o których p. Rozświetajew miał na nieszczęście swoje własne wyobrażenie.

— Cóż to takiego? — rzekł, biorąc do ręki te nieszczęsne karty. Objawiłem mu ich znaczenie. — Dobrze, dobrze — odpowiedział złośliwie — nie tak łatwo oszukać Rozświetajewa; wiem ja co te kartki znaczą, jużem ja je widział u niejednego buntownika.

Głupiec ten widział w kartach wizytowych jakieś znaki powstańców. Ponieważ los nasz od jego przywidzeń zależał, musiałem się wstrzymywać od śmiechu i z całą wymową objaśniać mu przeznaczenie wcale niebojowe, cel wcale niewinny kart wizytowych. Przekonywanie to nie było łatwe, w końcu jednak zdawało się że zrozumiał, bo przystąpił do dalszego badania papierów. Ale po kartach wizytowych przyszła kolej na mapę.

— Aha! — zawołał, cały zdziwiony — mapa! mapa! To wy jenerałowie! —

Zaczęliśmy mu tłumaczyć, że takie mapy kraju sprzedają się wszędzie, że każdy może je kupować czy to dla nauki, czy dla podróżowania, że gdyby do zostania jenerałem tylko mapy potrzeba było, wszyscy ludzie i on sam z oficera natychmiast i to bardzo tanio mógłby zostać jenerałem. Słowem, przekonywaliśmy go najlepszemi dowodami, ale nasz inkwizytor trwał uporczywie przy swojem zdaniu i na krok nie chciał ustąpić. Zapewne z powodu tej mapy musiał rzucić podejrzenie na karty wizytowe.

Po tak zabawnem śledztwie papierów pana Niemojowskiego, zażądał ich odemnie.

— Nie mam żadnych — odpowiedziałem.

— Nie żartujcie i pokażcie je natychmiast.

— Powtarzam, że nie mam żadnego papieru.

— Zobaczymy! —

To mówiąc, wstał i postąpił ku mnie. Widziałem że się zabierał szukać mi po kieszeniach; myśl ta oburzyła mnie i sam do niego się zbliżyłem.

— Kiedy wam mówię — zawołałem — że nie mam papierów, powinniście mi wierzyć; pomyślcie na co się odważacie! —

Rozświetajew nie musiał być bardzo pewny swojej władzy śledzenia nas, bo nie posuwał dalej swego nalegania, radził mi tylko nic nie ukrywać, jeśli sam sobie szkodzić nie chcę. Powtórzyłem mu, że nie mam żadnych papierów.

— Wierzę wam — rzekł — jednak muszę was zaprowadzić do obozu rosyjskiego. — To mówiąc wyszedł, zostawując mocną straż.

Pozbyłem się był wprawdzie papierów, ale miałem jeszcze krzyż w kieszeni, o którym zapomniałem. Zaledwie oficer wyszedł, kiedym go sobie przypomniał. Z tego, co się działo, mogłem wnosić, jak było ważną rzeczą, pozbyć się go natychmiast. Pisarz poczty wszedł do pokoju, korzystałem więc z chwili, kiedy pilnujący nas żołnierze w inną stronę patrzyli, pokazałem mu krzyż, chcąc go oddać, ale on zamiast go odebrać, w tył odskoczył; zwróciło to uwagę

straży i jeden z żołnierzy zapytał, co chcę od pisarza? Co tu było odpowiedzieć? Pisarz zapytany, mógł mnie był zdradzić, krzyż był jeszcze w moim ręku, a oczy wszystkich na mnie były zwrócone! Na szczęście młoda wieśniaczka, która przy drzwiach otwartych obierała jarzynę, widziała co się działo między mną a pisarzem, odgadła moją niespokojnośy i zerwała się, żeby mnie z niej wyprowadzić.

— Gdzie moje wiadro! Moje wiadro! — zawołała, i wiadra tego szukając, przecisnęła się przez straż jak błyskawica, obeszła prędko pokój, przybliżyła się do mnie, pochwyciła ukradkiem moją rękę, porwała krzyż i znikła. Najbieglejszy kuglarz nie byłby się zręczniej sprawił. Jakoż nikt nie spostrzegł co uczyniła. Po tej szczęśliwej scenie, która ledwie kilka sekund trwała, odpowiedziałem straży, że nie miałem nic do powiedzenia pisarzowi. Poprzestano na tej odpowiedzi.

Prawie w kwadrans po wyjściu oficera przyszła jakaś żydówka. Czerkiesi wzbraniali jej przyjść do nas, ale ona powiedziała im kilka słów po cichu i natychmiast zdawali się zezwalać jej na wszystko. Usiedli znowu na ławce, a żydówka zbliżywszy się do mnie, rzekła:

— Chciałabym z panem pomówić na osobności.

— Zdaje mi się, że nie mamy z sobą nic do czynienia.

— Proszę, niech mi pan pozwoli chwilę rozmowy; nie będzie pan tego żałował. —

To mówiąc, jak gdyby pewna skutku swoich słów, wzięła mnie pod rękę i zaprowadziła do gabinetu, stykającego się z pokojem. Nie było mi tajno, że żydzi, ile razy mogą, stają się, że tak powiem, faktorami wszelkich interesów zakazanych. W mojem położeniu cóż miałem do ważenia? Nie opierałem się więc żydówce; Czerkiesi powinni byli nas zatrzymać, ale bynajmniej: pozwolili nam wnijść do gabinetu i zamknąć się, tak spokojni, jak gdybym pod ich straż nie był oddany. Jakież to słowo czarodziejskie uczyniło ich tak powolnymi? Widocznie musiała do nich przemówić w imieniu oficera, któremu dosyć było na chwilę zamknąć oczy, abyśmy byli wolni; zapewne chciał on sprzedać swoją grzeczność i wysłał tę kobietę, aby dobić targu.

Te uwagi przesuwały mi się przez głowę, kiedy żydówka głosem przymilonym i westchnąwszy, rzekła:

— Jakże ja nad panem boleję! Pan jesteś młody, widzę żeś słaby; chciałabym was wybawić i mogę; jeśli pan zechcesz.

— Jakto! mów jaśniej co chcesz powiedzieć.

— Oficer ten mieszka u mnie, mówiłam mu o panach, wystawiłam mu nieszczęście, jakie was czeka, łatwość, z jaką może was uwolnić bez narażenia się; w końcu zrobiłam, że nie wzbraniał odjazdu obu panom. Pozwala na to, jeśli mu panowie dadzą 50 dukatów.

— A jeśli weźmie pieniądze i nie wypuści nas?

— Nie! tego się nie bójcie; wie on bardzo dobrze, że gdyby to uczynił, nikt nie ufał by mu na przyszłość i nie dawałby pieniędzy z góry. —

Uwaga zdawała się być słuszną; zresztą żądano za tak wielką usługę nie wiele, i natychmiast dałem żydówce 50 dukatów. Pobiegła z niemi, a ja powróciłem do pokoju. Twarze Czerkiesów zdawały mi się nie tyle co pierwej surowe, a jeden z nich zaczął nawet ze mną rozmawiać. Zdawało mi się, że ta grzeczność była dobrą wróżbą; może, mówiłem sobie, ludzie ci są w porozumieniu, może nieraz już widzieli, jak oficer ich podobne robił targi, może nie uważają nas już za swoich więźniów i może nie byliby od tego, przyjąć na pożegnanie z nami wspaniały datek na wódkę. Tymczasem chwile upływały, nasze położenie nie zmieniło się, a jednak nie mieliśmy ani cienia podejrzenia. W końcu dopiero dwóch wielkich godzin ujrzeliśmy oficera z całą swoją załogą (18 ludzi). Tłumaczyłem sobie to wystąpienie, że zgromadził wszystkich swoich żołnierzy, ażeby ich z przed widoku naszego usunąć i że przyszedł nas niejako uwiadomić, że po jego odejściu możemy się oddalić. W istocie wszedł do pokoju, ale tylko aby nam zwyczajnym tonem, pokazując na powóz, powiedzieć:

— No, panowie, trzeba wsiadać! —

Zdziwiony zbliżam się [illegible] i po cichu przypominam mu zobowiązanie w jego imieniu [illegible] przez żydówkę uczynione.

Biblioteka Uniwersytecka w Katowicach

— Zaczekajcież przecie trocha! — odpowiedział mi także na pół głośno i jak na niego prawdziwie grzecznie.

Te wyrazy i ten ton uspokoiły mnie; wsiedliśmy i ruszyliśmy w drogę. Przejeżdżając przez miasteczko, oficer kazał się zatrzymać przed domem żydówki, prosił mnie wysiąść, kazał przynieść butelkę kwaśnego wina i zaprosił mnie pić z sobą. Otóż, pomyślałem, szczęśliwa chwila naszego uwolnienia, i ażeby nie obrazić mego wybawcę, wychyliłem duszkiem szkaradny napój. Przy drugiej szklance rzekłem mu:

— Piję pana zdrowie na pożegnanie!

— Nie jeszcze, ale wkrótce — odpowiedział, wychodząc.

Chciałem wejść do drugiej izby, gdzie była żydówka; żołnierz tuż był za mną, widziałem, że ciągle jestem pod strażą — ostrożność dziwna z człowiekiem, któremu się ma ułatwić ucieczkę. To mnie uczyniło niespokojnym.

— A cóż — rzekłem do żydówki — czy nie mówiłem, że weźmie okup i nie uwolni nas?

— Myli się pan — odpowiedziała — pozwoli panom uciec w drodze. Czyż może uwalniać panów w obec wszystkich żołnierzy? —

Na taką uwagę ani słowa nie można było powiedzieć; wsiadłem do powozu i ruszyliśmy dalej.

— Zamiast do Paryża pojedziemy do Tobolska — rzekł do mnie towarzysz wspólnej doli. — Jest to jedno nieszczęście więcej — dodał z westchnieniem — przygotowany na to jestem. —

Przewidywanie bardzo prawdopodobne tego cnotliwego męża, który już tyle był cierpiał, zrobiło na mnie wrażenie, boleśniejsze nad wszelkie wyrazy. Zacząłem go pocieszać, ale natychmiast mi przerwał.

— Nie, nie! — rzekł — nie staraj się budzić we mnie nadziei, której sam nie masz, a która się pewnie nie sprawdzi. Znam Rosjan, wiem co nas od nich czeka. Poddaję się mojemu przeznaczeniu. Jeśliby kiedyś mogli nam przebaczyć nasze postępowanie, w ich oczach zbrodnicze, to nie pierwej, aż po wystawieniu nas na długie i srogie cierpienia.

Nie mów mi więc o nadziei; lepiej przyzwyczaić się do patrzenia na obraz niechybnego nieszczęścia i czekać na ten widok, niż ujrzeć go nagle śród złudzeń: cios byłby zbyt okropny! —

Uwaga ta bardzo słuszna, zamknęła mi usta; miałem jednak zawsze nadzieję, że oficer nie złamie swego zobowiązania, przypomniałem sobie rozumowanie żydówki i wiedziałem że w ogólności Rosjanie dotrzymują obietnicy u nich kupionej, jeśli im kto wiecej nie zapłaci. To wszystko spowodowało mnie do przypominania kilkakrotnie oficerowi danej obietnicy, ale mi nie przestawał powtarzać swoje nieszczęśliwe: — Pogadite (czekajcie)! —

We dwie godziny przybyliśmy do wioski. Właściciel, któregośmy na przechadzce spotkali, rzucił na nas wzrok przenikliwy i zaprosił oficera do swego mieszkania wraz z żołnierzami i jeńcami.

— Najchętniej! — rzekł Rozświetajew.

Tu może, pomyślałem, pozwoli nam umknąć, może go wzruszą nowe przedstawienia, może go nakłoni obywatel, który zdaje nam się być życzliwy. Próżna nadzieja! Pan Rozświetajew wszedł sam, a nam kazał dalej jechać.

Gdy się już dobrze zmierzchło, przybyliśmy do innej wsi, gdzie przewodnik nasz postanowił noc przepędzić. Wysadził nas w domu pani, która, jeśli się nie mylę, nazywała się Mueller. Była to Prusaczka i trzymała tę wieś w dzierżawie. Oficer powitał ją jak dawną znajomość, jednak nie musiał bardzo ufać jej przyjaźni, kiedy żołnierzom kazał pójść za nami do pokoju. Nie chcąc żeby nas straż zrozumiała, przemówiłem do gospodyni domu po niemiecku i prosiłem, żeby mi wskazała wyjście ułatwiające nam ucieczkę. Nic nie było snadniejszego, bo jak się później dowiedziałem, granica pruska była od tego domu zaledwie o kroków dwadzieścia; ale Niemka nie chciała o niczem słyszeć; kazała nam tylko zastawić mizerne jedzenie i zostawiła nas z żołnierzami.

Zacząłem mocniej niedowierzać oficerowi, wymawiałem mu jego niesłowność, powiedziałem że go Bóg ukarze, że nie zobaczy swojej rodziny i już nie pamiętam wiele innych

wyrzutów; wszystko w tem rozumieniu, że to uczyni wrażenie na umyśle nieoświeconym, ale może nie zupełnie zepsutym. Tak łajany, zmięszał się na chwilę, ale potem, jak gdyby się wstydził poczciwego wzruszenia, rzekł tonem najnaturalniejszym:

— Słuchajcie, uwolnię was; ale wiecie że się narażam na wiele, a wy daliście mi za mało; w walizie waszej widziałem pieniądze, dodajcie 150 dukatów i 50 dukatów dla żołnierzy, aby nic nie mówili.

To jego żądanie zdawało mi się naturalne.

— Pieniądze, któreście widzieli — odpowiedziałem mu — są własnością mojego towarzysza; muszę więc z nim o waszem żądaniu pomówić. —

Oficer wyszedł, chcąc nas zostawić samych. Pan Niemojowski nie chciał zrazu ani słyszeć o tej propozycji, uważał bowiem oficera za zdrajcę, starającego się wyłudzić od nas jak najwięcej pieniędzy, a niemniej dla tego zdecydowanego oddać na zemście Rosjan.

— Może się nie mylisz — odpowiedziałem mu — ale zastanów się nad tem; jeżeli mu damy jeszcze 150 dukatów, może nas wypuści i ocalimy resztę; jeżeli mu odmówimy, pewnie stracimy wszystko i siebie samych. —

Zniewolony mojemi dowodami, pan Niemojowski zezwolił na tę małą ofiarę, oświadczając jednak, że nie przewiduje jej dobrego skutku. Chociaż prawie tego samego byłem zdania, nie chciałem zaniedbać jedynego pozostałego nam ratunku. Spieszno nam było odpowiedzieć oficerowi, godzina upłynęła, jeszcze się nie pokazywał; nie mogłem wytrzymać, wyszedłem szukać go; Czerkies mnie nie odstępował.

Zastałem oficera na pierwszem piętrze przeglądającego papiery pana Niemojowskiego z pomocą syna gospodyni, który mu je zapewne czytał i tłumaczył, i który zaraz wyszedł, jak mnie tylko zobaczył.

Oficer nie taił radości, dowiedziawszy się, że pan Niemojowski zezwala, poprosił go na górę, przyjął dukaty, kazał wyjść żołnierzowi i z wielkiem mojem zadziwieniem zaczął się rozbierać, mówiąc do nas, abyśmy się także spać położyli.

— Ale — rzekłem — kiedy nas wypuścicie?

— Jutro z rana; poszlę oddział naprzód, rozeszlę na patrol prawie wszystkich żołnierzy, zostawię tylko ludzi pewnych, którym dam pieniędzy, wy pojedziecie gdzie zechcecie, a ja będę się usprawiedliwiał z waszej ucieczki jak mi się będzie podobało. —

Jeśli plan taki nie był zły, zwłoka była zawsze podejrzana; tymczasem trzeba było czekać. Nie mogąc oka ani zmrużyć i słysząc, że nasz stróż chrapi, wstałem około północy i zaszedłem aż do drzwi, które wychodzą na podworze; drzwi były na pół otwarte, ale kilku Czerkiesów przechodziło się po dziedzińcu. Powróciłem na górę, dwa okna wychodziły także na dziedziniec, nie było żadnego innego wyjścia; położyłem się więc znowu strudzony i zmartwiony.

O świcie oficer wszedł, mówiąc że się zajmie rozesłaniem żołnierzy; w godzinę powrócił, oddał nam zabrane papiery, uwiadomił nas, że powóz już zaprzężony i pożegnał się z nami.

— Zostawiam wam — dodał — ludzi, którzy bronić was będą, w razie gdybyście spotkali Rosjan; ale także dajcie mi przyrzeczenie, że ich bronić będziecie, jeśli napotkacie Polaków. —

Dałem mu słowo, a on odjechał galopem, nie dając mi nawet chwili czasu do powiedzenia mu, że nie potrzebujemy eskorty. Gospodyni domu, jej syn, stary jakiś Niemiec, w tym samym domu mieszkający, przyszli winszować nam szczęśliwego uwolnienia i to z takiem wzruszeniem, z takim wyrazem radości, tak czule, żem sobie pozostałe jeszcze o nich podejrzenie w duszy wyrzucał.

W drodze miałem sposobność podziwiania zmyślności, a raczej instynktu naszych stróżów: ich wzrok przenikliwy spostrzegał z daleka najmniejsze przedmioty; ich słuch chwytał najsłabsze głosy, podczas kiedy my ani nic nie widzieli, ani nic nie słyszeli. Gdzie tylko doskonalsze ich zmysły jaki powód do ostrożności odkrywały, natychmiast natężali wzrok i nadstawiali uszy; zdawało się, że węchem dochodzą niebez-

pieczeństwa i unikają go z szybkością i zmyślnością dzikich ludzi.

Po czterogodzinnej, utrudzającej, przez lasy i jakieś drożyny dalekie od bitej drogi, podróży, ujrzeliśmy miasto Toruń, odległe od nas o pół mili. Widok tego miasta rozproszył podejrzenie mojego towarzysza; jużeśmy sobie winszowali końca tej niewoli, kiedy służący, siedzący na koźle, zawołał:

— Zdradzili nas, jedziemy prosto do obozu rossyjskiego! —

Osłupiałem na te słowa, wychyliłem głowę z powozu: byliśmy tuż nad Wisłą; Czerkiesi, z którymiśmy się rano rozstali, pokazali się o 30 kroków przed nami, a na przeciwnym brzegu można było widzieć obóz rosyjski. O kilka kroków od nas był znak graniczny pruski.

— Gdzie wasz oficer? — zapytałem z żywością Czerkiesów.

— Poszedł — odpowiedział z nich jeden — szukać miejsca bezpiecznego do wypuszczenia was, tak, ażeby was z obozu nie widziano. —

Kłamstwo było zbyt widoczne; nie było potrzeby podwozić nas pod sam obóz, gdyby nie chciano nas zdradzać. Otworzyłem nagle drzwiczki od powozu i chciałem wyskoczyć, aby się dostać na stronę pruską. Czerkiesi przyskoczyli natychmiast, zatrzaśli je napowrót i od tej chwili nie odpowiadali ani słowa na wszystkie moje zapytania. Zatrzymano powóz nad brzegiem rzeki. Upłynęło pół godziny, nim prom, do którego nam wsiąść kazano, przybił do brzegu. Wysiadając z powozu, pobiegliśmy o kilka kroków od granicy i przebyliśmy ją pierw jeszcze, nim się warta spostrzegła. Widząc nas na ziemi, która miała być neutralną, myśleliśmy, żeśmy się ocalili; ale neutralność pruska podobna była zupełnie do poczciwości pana Rozświetajewa. Kilku oficerów pruskich obecnych tam, z obowiązku i ludzkości powinno nas było bronić; zamiast tego niecni skryli się do bliskiej budy, z której patrzyli, że się nie wymkniemy. Tak więc aresztowani byliśmy przez żołnierzy rosyjskich na ziemi pruskiej bez żadnego oporu zwierzchności pruskiej,

a nawet, możemy powiedzieć, z jej potajemnem przyzwoleniem.

Odprowadzono nas napowrót przez granicę i kazano nam wsiąść do promu. W połowie bardzo w tem miejscu szerokiej rzeki zbliżyło się do nas czółno, które odbiło od tego miejsca brzegu, gdzie się znajdowała owa buda, w której się byli skryli oficerowie pruscy; ta okoliczność zasługuje na uwagę: Rozswietajew i inny oficer rosyjski wskoczyli z tego czółna do naszego promu. Pomimo swojej bezczelności i zepsucia, Rozswietajew nie wiedział co z sobą uczynić; unikał naszego wzroku, spuszczał oczy na ziemię i krył się za powozem, który z nami znajdował się na promie. Litowaliśmy się nad nieszczęśliwym! Drugi oficer wydawał się wcale inny. Pierwsze zaraz spojrzenie dobrze o nim uprzedzało; wzrok miał łagodny i spokojny, wyraz twarzy otwarty i życzliwy, i ta szczęśliwa fizjonomja wyrażała dla nas prawdziwe spółczucie. Spostrzeżenie to nie czyniło mi wszakże żadnej nadziei, bo przy najlepszej chęci oficer ten nic dla nas uczynić nie mógł; doznawałem jednak jak gdyby ulgi, widząc między sobą a nikczemnym Rozswietajewem istotę, mającą kształty ludzkie i zdającą się mieć serce. Wszedłszy na prom, młody oficer przywitał nas, słowa jednak nie mówiąc; potem odwrócił się ku przewoźnikom jak gdyby przypatrywać się ich wiosłowaniu. Kilka chwil upłynęło, zatopiony byłem w najsmutniejszych myślach, kiedy usłyszałem głos miły odzywający się po polsku:

— Bądźcie panowie spokojni; nie taki djabeł straszny jak go malują. —

Ocknąłem się: był to głos młodego oficera rosyjskiego. Ten głos przyjacielski, ta mowa ojczysta, te słowa pocieszające, wzruszyły mnie do żywego; ale to wzruszenie przyjemne stało się przykrem, kiedy na człowieku mówiącym po polsku, przypomniałem mundur rosyjski! Czułem jednak potrzebę odpowiedzieć grzecznie na grzeczność, która zresztą zapowiadała uczucie ludzkie, a nadewszystko widziałem, że mi należy zataić bolesne wrażenie; ale nie mogłem i musiałem zacząć od tych słów:

— Czy pan Polak?

[illegible] WARSZAWSKI [illegible] BIBLIOTEKA

— Tak jest! — odpowiedział tonem, którego nigdy nie zapomnę. Umilkł i widziałem, jak się na wyrazistej twarzy jego malowały: wstyd, zgryzota i bojaźń, aby go nie uważano. Żal mi go było i przerwałem milczenie przykre dla nas obu.

— Jaki to człowiek jenerał? — zapytałem.

— Nie zły — odpowiedział.

Ani ja, ani on, nie mieliśmy odwagi prowadzić dalej rozmowę. Po nowej przerwie rozstaliśmy się i wnet prom przybił do brzegu, gdzie jenerał rosyjski Renne czekał na nas otoczony swoim sztabem głównym.

Przewidywałem że będę musiał uledz śledztwu, a że ocenienie jenerała będzie wpływało na moje odpowiedzi, starałem się zbadać go ile możności, zaraz z początku. Był to człowiek brzuchaty, pucołowaty; twarz jego skwitła i nabrzmiała, byłaby jednak była piękną i przyjemną, gdyby nieco duszy byłoby się na niej malowało. Ale był to wzór samolubstwa, był to człowiek lubiący, jak to mówią, żyć dobrze i możem się nie mylił, gdym go osądził czulszym na dobrą biesiadę, niż na szczęście lub nieszczęście bliźniego. Nasz Judasz Rozswietajew pierwszy doświadczył jego grzeczności. Jenerał podał mu rękę, mówiąc z przymileniem:

— Jak się macie, kochany Rozswietajewie? —

Przeniewierca ten odpowiedział wyprężeniem się, tak, iż się zdawało, że sobie połamie kości, i przyłożeniem pełnem uszanowania ręki do czapki. Dopiero potem spojrzał na nas wzrokiem, który zdawał się mówić: Jenerał ocenia dobrze moją zasługę, moją służbę, jakże wam się to zdaje? —

Popatrzywszy się nieco na nas, pan jenerał zapytał o nasze nazwiska i stopnie. Cieszył się swoim tryumfem tak niedelikatnie, ton udanego politowania tak widocznie mówił: pocóż daliście się schwytać! — iż pomimo wszelkich niebezpieczeństw mojego położenia zabrakło mi cierpliwości. Byłem w przypadku prawie wyjątkowym: od początku powstania na Wołyniu wyznaczono nagrodę na moją głowę; mogłem ją może ocalić, ukrywając ją dłużej pod nazwiskiem Osieckiego, które przybrałem, kiedy wpadliśmy

byli w ręce Czerkiesów; jednak nie można było być pewnym tego, a zresztą wszystko, co się pod mojemi oczami działo, tak mi zbrzydziło życie, iż zamyśliłem nie chcieć przeżyć mej ojczyzny; pragnąłem umrzeć. Zdawało mi się, że dosyć wymienić moje nazwisko, aby dopiąć tego celu. Gdy więc towarzysz mój paszport swój oddał, a jenerał przeczytawszy go, z kolei mnie o nazwisko zapytał. Odpowiedziałem:

— Jestem hrabia Olizar.

— Czy z Wołynia? — zapytał jenerał z pewnem upragnieniem, które zdawało się mówić: — Ach! żeby to on był! —

— Tak — odpowiedziałem.

To suche tak może dla każdego innego byłoby odpowiedzią obrażającą, dla jenerała Renne przeciwnie było bardzo przyjemne; uradowany i z żywością, której się w nim nawet domyślać nie można było, pochwycił za guzik mego surduta i obracając się do pułkownika Melandersa, rzekł:

— Ot jewo derżyt! (Tego mi trzymaj!) —

To postępowanie brutalskie, ta radość dzika, obudziły we mnie niewypowiedzianą wzgardę, którą wyraziłem tylko wzrokiem utkwionym w tej twarzy rozkwitłej. Zrozumiał mnie zapewne, puścił guzik i odwrócił głowę.

Wieść o aresztowaniu mnie rozeszła się z ust do ust po całym obozie. To wystawiło mnie na nową nieprzyjemność. Zaledwie bowiem jenerał mnie puścił, stanął przedemną kapitan Buturlin, adjutant feldmarszałka Paszkiewicza. W szalonym gniewie młokos ten zawołał:

— Więc to wy narobiliście nam tyle złego?

— Czy wam wiele szkodziłem?

— Jakto! Dwa tygodnie byliśmy bez wiadomości od wielkiej armji i bez chleba! —

Nie wiedziałem, że małe nasze powstanie wołyńskie tyle złego tym panom narobiło, rad byłem wiedzieć o tem i uśmiech zdradził moje uczucie. Uśmiech ten musiał jeszcze bardziej rozzłościć żal do nas mającego kapitana, bo ofuknął się i zawołał:

— A teraz uciekacie? Czy to tu wasze miejsce?

— Bądźcie pewni — przerwałem mu — że wszędzie,

gdziebym się znajdował, umiałbym się znajdować na swojem miejscu, i w jakiem bądź, nawet najszczęśliwszem znalazłbym się położeniu, umiałbym zawsze szanować nieszczęście. —

Kapitan odwrócił się widocznie zmięszany, jenerał zbliżył się, czy to umyślnie, czy przypadkowo, i rzekł:

— Pułkowniku Melandersie, powierzam wam tych panów. —

To powiedziawszy, odszedł, zostawiwszy nas z pułkownikiem, który zatrzymał przy sobie pana Niemojowskiego i zajął się rewizją jego powozu.

Co do mnie, dwóch oficerów zaprowadziło mnie do baraku; tam zapytali, czy nie mam jakich papierów przy sobie. Nie przyszedłem był jeszcze do siebie po świeżych nieprzyzwoitościach, jakich się względem mnie dopuszczano, i odpowiedziałem zimno:

— Niech mnie panowie zrewidują! —

Tym razem przecież miałem do czynienia z ludźmi przyzwoitymi. Gdyby sceny poprzednie nie były zupełnie mojego umysłu zatrudniły, byłbym od razu w samych rysach twarzy tych dwóch oficerów to widział, co chwilę później spostrzedz musiałem: zdawali się być i byli czuli na moje nieszczęście. Pojmowali moje położenie. Jakoż zamiast oburzyć się na ton mojej odpowiedzi, odezwali się obadwaj razem i z największą delikatnością:

— Ach! panie hrabio, poprzestajemy na twojem słowie! —

Przyjemnie zdziwiony taką niespodziewaną grzecznością, przybrałem sam ton i postępowanie, od których ludzie przyzwoici w jakich bądź okolicznościach nie powinni odstępować, i zapewniłem ich, że nie mam nic przy sobie, co było istotnie prawdą. Dwaj młodzi oficerowie poprzestali na tem i odeszli.

Zostałem sam w tem więzieniu ze słomy; warta stała przy drzwiach baraku, druga była o kilka kroków dalej. Rzuciłem się był dopiero co na kupę siana, podpartą deskami, kiedy usłyszałem, że się ktoś do baraku zbliża; żołnierze sprezentowali broń, co mi zapowiadało odwiedziny jakiegoś wyższego oficera. Chciałem cokolwiek odpocząć i zamknąłem oczy umyślnie. Był to pułkownik Melanders; zbliżył się do

mojego łóżka, a widząc że nie otwieram oczu, odszedł na palcach. Prawie natychmiast słyszałem, jak do ucha pana Niemojowskiego krzyczał:

— Hrabia śpi; żałuję, będzie miał nocleg bardzo przykry! —

Z wzruszeniem, którego się doznaje, które się pojmuje tylko w takiem położeniu, pomyślałem: — Otóż przynajmniej to człowiek! — Chciałem mu był podziękować za spółczucie, zerwałem się nawet i chciałem za nim wyjść, ale pomyślałem że mam wartę! Ta myśl mnie oburzyła, rzuciłem się napowrót na siano. Bez narażania się na poniżenie, chciałem się dowiedzieć, czy będę mógł z baraku wychodzić, kiedy ten sam oficer, którego widziałem był na promie, nadszedł i zapewnił mnie, iż ile razy zechcę, będę się mógł przechodzić po obozie. Korzystałem z tego pozwolenia bez żadnej innej nieprzyjemności, oprócz tej, że miałem zawsze za sobą żołnierza, a obok siebie oficera. Oficerowie byli nawet tyle grzeczni, że zawsze przychodzili do mnie, jak gdyby tylko dla rozmawiania ze mną.

Po tych pierwszych odwiedzinach przybył inny oficer, który powiedział mi na pół głośno:

— Ale jakże pozwoliliście się panowie schwytać! Tuż blisko — dodał, pokazując ręką — jest granica pruska, tak blisko, że kiedy niedawno żołnierz uciekał, w oczach tych, co za nim pobiegli, dostał się za granicę.

— Na nieszczęście nie umiem tak prędko biegać.

— To więc zaczekaj pan na noc, zrób sobie otwór w baraku, wszak to tylko słoma, a w nocy wszystkie koty szare. —

Dawszy mi taką radę, spiesznie wyszedł, dla tego zapewne, żeby nie wzbudzić podejrzenia. Wyszedłem za nim, niecierpliwy rozpoznania miejsca i odległości od granicy pruskiej. W rzeczy samej było do niej zaledwie sto kroków. Powróciwszy, obejrzałem słabe drewniane ogrodzenie, na którem się wspierał barak słomiany, i przekonałem się o łatwości zrobienia w nim wyjścia, aby tylko innej nie było przeszkody.

Moja ucieczka zdawała się pewną i zacząłem nieco ufać

przyszłości. Nagle koło południa pułkownik Melanders przysyła po mnie. Czegoż chce odemnie? Na jakież nowe mam być wystawiony próby? Czy przewidywałby mój zamysł ucieczki? Czy nie zechce ściślej kazać mnie pilnować? Temi myślami niepokojony, zaszedłem do niego. Dowiedziałem się, że zaprasza mię do siebie na obiad wraz z towarzyszem mojego nieszczęścia, lekarzem i popem pułkowym. Zaledwie siedliśmy do stołu, kiedy podoficer przyprowadził młodzieńca, ubranego po cywilnemu; był to, jak podoficer mówił, jeniec, który uciekł z obozu i którego komora pruska odsyła. Na znak pułkownika i podoficer i ów jeniec oddalili się. Ta scena powinna była mię zmięszać; ale uważałem że pułkownik Melanders sam był zmięszany, z czego wnosiłem, że to była po prostu komedja, dla tego przez niego nakazana, aby mi odjąć wszelki zamysł ucieczki. Ale kiedy się na taki ze mną brał sposób, musiałem sądzić, że ucieczka do Prus nie była trudną. Zachowałem jednak minę, jaką okoliczność ta zdawała się nakazywać: byłem tylko smutny. Pułkownik nie zwracał ze mnie uwagi.

— Miej pan dobrą nadzieję — rzekł do mnie — cesarz jest łaskawy! Ale dla czegoście panowie sami nie powrócili? Mogliście byli korzystać z amnestji. —

O tej amnestji zupełnie byłem zapomniał, a chociaż nie bardzo jest roztropnie zawierzać w Rosji temu politycznemu środkowi, tej politycznej łasce, jednak ostatnie słowa pułkownika dały mi do myślenia. Wiedziałem, że ułaskawieni wcześniej czy później, pod tym lub owym pozorem znowu zwykle bywają prześladowani, ale zostawują im przynajmniej kilka dni wolności, a właśnie teraz potrzebowałem jej przynajmniej na kilka godzin; zresztą gdyby mi się plan ucieczki z obozu nie powiódł, amnestja była równie środkiem, którego w braku lepszego wolno było doświadczyć. Zapewne użycie tego środka przeciwne było mojemu charakterowi, ale jakkolwiek to wiele kosztować mnie mogło, winienem był tę ofiarę mojej rodzinie. Dwie rzeczy przedewszystkiem były do tego potrzebne: pozwolenie pisania o amnestję i pewność jej otrzymania. Zamysł ucieczki więcej mi się podobał i chciałem pierwej doświadczyć, czy mi się nie uda. Niecierpliwie czekałem chwili powrotu do baraku, zapewnienia się, czy w nim zamysłu mego nie odkryto i przyjścia nocy. Zaraz po obiedzie powróciłem i nie znalazłem żadnego śladu rewizji. Ale dla więźnia oczekującego wolności, jakże godziny są długie! Co chwila wychodziłem i powracałem, kładłem się i wstawałem; to pełen nadziei, wszystko widziałem łatwe do wykonania, to w zwątpieniu tysiąc nieprzebytych przewidywałem trudności. W niecierpliwem oczekiwaniu nocy wpadałem w gorączkę. Nakoniec zabłysła gwiazda wieczorna, uradowałem się, gdy wtem pułkownik Melanders przysyła do mnie, prosząc mnie na herbatę. Nigdy uprzejmość nie była niewczesniejszą! Z tem wszystkiem należało chętnie przyjąć zaproszenie, jeśli chciałem, aby pomyślny skutek mego przedsięwzięcia nie był zwichnięty. Zastałem tam już kilku oficerów, zaczęto grać w wista; ale jakąż zabawą mogły być dla mnie herbata, wist i rozmowa najwięcej nawet zajmująca? W czasie mojej nieobecności barak będzie może zrewidowany, odkryją tam może moje przysposobienie do ucieczki, albo uczynią wykonanie zamysłu mego niepodobnem. Takiemi zajęty domysłami, pragnąłem powrócić do baraku jak najprędzej, ale pod jakim pozorem? Wszystkie zdawały się niewłaściwe; w końcu udałem gwałtowny ból głowy i odszedłem. Nie spostrzegłem w baraku żadnej zmiany, nikt nie mógł się domyślać mojego zamysłu, moich przygotowań, jeszcze kilka godzin, a miałem nadzieję wydobyć się z rąk Rosjan. W uniesieniu radosnem padłem na kolana; nigdy nie modlono się do Przedwiecznego tak gorąco, tak szczerze! Ufałem że modły moje będą wysłuchane, a jednak nie byłem spokojny; ale nie bojaźń czyniła mnie niespokojnym, nie widziałem żadnych przeszkód, nie obawiałem się niczego, nie przewidywałem żadnych trudności. Cały zajęty ocaleniem głowy, spodziewałem się wiadomością o mojem ocaleniu przynieść pociechę rodzinie, która mnie miała za straconego, połączyć się z moimi ziomkami, podzielać ich los i z nimi myśleć o środkach służenia znowu naszej drogiej i nieszczęśliwej ojczyznie. Któż może przewidzieć koleje, jakie przyszłość przechowa dla naszych usiłowań? Polska mogła się kiedyś jeszcze podnieść, nie z większą odwagą, ale

z większym skutkiem, a w mojem sercu polskiem miałem nadzieję, co większa, pewność, że my wygnańcy nie bylibyśmy obcy sławie tak wielkiego zdarzenia. Na mojem łożu niewoli zapominałem o niej, porwany lotem dalekich i świetnych marzeń o przyszłości zgodnej z mojemi najdroższemi życzeniami.

— Czy śpi? — zapytał ktoś żołnierza stojącego na warcie.

— Nie wiem — odnowiedziano mu.

Ta krótka rozmowa zepchnęła mnie nagle z obszaru złudzeń na dziedzinę smutnej rzeczywistości. Gdybym był spadł z nieba na ziemię, cios nie byłby tak straszny; gdybym był śmiał się, byłbym był płakał. Zebrałem siły, myśląc że to być mógł oficer, który pełni służbę. Zmrużyłem oczy, aby się go prędzej pozbyć; jakoż sądząc że śpię, położył się także na łożu drugiem niezajętem w baraku, zgasił świecę i zabrał się do spania.

Tak wielką czułem potrzebę nadziei, że i ta obecność oficera przestała mnie niepokoić. Cóż robić, pomyślałem, trzeba będzie czekać aż zaśnie, i w istocie kwadrans nie upłynął, kiedy zaczął chrapać. Dalej więc, teraz pora! Z sercem wzruszonem przyłożyłem rękę do czoła machinalnie, przeżegnałem się, zupełna rezygnacja, czyli raczej jakiś fatalizm ogarnął mnie całego, zapomniałem o wszelkich przedsięwzięcia mojego niebezpieczeństwach, wstałem po cichu, dotykałem już rękoma słomianą tkankę baraku, kiedy słyszałem krok jednostajny kilku żołnierzy zbliżających się do baraku. Zatrzymałem się nieruchomy z rękoma wyciągniętemi, wstrzymując oddech. Żołnierze stanęli właśnie w miejscu, przez które wyjść miałem, a podoficer poustawiał warty do koła, dając każdemu żołnierzowi rozkaz:

— Miej baczność, aby tą stroną nie wyszedł. —

W tym samym czasie zapalono dwie latarnie, które oświeciły barak do koła.

Tak więc wszystko było skończone; widocznie myliłem się, sądząc że bezpiecznie mogłem myśleć o ucieczce. Przewidywano że będę o niej myślał i w braku murów otoczono mnie wartami, które mi odejmowały wszelką nadzieję. Jakże

było mi boleśnie kłaść się na łoże, z którego dopiero co wstałem, pewny bliskiego uwolnienia!

Zmuszony więc byłem myśleć o innym środku ratowania się. Zaraz z rana poszedłem do pułkownika i wystawiłem mu otwarcie mój projekt pisania o amnestję, rozumie się, nie mówiąc mu, jaki z niej użytek mam zamiar uczynić.

— Niepodobna mi będzie — odpowiedział pułkownik — utrzymywać, żeś pan przybył dobrowolnie; to tylko uczynię, że nie będę zaprzeczał słów pana. Idę natychmiast prosić jenerała, aby panu pozwolił pisać. —

W rzeczy samej nazajutrz przyniósł mi sam wszystko, co było potrzeba do pisania z upoważnieniem od jenerała. Napisałem więc do w. księcia Michała i do marszałka Paszkiewicza, iż pokładając zaufanie w amnestji, puściłem się w drogę, chcąc się dobrowolnie stawić, co było poparte tą okolicznością, że nie miałem paszportu i że nie starałem się ukryć mego nazwiska. Prosiłem zatem o wypuszczenie mnie na wolność. Zdawało mi się, że skutek będzie nieomylny, jako naturalny dla każdego zwycięzcy, mającego serce ludzkie i nieco szlachetnego charakteru, jako polityczny dla każdego, ktoby miał dosyć rozsądku do chwytania wszelkich sposobów zmniejszenia liczby ofiar. Pan Niemojowski napisał także, chociaż nie miał nadziei skutku i, jak mówił, dla tego tylko, aby sobie nie mieć nic do wyrzucenia.

— Łudzisz się — rzekł — są oni zbyt kontenci, że nas mają w swojem ręku, iżby nas mieli wypuścić. —

Oburzyłem się w gniewie na takie niedowiarstwo niszczące wszelkie złudzenie. To jednak nie zmieniło jego zdania, i czas pokazał, że się nie mylił. Nie tylko pisma nasze nie polepszyły naszego losu, ale nawet nie raczono nas uwiadomić, że się dostały do osób, do których były adresowane.

Przez ośm dni zostawaliśmy w obozie, jadałem przy stole pułkownika, przechadzałem się, czytałem «Bakalarza z Salamanki», jedyne dzieło, które się znajdowało w obozie i które miałem od lekarza pożyczone. Kiedy niekiedy widywałem jenerała z adjutantem, o którym już mówiłem; rad jestem oddać ostatniemu sprawiedliwość, że po owem pierwszem uniesieniu ciągle nadzwyczaj był grzeczny. Oficerowie

w ogólności pełni względów i uprzedzającej grzeczności, starali się wzbudzić we mnie zaufanie w wspaniałomyślność swego pana; przysłuchiwali się oni chętnie rozmowom w duchu dziewiętnastego wieku, zdawało się, że je rozumieli, a ja oddawałem się z prawdziwą przyjemnością temu jakby nauczycielstwu. Wszyscy zdawali się być strudzeni wojną i despotyzmem; ale szczęśliwe te usposobienia nie przechodziły stopnia kapitana: oficerowie wyżsi z afektacją wielbili swego wielkiego monarchę i niezrównanego swego marszałka, któremu się powiodło wziąść Warszawę, Bóg wie, jak.

Jednego razu jenerał, adjutant, pan Niemojowski i ja rozmawialiśmy, siedząc przed barakiem pułkownika.

— Dobrześ pan zrobił, żeś pisał do w. ks. Michała — rzecze mi adjutant.

— Nie wiem; wypełniłem obowiązek względem mojej rodziny.

— Słusznie, nie będziesz pan miał sobie nic do wyrzucenia; zresztą jest to jedyne wyjście z nieszczęścia.

— Nie bardzo szerokie.

— Przeciwnie; wielki książę jest lepszy, niż powszechnie o nim sądzą. —

W tej chwili rozmowa pana Niemojowskiego z jenerałem przerwała naszą, bo towarzysz mój nie słyszał nic, jeśli mu do ucha nie krzyczano; nie mogąc rozmawiać, słuchaliśmy co mówił pan Niemojowski.

— Tak — były jego słowa — w. książę Konstanty używał żandarmów do posług tak ohydnych, że kiedy na początku wojny zamieniono ich na pułk karabinierski, wstydząc się dawnej służby, po pierwszej szarży przyszli dziękować dowódcy, że im podał sposobność zmycia plamy, którą ich czerniło imię żandarmów.

— Wot! kak rozgawarowujet! (Ot! jak rozumuje!) — zawołał adjutant.

Jenerał wstał i obadwaj odeszli, nie powiedziawszy nam ani słowa więcej.

Oficerowie niżsi byli nierównie skłonniejsi do słuchania nas i okazywali nam więcej sympatji. Chętnie z nami rozmawiali o naszem położeniu i podawali nam nawet środki

obrony, a ile razy rady ich mogły wskazywać sposoby niegodne naszego charakteru, nie nastawali, wyszukiwali właściwych i pojmowali bardzo dobrze, że się coś należało naszej godności osobistej. Te rozmowy, w których za każdem słowem przebijało zajmowanie się nami i uszanowanie dla naszej sprawy, były bardzo częste. Razu jednego ten sam oficer, który mi radził uciekać, rzekł do mnie:

— Dla czegoście panowie dawali pieniądze oficerowi?

— Ale on sam prawie ich żądał, obiecując w zamian dać nam wolność; zresztą mój towarzysz chce się o to skarżyć jenerałowi.

— Na cóż mu się to przyda? Niegodziwy ten człowiek oddał pieniądze jenerałowi i jeszcze was oskarżył żeście chcieli go przekupić; przyjął zaś dla tego pieniądze i jak najwięcej chciał od was wytargować, abyście panowie nie mieli sposobów przekupienia żołnierzy. —

Jak z tego widać, zdrajca nie był niezręczny, chociaż zresztą nie wielka była zasługa oszukiwać nas tym sposobem, bo same położenie nasze wprowadzało nas w te sidła. Widzieliśmy dobrze, że nas może zdradzi, ale należało doświadczyć jedynego środka ucieczki, jakkolwiek był wątpliwy i niebezpieczny. Dowiedziałem się później, że tak szczególną wierność wynagrodzono podarunkiem summy i krzyżem. Pojmujemy darowanie summy, ale za zdradę wynagradzać krzyżem!

Wszystkie rady, jakie mi po przyjacielsku dawano, do wydobycia mnie z rąk rosyjskich nie były przydatne; wszakże nastręczały mi one dwie korzyści, które bardzo ceniłem. Najprzód dawały powód do rozprawiania, dostarczały mi objaśnień wszechstronnych do poznania mojego położenia nowego, a nadto zachęcały mnie do rozmawiania, zajmowały mnie w samotności, były dla mnie roztargnieniem sprawiającem ulgę w nudach.

Dziewiątego dnia przyszedł do nas jenerał z oficerem, którego jeszcze nie widziałem, i uwiadomił nas że pojedziemy do Warszawy.

— Przedstawiam panom tego oficera — rzekł — będzie wam towarzyszył.

— Raczej my potrzebowaliśmy być mu przedstawieni — odpowiedziałem.

— Bądźcie panowie spokojni, nie będziecie mieli przyczyny narzekać na niego; to dobry człowiek. —

Po tych słowach jenerała oficer wyszedł, a jenerał siadł z nami do stołu. Przy końcu obiadu rzekł:

— Żegnam panów! Nie oddawajcie się zmartwieniu; rzeczy nie pójdą tak źle, jak myślicie: skończy się na kilku latach aresztu, a potem powrócicie do siebie, jak gdyby nic nie było. — Tak nas pocieszywszy, odszedł i potem już go nie widziałem.

Ku wieczorowi wsiedliśmy do powozu i oficer, którego jenerał nam przedstawiał, zajął miejsce na przodzie, a inny oficer, którego po raz pierwszy widziałem, eskortował nas z 25 dragonami. Ponieważ nas wieziono drogami ubocznemi, podróż była powolna i przykra; oficer, który w powozie siedział, zadawał sobie wiele pracy, żeby utrzymać zawsze upadającą rozmowę, bo zatopieni w myślach, odpowiadaliśmy mu tylko półgębkiem. Noc już zapadła; strudzony podróżą po niegodziwej drodze, zasnąłem, kiedy nagle powóz się zatrzymał, oficer wysiadł, rozmówił się po cichu z oficerem prowadzącym eskortę, wsiadł napowrót i w tej chwili zmieniliśmy kierunek drogi. Około godziny drugiej z rana przybyliśmy do jakiegoś miasteczka, gdzie w przejeździe spostrzegłem około dwudziestu oficerów polskich otoczonych kozakami; zabierano się do powiezienia ich, nie wiadomo gdzie, na wozach, które w bliskości stały. Nieszczęśliwi pozdrawiali nas tak czule, że łez wstrzymać nie mogłem.

Podczas kiedy konie odpoczywały, zostawaliśmy w austerji tego miasteczka, a gdyśmy z niego wyjechali, oficer uwiadomił nas, że wracamy do obozu, wyjawiając nam zarazem przyczynę tego odwrotu: przypadkiem spotkano wóz w przeciwnym kierunku przybywający, którego woźnica uwiadomił eskortującego nas oficera, że korpus polski przeprawił się przez Wisłę i że wprost ku temu wojsku zmierzamy. Gdyby nie to przypadkowe spotkanie, bylibyśmy może ocaleni; sami nieprzyjaciele podprowadzali nas do naszych wybawców. Los inaczej rozporządził!

Za powrotem do obozu zastaliśmy go w zmienionem stanowisku. Obawiano się uderzenia ze strony Polaków i stosownie do tego wydane były rozporządzenia. Pułkownik Melanders mieszkał w baraku, zrobionym z worków po sucharach, pokrytym płótnem. Przyjął nas jak dawne znajomości i umieścił u siebie. Oficerowie przybywali witać nas z uprzejmą grzecznością i zdawali się być szczęśliwi z naszego powrotu. Pułkownik, który tylko chwilę z nami był pozostał, powrócił około godziny szóstej wieczorem.

— Pojedziecie panowie jutro — rzekł nam — a teraz, kiedy miałem honor was poznać, zaufam waszemu słowu i będę za was odpowiedzialny. Ale właśnie teraz, kiedy się odbywała u jenerała rada wojenna, przybył pułkownik pruski i oświadczył nam, że gdybyście się schronili do Prus, byłby zniewolony was odesłać i że podobna konieczność byłaby dla niego bardzo przykrą; prosił zatem, żeby panów jak najprędzej stąd oddalono. —

Podczas kiedy pułkownik mówił, uważałem na jego twarzy to samo zaambarasowanie, jakie spostrzegałem, kiedy do niego przyprowadzono mniemanego jeńca, którego to komora pruska miała odesłać. Wnosiłem stąd, że poczciwy Melanders niechętnie brał się na takie sposoby niegodne jego, i że pułkownik pruski przeciwnie musiał oświadczyć, że niepodobna mu będzie wydać nas, jeżeli potrafimy dostać się za granicę.

Pułkownik kończył mówić, kiedy się dał słyszeć w całym obozie powtarzany okrzyk: «Polaki! Polaki!» Jakież uczucie! Jaka radość! Polacy uderzyli na obóz? Jakże mocno pragnąłem pomagać im! Próżne i przemijające złudzenie! Polacy byli na drugiej stronie rzeki. Nie tajono tego przed nami, wyszliśmy ich widzieć: był to pułk Krakusów, który powracał, odprowadziwszy kassę do Prus. Patrzałem jak się oddalali; wzrok mój ścigał go, a gdy zniknął, gniotący ciężar spadł na moje serce: zdawało mi się, że zastęp ten unosi z sobą ostatnie moje nadzieje! Nieszczęśliwy rozbitek, widziałem okręt, który mógł mnie wydobyć z toni, ale okręt ten znikał na widnokręgu, nie spostrzegłszy mnie! Oddaliłem się, szukałem samotności, aby się zanurzyć w boleści. Widok wojska narodowego zbyt żywo obudził wszystkie moje wspo-

mnienia, przypomniał nasze wielkie usiłowania, nasze świetne nadzieje, nasze sławne powodzenia, nasze niepojęte klęski, a w zwyciężonej ojczyznie stawił się przed oczy widok niepocieszonej, zniszczonej, na wszelkie niebezpieczeństwa wystawionej rodziny mojej.

Noc nie uspokoiła mnie; nie mogąc zmrużyć oka, wstałem o świcie. Mój towarzysz spał jeszcze; spokojność tego snu, którego w podobnej okoliczności pojąć nie mogłem, staranność jego w robieniu toalety, tysiąc nic, które opóźniły nasz wyjazd, wszystko to jątrzyło mnie nie do zniesienia. Jedyna myśl opanowała teraz mój umysł: jakibądź los mnie czekał, pragnąłem się o nim dowiedzieć. Nie mogłem znieść najmniejszej zwłoki, pragnąłem jak najprędzej jechać, przybyć, dowiedzieć się, co się ze mną stanie. Nakoniec oficer, który nam miał towarzyszyć, przybył z paką papierów; ale jeszcze upłynęła godzina, godzina nieznośna, czekano nie wiem na co, nim mogliśmy odjechać Ta sama co pierwej eskorta towarzyszyła nam.

II.

Powtórny wyjazd z obozu do Warszawy. — Książę Chyłków. — Jenerał Prytwicz. — Więzienie na Pradze. — Pułkownik Siewers. — Bystrom.

Podróż nasza odbywała się powoli; rozmowa, z razu dosyć ożywiona, w końcu nas utrudziła i zupełnie ustała. Myśli smutne nas zajmowały, milczenie głębokie i ponure panowało około nas; przerywał je tylko głos woźnicy zachęcający konie, które po błotach powóz nasz zaledwie ciągnąć mogły, i niekiedy słowa krótkiej rozmowy eskortujących nas oficerów. Około piątej po południu przybyliśmy do posterunku jazdy, gdzieśmy mieli przemienić konie. Jenerał książę Chyłków pozwolił nam wysiąść i zaprosił nas do siebie na herbatę. Ta grzeczność tem przyjemniejszą dla nas była, żeśmy byli strudzeni i przeziębli. Pan Niemojowski siedział obok księcia i rozmawiał z nim; ja miałem obok siebie innego jenerała, którego nazwiska już nie pamiętam. Panowie ci, jak wszyscy oficerowie, zaczęli rozmowę od pocieszania nas. Mój sąsiad obiecywał mi, że wkrótce będę wolny i opierał swoją przepowiednię na niezrównanej, teraz szczególniej, dobroci w. księcia Michała. Nie znając tego jenerała, nie mogłem mu powiedzieć, co o tej łaskawości trzymam. Te pocieszania miały zapewne chwalebną pobudkę, ale jeśli dobrze uprzedzały o sercu pocieszającego, nie dowodziły jego taktu. Mówić o nadziei nieszczęśliwemu, który wie że się

nie ma niczego spodziewać, nie jest to pocieszać go, ale sprawiać mu cierpienia, a ja już i tak cierpiałem. Na szczęście żądano mówić z jenerałem. Po chwili wrócił i przedstawiając mi młodego oficera, którego z sobą przyprowadził, rzekł:

— Przyprowadzam panu dawną znajomość. —

Młodzieniec przybliżył się, ścisnął mię za rękę i łzy stoczyły się po jego twarzy. Był to Polak, mój krewny. Wspominałem już, jakie wrażenie czynił na mnie widok munduru rosyjskiego na Polaku; można sobie więc wyobrazić, o ile więcej bolałem, widząc mundur ten na moim krewnym! Chciałem zrazu go odepchnąć; ale stanęły mi przed oczy jego dotkliwa boleść, niedoświadczenie jego wieku i fałszywe wyobrażenie o honorze, które mu nie pozwalało opuszczać służby rosyjskiej po rozpoczęciu wojny, i uczułem że byłbym uczynił niesprawiedliwość. Byłbym wtenczas go uściskał, ale obawiałem się rozczulenia, a za nic na świecie nie byłbym chciał pokazywać się słabym. Poprzestałem na tych słowach:

— Nie płacz, łzy twoje zbyt wielką sprawiają mi boleść! —

Nieszczęśliwy młodzian usiłował się wstrzymać od łez, nie mógł wymówić słowa, albo nie śmiał mówić w obec swoich przełożonych; ale jeśli usta jego były nieme, natomiast wzrok jego był wymowny! Zwilżone oczy jego wyrażały tę bolesną, cierpiącą niemoc, jakiej się doznaje na widok umierającego przyjaciela. I milczenie i smutek jego zdawały się mówić do mnie: «Nie chcesz żebym płakał, a po raz ostatni cię widzę! Czy nie wiesz że cię prowadzą na śmierć?» Musiał zapewne słyszeć jak jenerałowie mówili, co mnie czeka, i cierpienie jego zdawało mi się prawdziwsze i więcej przekonywające, niż wszystkie piękne słowa, któremi mnie jenerał pocieszał. Ta niema scena trwała dosyć długo i nie mogłem wyrazić, ile dla mnie była bolesną. Nareszcie uwiadomo nas, że powóz gotów. Pożegnaliśmy się z jenerałami, którzy jeszcze raz wychwalali dobroć wielkiego księcia, «szczególniej dla Polaków», i wyszliśmy. Mój krewny odprowadzał nas.

— Spodziewam się — rzekłem mu po cichu — że porzucisz ten mundur. —

Ścisnął mnie za rękę i zdawało mi się, że w ściśnieniu tem była uroczysta obietnica porzucenia służby, tak niewłaściwej dla Polaka. Wsiadłem do powozu rad, że go zostawiam w tem chwalebnem usposobieniu.

Oficer, który nam towarzyszył, miał dla nas, o ile to się zgadzało z jego służbą, wszelkie starania i względy; to zachęciło mnie do rozmawiania z nim. Nasunąłem mu kilka pytań o charakterze jenerała Renne; oficer nie mógł się go nachwalić.

— Wierzę — rzekłem — że to człowiek zacny, tem chętniej, że nie przestawał nam czynić dobrych nadziei, a nawet pozwolił mi pisać do w. księcia Michała, żem wracał z własnego popędu; spodziewam się zatem, że i on w swoim raporcie nie inaczej o mnie napisał, a przynajmniej, że o mnie powiedział, iż zaraz po przybyciu do jego obozu oświadczyłem mu, iż mnie aresztowano w chwili, kiedy jechałem sam się stawić.

— Bądź pan zupełnie spokojny — odpowiedział oficer — raport jest dobry, bardzo dobry! —

Raport jenerała Renne nie był zupełnie rzeczą obojętną; jeśli był nieprzychylny, gubił mnie na pewno, jeśli był przychylny, nie ocalał mnie nieomylnie, ale mi zostawiał podobieństwo ocalenia. Rad więc byłem wiedzieć z ust tego, który go miał, «że jest dobry, bardzo dobry!» Tymczasem tego samego dnia w nieobecności oficera przypadek zdarzył, że raport ten mogłem sam widzieć. Powiedziano w nim, że jesteśmy zbrodniarze stanu, wzięci przez Czerkiesów, w chwili, kiedyśmy się chronili do Prus i że posyłają nas do Warszawy dla oddania pod sąd i karania podług całej surowości ukazów i praw. Można sobie wyobrazić, ile byłem zdziwiony, oburzony!

Jechaliśmy całą noc drogami niegodziwemi. Około piątej z rana przybyliśmy do Łowicza, gdzie dowodził jenerał Prytwicz. Oficer umieścił nas w domu pocztowym, poustawiał warty przy drzwiach i oknach, a sam poszedł do jenerała. Nie mieliśmy ognia, byliśmy przeziębli, potrzebowałem się

rozgrzać. Prosiłem więc żołnierzy (było ich dwudziestu pięciu), aby mi jeden z nich przyniósł kawy; żaden nie chciał się tego podjąć. Widząc powracającego oficera, myślałem że natychmiast pojedziemy, i straciłem na chwilę nadzieję rozgrzania się. Na szczęście jenerał Prytwicz miał do posłania depesze do jenerała Paszkiewicza i trzeba było na nie czekać. Oficer pozwolił przecież przynieść mi kawy, szkaradnej wprawdzie, ale dla mnie przeziębionego pożądanej; rozgrzany nieco i znużony, rzuciłem się na łóżko, pragnąc chwilę czekania przespać.

Już sen zacierał w umyśle zdrętwiałym czucie obecnego cierpienia, kiedy nagle drzwi się otworzyły i usłyszałem, że ktoś wszedł i rzucił płaszcz na stół. Bardzo naturalna w mojem położeniu ciekawość natychmiast mnie przebudziła: był to major gwardji z długiemi zmarzniętemi wąsami. Tylko co wszedł, zapytał naszego oficera, kto jesteśmy; ten odpowiedział mu po cichu. Major nie był tyle delikatny.

— Szkaradne pyski! (Skwiernoje roże) — zawołał. — Schwytano was przecie! Na jakież nie zasłużyliście męczarnie! —

Oburzony temi słowy, zrywam się z łózka i nie chcąc nawet mówić z tym brutalem, odzywałem się do naszego oficera:

— Oddano nas pod straż pana; nie dozwalajże temu człowiekowi lżyć nas!

— Co! — krzyknął major; i już gotowałem się do odparcia go, gdyby się był do mnie zbliżył, kiedy oficer wziął go pod rękę i odprowadził do drugiego pokoju; wnet potem grubjanin ten zabrał się i wyszedł z domu, zostawiając nam na pożegnanie:

— Czort was bierz! —

W ciągu tej nieprzyjemnej sceny, towarzysz mój, który szczegółów jej nie słyszał, przechadzał się po pokoju zupełnie spokojny; byłbym w tej chwili wolał jak on być głuchym. Niewypowiedzianie rozjątrzony, nie mogłem zasnąć i zacząłem także się przechadzać, ale nie z taką jak pan Niemojowski spokojnością. Tysiąc myśli dotkliwych cisnęło się do mego

umysłu; z postępowania majora wnosiłem, jakie mnie w przyszłości czekają zniewagi. Kiedy człowiek w tym stopniu pozwala sobie takiego zelżywego postępowania, na jakież dopiero wystawiony będę ze strony oficerów podrzędnych! Krew się we mnie burzyła i umyśliłem, co bądź nastąpi, odpierać gwałt gwałtem, kiedy w tej chwili wszedł do nas jenerał Prytwicz. Popatrzał na nas chwilę z miną poważną i godną, i raczył przemówić do nas ani mniej, ani więcej:

— Panowie pojedziecie! — i wyszedł z tą samą miną.

— Prawdziwie — rzekłem do oficera — niepotrzebnie się trudził, jeśli tylko to nam miał do powiedzenia. —

Uwagę tę z mojej strony niesprawiedliwą, tem wymawiam, że pełen złego humoru, czułem potrzebę rozśmiać się nieco po tak zabawnych odwiedzinach. Tym razem eskortowało nas dwudziestu pięciu huzarów.

Droga z Łowicza do Warszawy jest wyborna; już przynajmniej nie czekały nas niewygody podróży po wybojach dróg bocznych i już rad byłem, że wkrótce staniemy na miejscu; a im prędzej to nastąpi, tem prędzej dowiem się o moim losie. Zresztą, co bądź mnie czekało, pragnąłem przedewszystkiem wyjść ze stanu niepewności, najsroższej dla mnie męczarni.

Nie znam w istocie nieznośniejszego udręczenia; od dzieciństwa nie obawiałem się niczego bardziej jak niepewności. Liczne i dotkliwe zmartwienia pewnie nie osłabiły tego mojego usposobienia i zdaje mi się, że byłbym wolał widzieć naówczas rusztowanie, aniżeli ciągłą niepewność. Prosiłem więc naszego oficera, aby przyspieszył podróż, ale dowodzący eskortą nie chciał o tem ani słyszeć.

— Nie myślę bynajmniej trudzić koni — odpowiedział i pomimo naszych przedstawień nie przestawał postępować stępo; jakoż noc nadeszła, kiedy byliśmy dopiero na połowie drogi do Warszawy.

Jadąc powozem pana Niemojowskiego, kiedy Czerkiesi nas przytrzymali, nie miałem moich rzeczy z sobą i musiałem spać na słomie. Zaledwie się rzuciłem na takie łoże, usłyszałem jak dowodzący krzyczał na warty:

— Pilnujcie żeby nie uciekli, bo każę was ubić kijami! —

Wkrótce sam wszedł do pokoju stykającego się z naszym, otworzył i zatrzasł drzwi gwałtownie, przekonał się że jesteśmy, rzucił się na podobne mojemu słomiane legowisko i zaczął tak chrapać, że aż snu jego zazdrościłem. Ale jak było spać, kiedy myśli niespokojne tłoczyły się do głowy, kiedy co chwila słychać było stąpanie ciężkie i śpiewy smętne a jednotonne pilnujących nas żołnierzy! Całą noc oka zmrużyć nie mogłem. Nie będę nawet usiłował powiedzieć, co cierpiałem. Któż nie wie, jak srogą jest bezsenność dla nieszczęśliwego! Jak zwołuje, pobudza, gromadzi i zatruwa mnóstwo rozpacznych myśli; jak wtenczas odpycha wszelką pociechę, jak gdyby jakie droczące się urojenie; jak przyjmuje wyobrażenia złowróżbe jak gdyby objawienia prorocze; jak przewiduje wszelkie podobne, a nawet niepodobne nieszczęścia; jak sprawia, że się ich już doznaje, że się je mocniej czuje, niż gdyby były istotne; jak natenczas władza cierpienia rozdraźnia się w człowieku i nabywa siły prawie cudownej! Nie, kto nie przechodził przez udręczenia tego rodzaju, nie wie dobrze, co to jest cierpieć! Jakże długą była ta noc boleści, w której chora wyobraźnia moja nie przestawała naprowadzać mi przed oczy wszelkich poniżeń i katastrof, jakie spotkać mogły mnie i moją rodzinę!

Nareszcie dzień zaczął się pokazywać, widziadła ponure zaczęły znikać z ciemnością, kiedy jęk bolesny obił się o moje uszy. Pobiegłem do okna i ujrzałem nieszczęśliwego żołnierza, stojącego nieruchomo, którego dwaj inni z dwóch stron na przemiany po plecach szablami płazowali; o kilka kroków dalej, oficer, który nakazał tę barbarzyńską karę, przechadzał się tak spokojnie, tak obojętnie, jak gdyby się nic obok niego nie działo! Ta haniebna i zwyczajna męczarnia, ta ofiara, samą siłą ślepego posłuszeństwa pod płazami nieruchoma, ta krew zimna dwóch żołnierzy, których jedno słowo oficera zamieniło na katów swego kolegi, może swego przyjaciela; ta spokojna surowość oficera, który kazał męczyć tego człowieka, tak obojętnie, jakby fajkę swoją zapalać kazał, wszystko w tym ohydnym burzyło mnie widoku. Otóż, pomyślałem, trzęsąc się ze złości, otóż to są ludzie, od których mój los zależeć będzie! I przyszły mi na

myśl wszystkie okrucieństwa, tyle razy i świeżo jeszcze przez Rosjan na Polakach dokonywane, a zwłaszcza srogości Konstantego z więźniami stanu. Krew się we mnie burzyła; nie śmierci, nie męczarni, ale obawiałem się tych poprzedzających je podłości, których zapewne odemnie wymagać będą, tych zelżywych śledztw bez końca, tych tortur moralnych i fizycznych, któremi chcianoby wydobyć ze mnie wyznania, przeciwne mojemu honorowi. Charakter naszych nieprzyjaciół, całe ich tego rodzaju w latach 1826, 1827 i 1828 postępowanie, zapowiadały mi dostatecznie, czego się miałem spodziewać po wymyślnej dzikości, której instynkt przechowali ci na pół barbarzyńcy. Na tego to rodzaju cierpienia nie chciałem być wystawiony, bo mocno postanowiłem nie kompromitować nikogo. Przewidywałem więc, że mi wypadnie w ciągu tych udręczeń użyć pewnego, nieomylnego środka do wydobycia się z rąk moich oprawców: Wiedząc, że powstanie nie jest to igraszka dziecinna, zwłaszcza kiedy idzie o wyłamanie się z jarzma rosyjskiego, zaraz na początku wojny opatrzyłem się w truciznę, którą nosiłem zawsze przy sobie. Na szczęście i w chwili zatrzymania nas przez Czerkiesów i w chwili przybycia do obozu nie byłem rewidowany, a tak przechowałem to lekarstwo ostateczne na wszelkie nędzoty życia. W owej chwili nie byłbym go zamienił na żadne skarby świata; lubiłem go dotykać i zapewniać się, że go jeszcze posiadam. Z tkliwem uczuciem, jak gdyby rękę przyjacielską, ściskałem tę truciznę, pewny że mnie nie zawiedzie w największem niebezpieczeństwie. Miałem więc schronienie zawsze otwarte, w którem nieprzyjaciele moi nie mogliby mnie dosięgnąć, a chociaż grób był tem schronieniem, środek ten uspokoił przecie moje wzruszenie i nastroił inaczej moje myśli. Jakoż w chwili, kiedy ten nędzny oficer do izby naszej wszedł i rad z siebie, na głos się odezwał:

— Są obadwaj; otóż tak należy tych ludzi pilnować! — wzgardę jedynie obudziło we mnie to nowe grubjaństwo.

Przy nowym przeprzęgu, oficer nasz, któremu równie jak nam pilno było przybyć do Warszawy, znowu zaczął zachęcać oficera eskorty do prędszej jazdy. Komendant

wychylił był dopiero co szklankę wódki, to wprawiło go w humor nieco dobry. Jakoż zaczął mi się przypatrywać z uśmiechem i zdawało się, że mnie miną swoją pytał:

— I ty chciałbyś prędko jechać? Dobrze, pojadę kłósem, ale mnie o to poproś. —

Nie mogłem się zdecydować przemówić do niego choć słowo. Czekał, a widząc że nic nie mówię:

— Tak więc — mruknął — pojedziemy stępo — i dotrzymał wiernie słowa.

Około godziny czwartej po południu przybyliśmy do ostatniej stacji o dwie mile od Warszawy. Z tej stacji oficer nasz puścił się czwałem po rozkazy zwierzchności względem nas, a my jechaliśmy znowu pomału, aby mu dać czas do spotkania nas jak przyjedzie z powrotem. Tymczasem przybyliśmy do Warszawy i wjechaliśmy do miasta, nie spotkawszy go. Dowódzca eskorty postanowił na niego czekać i zatrzymał się śród ulicy. Powóz otoczony huzarami ściągnął natychmiast mnóstwo ciekawych; zresztą byliśmy tak znani, że wszyscy przechodzący chcieli nas widzieć. Byli, co się chcieli do nas zbliżyć, ale żołnierze krzyczeli zaraz:

— W tył! Nie zbliżajcie się! —

Biedni nasi rodacy, odpychani przez najezdzców, chcieli jednak okazać nam swoją przychylność i zatrzymywali się w pewnej odległości, tak, iż przy powozie naszym utworzyło się obszerne koło. Wszyscy ci poczciwi Polacy wzdrygali się na widok moskiewski, wszyscy byliby chcieli nas uwolnić, ale okoliczności fatalne udaremniły ich odwagę i tylko wzrokiem, którym i tak się bardzo narażali, okazywali nam swoją życzliwość.

Jak tylko oficer nasz powrócił, natychmiast kazał nawrócić i dopiero o milę za Warszawą zatrzymał nas w karczmie, trzymanej przez żyda. Miał on rozkaz przywieść nas do Warszawy wieczorem, ale nie mogłem się od niego dowiedzieć, do którego więzienia nas wysadzi.

Ponieważ nasza eskorta miała być wkrótce zluzowana, dowódzca jej uważał widać za grzeczność przyjść do nas i podobnie, jak to czynili inni oficerowie, zaczął nam dawać otuchę najpiękniejszych nadziei w dobroci Mikołaja! Kiedy

się to skończyło, myślałem że nas uwolni od dalszej swe nieznośnej gadaniny. Ale wnet zaczął mi zadawać pytania o rozmaitych miejscowościach Warszawy, o których od swoick kolegów wiele słyszał ciekawego i gdzie, jak mu mówiono, w każdej godzinie można widzieć wszystkich. To zdawało mu się cudnem i obiecywał sobie pobiedz tam, jak tylko będzie wolny, gdyż, mówił, dobrze służbę zrobiwszy, jestem z siebie zadowolony.

Znudzony i strudzony, prosiłem go w końcu, żeby mi pozwolił usnąć; opuścił mnie przecie, a ja poszedłem do stajni i rzuciłem się na siano. Już dobrze byłem zasnął, kiedy mnie przebudziło uderzenie kijem w głowę. Uderzenie nie było silne, nie wiele sprawiło mi bólu, ale było niespodziane i mocno mnie zdziwiło. Cóżby miało znaczyć? Czyżby się już miała rozpocząć procedura rosyjska? W podobnej okoliczności myśl leci szybko i chociaż natychmiast się zerwałem, tysiąc wniosków już mi było przeszło przez głowę, nim jeszcze na nogach stanąłem. Rozumiałem że ujrzę około siebie Kozaków, Baszkirów, Kirgizów i Bóg wie jakich barbarzyńców, gdy tymczasem spostrzegłem obok siebie tylko ślepego dziada, który zapewne także w stajni noc przepędził i kijem szukał wyjścia. Nie mogłem się nie rozśmiać. To przyjaciel, pomyślałem, bo także nieszczęśliwy. Wziąłem go więc za rękę i doprowadziłem do drzwi. Mała to była usługa i bez niej mógł się był obejść, ale zawsze usłużyłem mu. Podziękował mi po prostu, szczerze, i wyznaję, że nie byłem nieczuły na jego podziękowanie. Był to rodzaj dobrego uczynku, może ostatniego, myślałem, i przywiązałem cenę do tego wspomnienia. Nieszczęścia nadzwyczajne i wielkie niebezpieczeństwa zmieniają często wartość rzeczy i sposób widzenia, nadewszystko kiedy długie cierpienia fizyczne przygotowały duszę do pewnej egzaltacji, Słowem, byłem, jak dowódzca eskorty, zadowolony z siebie. Znowu się położyłem i wnet sen miły, dopóki trwał, bo przebudzenie było srogie, przeniósł mnie do mojej dziedziny, gdzie wszystko było mi drogie! Widziałem, ściskałem żonę i dzieci; zapomnieliśmy o naszych nieszczęściach. Nie powinienem był nigdy się przebudzić, bo po takim śnie szczęścia jaw wydał mi się

jeszcze okropniejszym! Zobaczęż kiedy żonę, dzieci? zapytywałem przyszłości. Potajemny głos mówił w głębi zbolałego serca: «Nigdy!» Nim zasnąłem, nadzieja wstępowała w duszę, nadzieja błędna, bezzasadna, owa nadzieja ulatująca, którą niekiedy daje nadmiar rozpaczy. Takiemu usposobieniu umysłu winienem był sen szczęśliwy i ten sen podwoił moje cierpienia! Uroniłem łzę, jedyną, którą mi wycisnęły dziewiętnaście miesięcy srogich niepokojów. Sam na siebie się gniewałem, kiedym ją w oczach uczuł. Ludzie, którzy mnie wtedy otaczali, ci, którym będę oddany, despota, który ma rozrządzić moim losem, wszyscy ci ludzie nie byli godni widzieć podobnej łzy, ani zdolni ocenić wzruszenia człowieka honoru. Ta uwaga wtłoczyła napowrót w serce westchnienia małżonki i ojca, i przypomniała dumę przyzwoitą męczennikowi patrjocie. W rzeczy samej uczuwałem pewien rodzaj dumy, widząc stałość moją w zapasach z barbarzyństwem moskiewskiem. Moskale widzieli męstwo Polaków na polach bitew, ujrzą je w męczarniach i zadrżą, myśląc że Polska jeszcze się kiedyś podniesie i przywoła do broni w przyjaźniejszych okolicznościach dzieci swoje, których żadne środki nie wyrodziły i nie wyrodzą.

Uczucia, któremi przeciw Moskalom oddychałem, były w mojem położeniu bardzo naturalne; ale niesłusznie było podciągnąć cały naród pod jedną klątwę. Są Rosjanie z umysłem oświeconym, z sercem czułem, duszą wspaniałomyślną. Są, którzy czują własne poniżenie i czekają może tylko chwili przyjaznej do uwolnienia się od ohydnego i upadlającego despotyzmu, pod którym wegetują. Niżsi oficerowie już pierwej okazywali mi byli współczucie, które naturalnie wynikało ze spółczucia dla naszej sprawy i powinienem był sobie to przypomnieć nawet w chwili przesilenia moralnego. Później stykałem się z Rosjanami, których postępowanie czyniłoby zaszczyt poczciwym ludziom w narodach najoświeceńszych; widziałem takich, którzy pojmowali i podzielali moją żałość, którzy przynosili jej ulgę, o ile mogli. Jest pomiędzy nimi jeden przedewszystkiem, który na przeznaczenie moje wywarł wpływ bezpośredni i potężny; mógł wiele i władzy swojej używał szczególniej dla osłodzenia losu

jeńców polskich, do czego było potrzeba tyle odwagi, ile ludzkości, ponieważ wystawiał się na stratę swojej świetnej pozycji i narażał nawet własną osobę. Zmuszony ukrywać życzliwość swoją pod powierzchownością surową, nie widział więźnia, nad którymby szczerze nie bolał; nie miał dnia, w którymby nie objawił się nam nowy dowód jego pieczołowitości. Taka jest jednak dzikość naczelnika carstwa, taka niewolniczość jego godnego namiestnika, iż gdyby przez niesłychaną niewdzięczność przyszła mi myśl szalona zgubić tego zacnego męża, po tej słabej pochwale dosyć byłoby wymienić go.

Około godziny dziesiątej wieczorem powóz nasz zatrzymał się na przedmieściu Krakowskiem, przed pałacem, w którym mieszkał hrabia Witt, jenerał-gubernator Warszawy. Oficer nasz pobiegł po rozkazy do hrabiego, a my czekaliśmy na ulicy przeszło pół godziny. Ulica Krakowskiego przedmieścia, jedna z najpiękniejszych i najwięcej ożywionych ulic warszawskich, była natenczas cicha i pusta. Tylko częste i mocne patrole pokazywały się na niej, a od czasu do czasu przebiegali ją w cźwale pojedyńczy Czerkiesi. Rosjanie nie byli więc spokojni; ta ich niepewność sprawiała mi radość. Tak więc Polska zdradzona, rozbrojona, w kajdany okuta, poszarpana, konająca pod stopami wojska obcego, jeszcze na to wojsko rzucała postrach! Cóżby było dopiero, gdyby Polska się podniosła z całym zapałem! Bo nie wątpmy, jeszcze ona powstanie i dopóty powstawać będzie, dopóki nie stanie silna z pomocą, czy bez pomocy Europy, która opuszczając ją, sama siebie się zdradziła. Ależ niestety! Ileż doświadczeń zgubnych, ile usiłowań morderczych poprzedzi wysilenie zwycięskie, dzień tryumfu i wolności! Na kilka tygodni pierwej Polska mierzyła się z nieprzyjacielem, powstanie miało wzniosły charakter, postawę groźną. Miałem i ja niejaki udział w tym wielkim ruchu, miałem wówczas ojczyznę, byłem szczęśliwy że jej służyłem. Warszawa miała w swojem łonie siły, zasoby, wszelkie nadzieje wielkiego narodu; a dziś, pomyślałem z gorzkim żalem, jestem więźniem w tym uwięzionym grodzie! W takiej łączności cisnących się do głowy myśli, rzuciłem wzrok na całe nasze

powstanie, na jego przyczyny i przeszkody, na jego powodzenia i klęski, na świetne nadzieje, jakie zapowiadało nam i naszym dzieciom, na korzyści, jakie obiecywało sprawie cywilizacji, na opłakany jego koniec, który nastąpił tak blisko po początku tak świetnym!

Powrót oficera przerwał te marzenia; powóz nasz ruszył na Pragę. Każdy dom obudzał we mnie jakie wspomnienie! Smutno było na widok mostu; przez ten to most waleczne wojsko nasze uskuteczniło swój fatalny odwrót. Żołnierze zapytywali się jedni drugich, zapytywali się oficerów, przechodzących, zapytywali się wszystkich, co znaczył ten niepojęty ruch, dla czego się cofano, nie będąc zwyciężonym, dla czego opuszczano stolicę, gdzie tyle środków obrony, przysposobionych na ulicach, mogło pomódz do odwetu zwycięskiego nawet po przegranej pod murami miasta. Pocóż było stawiać tyle barykad, po co dziurawić domy, kiedy nie miano używać tych barykad, tych domów? Dla czegoż oddawać nieprzyjaciołom nasze dzieci, żony, matki? Czy lepiej mścić je, niż je bronić? Będziemyż mężniejsi, silniejsi albo nawet szczęśliwsi na gołem polu, aniżeli w rodzinnym grodzie? Gdzie idziemy? Gdzie nas prowadzą? Co znaczy ten niepojęty obrót wojenny? Tak mówili żołnierze i oficerowie, i słuchali, i wykonywali niepojęty obrót wojenny! Tym razem jeszcze poświęcono Polskę Rosjanom.

Złożono nas tymczasowo w domu na Pradze, a trzydziestu żołnierzy porozstawiono około tego domu. Dwóch było zawsze w naszym pokoju. Wkrótce odwiedził nas dowódzca Pragi, pułkownik artylerji gwardji Siewers. Jego powierzchowność uprzejma zapowiadała człowieka dobrze wychowanego, jego postępowanie pokazywało człowieka ucywilizowanego. Na widok jego zapomnieliśmy z razu, że to on ma polecenie trzymać nas w więzieniu.

— Żałuję — rzekł — że nie mogę panów lepiej umieścić, ale będę się starał uprzyjemnić wam tutejszy pobyt; ile razy będziecie czego potrzebowali, chciejcie do mnie przysłać. —

— Ponieważ jesteśmy prawie u siebie, pozwól pan — rzekłem, podając mu stołek, abyśmy robili honory domu. —

Nie odpowiedział nic, ale usiadł z uśmiechem grzecznym. Rozmowa była nic nie znacząca, ale we wszystkiem, co mówił, przebijała się delikatność. Odchodząc, przyrzekł odwiedzić nas nazajutrz z rana i uwolnił nas od drugiej warty.

W gruncie grzeczność ta nie zmieniała naszego położenia, ale dała mi dobrą myśl i nadzieję, że podkomendni będą naśladowali uprzejmość swego przełożonego. Oficer gwardji od przydanej nam straży sprawdził tę nadzieję. Jak tylko mu nadmieniłem, że nam zimno, oświadczył dobrą francuzczyzną, że nam każe przynieść herbaty. Zwykle ofiarowanie i przyjęcie filiżanki herbaty jest zapewne rzeczą bardzo mało znaczącą, ale dla więźnia zziębniętego ofiarowana uprzejmie i przez człowieka, od którego się zależy, ma niewątpliwie wartość — jest wypadkiem, zasługującym na miejsce w pamięci.

Najpierwszem mojem zatrudnieniem było rozpoznać miejscowość: mieszkanie nasze składało się z dwóch izb, mój towarzysz i ja zajmowaliśmy izbę z przodu, służący pana Niemojowskiego był w izbie z tyłu domu. Przy drzwiach łączących te dwie izby stała warta, drugi żołnierz, mający rozkaz usługiwania nam, nie opuszczał nas nigdy, chyba gdy wychodził za służącym, gdyśmy go wysyłali po żywność, którą nam pozwolono przynosić z traktjerni pobliskiej, rozumie się, za nasze pieniądze. Na domiar przyjemności ustawiono przed oknami naszemi kordegardę złożoną z trzydziestu żołnierzy, którzy przepędzali swoje nudy, przypatrując się nam jak ciekawym zwierzętom.

Ponieważ wspomniałem o służącym, należy mi o nim kilka słów więcej powiedzieć. W okoliczności tej pokazał on bardzo dobry charakter i wolał raczej ponieść dobrowolne wygnanie z swoim panem, a później podzielać jego więzienie, jak opuścić go w dniach nieszczęścia; poświęcenie tem godniejsze, że biedny ten chłopiec miał zamiar żenić się właśnie wtedy, kiedy zmuszeni byliśmy opuścić Warszawę. Czas nie przełamał jego stałości; nigdy usta jego, nigdy twarz jego, nigdy całe jego postępowanie nie zdradziły najmniejszego żalu. Kiedy po piętnastu miesięcach wywieziono

mnie z więzień warszawskich do więzień wołyńskich, zostawiłem go takiego, jakim go zawsze widziałem, zawsze jednakowego humoru, myślącego bardzo mało o sobie, zajętego tylko swoim panem; nigdy nie przeszło mu nawet przez myśl, porzucić go. Poczciwy ten człowiek nazywał się Mikołaj!

(Wypuścimy w dalszem opowiadaniu z udzielonego nam rękopisu nazwiska oficerów; było ich kilkudziesiąt, którzy się zmieniali, a zatem rozmowy niektórych z autorem pamiętników nie będą mogły dać podejrzliwej władzy powodu i możności do dochodzenia osób, gdyby, co nie jest niepodobne, za słowa pociechy albo uczucia szlachetne po kilkunastu latach prześladować je chciała. Samych rozmów pominąć nie możemy, bo te malują usposobienia oficerów rosyjskich, usposobienia, które powinny nam być znajome. Autor tych pamiętników, w oryginale po francusku napisanych, zostawił do woli wydawcy oceniać wzmianki o osobach, tak, iżby nie były narażone na prześladowanie; za te więc zmiany i za sposób tłumaczenia oryginału sam wydawca jest odpowiedzialny.)

Jednego razu z rana, zaledwie się obudziłem, przyszedł do mnie oficer powiedzieć mi jak najuprzejmiej dzień dobry. Prosiłem go, aby usiadł na słomianem łożu i zaczęliśmy rozmawiać.

— Żyjemy — rzekł — w czasie, gdzie trzeba sobie zabraniać myśli!

— Przebóg! — zawołałem — pozbawiać się jedynego daru, który nas wywyższa nad zwierzęta.

— Cóż pan chcesz, tak jest przecie; dziś uważają za zbrodnię wszystko, co jest szlachetne, trzeba zapomnieć nawet o wyrazie ojczyzna! —

Innego razu przyszedł do mnie oficer z wiadomością, że Włochy powstały.

— Powstania włoskie — odrzekłem — tylko chwilę trwają; jest to płomień zapalonej słomy, nie warto o nich mówić. —

Zaledwie słowa te wymówiłem, oficer zarumienił się, zamilkł, był zmięszany. Nie pomału tą zmianą zdziwiony,

nie wiedziałem jak sobie tłumaczyć wrażenie, jakie na nim sprawiły moje słowa. Dowiedziałem się wnet przyczyny tego. — Boleśnie mi było, żem go obraził; byłbym chciał naprawić mimowolny błąd, ale nie chciałem wznawiać rozmowy, aby mu nie przypominać mojego zdania niebacznie powiedzianego. Oficer poszedł do pułkownika po książki i oddawszy mi je, ścisnął mnie za rękę i ze łzami w oczach żegnając mnie, rzekł:

— Bądź pan tyle szczęśliwy, ile tego pragnę; wierzaj mi, mocno żałuję iż mogę tylko życzyć. —

Oddalenie się tego oficera było dla mnie przykre; pragnąłem być zawsze pod strażą podobnych ludzi. Dla więźnia nie jest to małe zmartwienie, tracić dozorcę więzienia, który zarazem jest człowiekiem uczciwym; przykra jest dla więźnia zmiana nawet złego dozorcy, dla tego, że nie zna charakteru tego, który go zastąpi. Doznawałem codziennie takiego zmartwienia, takiej przykrej niespokojności. Trudno sobie wyobrazić, jak nieprzyjemną jest ta nieustanna zmiana twarzy!

Przypominam sobie w tych zmianach jednego młodego oficera, który był bardzo grzeczny, ale który posuwał ostrożność aż do bojaźni. Na wszelkie pytania mogłem z niego wydobyć tylko: Tak albo nie, zawsze z dodatkiem «panie hrabio», co nie mogło bynajmniej ożywiać rozmowy. Tak do milczenia zniewolony, zacząłem przeglądać książki, które pułkownik przysłał, kiedy i on sam wszedł. Zawsze miły i uprzejmy, upoważnił nas bez trudności do zaabonowania się w czytelni i posłał natychmiast po katalog. Prosiłem go także o pozwolenie pisania do feldmarszałka Paszkiewicza, aby się upomnieć o amnestją, z oświadczeniem, że na mocy tego przyrzeczenia wracałem do domu, kiedy byłem przytrzymany. Pułkownik odpowiedział, że nie może mi udzielić tego pozwolenia, ale to tylko będzie mógł uczynić, że będzie prosił feldmarszałka o pozwolenie.

— Ależ, pułkowniku — rzekłem z żywością — w niebezpieczeństwie, w jakiem zostaję, to jedyny dla mnie środek obrony. —

Pułkownik się zamyślił, zdawał się wahać między konie-

cznością odmówienia i chęcią przychylną. Nakoniec powiedział, że bierze na siebie za to odpowiedzialność. Dziwny kraj, gdzie chcąc mówić do władzy, trzeba jej pierwej prosić o pozwolenie mówienia.

Pułkownik dotrzymał słowa: w pół godziny po wyjściu od nas przysłał nam wszystko, co potrzeba było do pisania. Pisałem więc na ryzyko poczciwego pułkownika. Nie wiem, dla czego zbyt ufając charakterowi feldmarszałka, wyjaśniłem mu otwarcie całą moją sprawę, wyjąwszy okoliczności powrotu mojego, którą potrzeba było zmienić; wypadało to koniecznie z mojego położenia. Posłałem mój list pułkownikowi; pan Niemojowski pisał ze swej strony do hrabiego Witta i wkrótce dowiedzieliśmy się, że listy nasze doszły. Pułkownik kazał mi powiedzieć, że list mój oddał sam feldmarszałkowi Paszkiewiczowi.

Znałem niegdyś feldmarszałka; był wtenczas jenerałem brygady i uchodził za dobrego człowieka. Nie przypuszczałem, iżby zaszczyty mogły go zmienić, pochlebiałem sobie zatem, że nie będzie od tego, chwycić podawaną mu przezemnie sposobność do nadania mojej sprawie pomyślnego obrotu. Nie pojmowałem, iżby człowiek światły i mający szlachetną duszę, mógł na chwilę zapomnieć o świętości sprawy, której byłem się poświęcił. Zdawało mi się, że każdy, chociażby tylko przyzwoity człowiek, powinien mieć współczucie czynne dla męczenników tej szlachetnej sprawy, i oddawałem się słodkiej nadziei, że wkrótce odzyskam wolność. Zależało to od pana Paszkiewicza; miał do tego władzę, podawałem mu do tego pozorne środki. Dla czegoż miałby się upierać niepotrzebnie przy zgubie dawnego znajomego, którego mógł ocalić tak łatwo, tak naturalnie? Myślałem więc, że niewątpliwie będę uwolniony, że będę mógł połączyć się z kolegami na ziemi gościnnej i podzielać ich los. Poświęciwszy majątek bez oglądania się na przyszłość, nie obawiałem się, iżby mię zatrzymała chęć odzyskania go, albo unoszenia jakich szczątków na wygnanie. Pragnąłem tylko unieść moją rodzinę; o to tylko błagałem niebios, a dla dopięcia tego zamiaru dosyć mi było kilka tygodni. A gdy skutek mojego podania zdawał się pewny,

rad więc z chwili obecnej, uśmiechałem się do przyszłości, kiedy nam przyniesiono dzieło Alfonsa Karr «Sous les Tilleuils». Było to dla nas szczęśliwe zdarzenie. W każdym czasie byłbym z przyjemnością czytał dzieło to pełne wdzięków; w ówczesnem usposobieniu umysłowem zdawało mi się jeszcze przyjemniejszem. Odwiedziny pułkownika, który przyszedł wieczór przepędzić z nami pół godziny, zakończyły ten dzień szczęścia w sposób najmilszy.

Jakkolwiek miałem w przyszłość ufność, chciałem jednak zapewnić sobie sposób liczenia dni, przepędzonych w więzieniu. Tegoż samego wieczora kładąc się spać, narysowałem paznokciem znak na murze i znaki te powtarzałem co wieczór, z tą jednak ostrożnością, że czekałem aby to uczynić, iżby żołnierz stojący na warcie albo tyłem był obrócony, albo zadrzymał; sam nie wiem, dla czego tyle byłem ostrożny. Polityka rosyjska mogłaż mieć w podejrzliwej obawie moje znaczki? Tego nie wiedziałem, ale pewny byłem, że kalendarz mój mógł ją oburzyć, rozgniewać i że mogła mi kazać go zmazać ze ściany; co większa, że mogła go była wziąść za jakie hieroglify węglarskie. Może też byłoby się jej niepodobało, żem liczył dni mojej niewoli. Nareszcie, coś mi mówiło potajemnie, że kreski znaczone paznokciem na ścianie więzienia mogłyby być uważane w Rosji za tyleż zbrodni stanu, a przynajmniej za jakieś podejrzane znaki i że uczynię roztropnie, jeśli je przed kim bądź ukrywać będę.

Nazajutrz z rana pułkownik przyniósł nam smutną wiadomość: traciliśmy go, gwardja wychodziła z Warszawy i on oddalał się także ze swoim pułkiem. Zapewniłem go, że rozstanie się nasze sprawia mi najżywsze zmartwienie i nigdy nie mówiłem szczerzej. Pod jego zawiadowaniem byliśmy przynajmniej pewni, że nas nie spotkają grubjaństwa i dokuczania podrzędnych, których podobny przełożony byłby zawsze utrzymał w karbach właściwych, a zresztą byliśmy już przyjemnie nawykli do jego odwiedzin, do uprzejmej jego grzeczności, do poczciwego jego charakteru. Wszystko to zmniejszało nasze cierpienia i wszystko to ustawało dla nas od razu. W niepewności kto go zastąpi, przypominałem sobie owego wąsatego majora gwardji, któregośmy spotkali

byli w drodze i o którego brutalskich wykrzyknikach wspominałem; wspomnienie to nie zmniejszało pewnie naszego żalu.

Pułkownik Bystrom, następca pułkownika Siewersa, zachował dowództwo Pragi tylko przez dwa dni. Nie raczył nas ani razu odwiedzić, ale natomiast, kiedyśmy prosili, aby posłał zmienić zaabonowane książki, kazał nam odpowiedzieć w stylu spartańskim: Czytanie zabronione! Było to prawdziwe, niepotrzebne barbarzyństwo. Ale od kogoż pochodziło, czy od samego dowódzcy, czy zkądś wyżej? Samodzierstwo byłoż ztąd wystawione na szwank, że dwaj więźniowie czytali książki, które policja uznawała za niewinne, ponieważ pozwalała czytać je w publicznych czytelniach? Albo czy nie obawiano się, iżby częsta wymiana książek nie podała nam sposobności komunikowania się zewnątrz więzienia! Ale dowódzca placu był pośrednikiem między nami a księgarnią i miał tysiąc bardzo łatwych sposobów do przecinania tej komunikacji, zresztą tylko dla nas niebezpiecznej! Czy może nie ufano dowódzcom? Byłoby to zabawna, ale nie niepodobna nieufność!

Czy to więc dla tej, lub dla owej bardzo ważnej przyczyny, odebrano nam nagle pozwolenie czytania. W rzeczy samej rozproszając nudy czytaniem, wyrządzaliśmy wielką krzywdę sprawiedliwości carskiej; czytając, narażaliśmy niewątpliwie bezpieczeństwo carstwa! Wszakże i Żydzi wywrócili mury Jerycho samemi trąbami!

W zamian za tę karę mieliśmy na szczęście wiadomość od pułkownika Siewersa; donosił on panu Niemojewskiemu, że oddał jego list hrabiemu Wittowi, a mnie uwiadomił, że Pułkownik oddając list osobiście feldmarszałkowi Paszkiewiczowi, musiał mu o mnie mówić i mógł zapewne wiedzieć, co chciano ze mną uczynić. Nie należało mi posądzać go o lekkomyślność, a tem mniej o kłamstwo. Uważałem więc udzieloną mi pomyślną wiadomość za pewną i mniemałem, że byłbym go krzywdził, gdybym o jej pewności na chwilę był wątpił. Szło więc już tylko o to, aby czekać jeszcze dni kilka! Ale to właśnie w ostatnich dniach uwięzienia, którego blizki przewidujemy koniec, przesila się cierpliwość; liczy

ona wtedy godziny, minuty, gniewa ją i w rozpacz wprawia długość czasu i wtedy to roztargnienie staje się więcej niż kiedy bądź potrzebnem, a właśnie w podobnem usposobieniu odebrano mi jedyny roztargnienia środek. Prawie zupełna towarzysza mojego głuchota sprawiała, że rozmowy nasze były leniwe i utrudzające, a nieustanna obecność warty i tych ścieśniała koło; zresztą oddawna wyczerpaliśmy byli ich przedmiot. W nieczynności bieg naturalny myśli zwracał mnie ciągle ku bolesnym wspomnieniom, albo ku smutnym przewidzeniom. Co tu robić? Jakim sposobem wyrwać się z mąk nieczynności, na którą nas skazywano? Szukałem w głowie, jakim sposobem zapełnić chwile nudów, oprowadzałem machinalnie wzrok po pokoju, jak gdybym się mógł spodziewać znaleźć jaki przedmiot zatrudnienia; wtem ćwiartka papieru, na którą sto razy obojętnie spoglądałem, zatrzymała moją uwagę. Ćwiartka papieru, pomyślałem, wszakże to skarb! Ale bez piór, bez ołówka, na cóż mógł mi przydać się papier? Trzeba jednak z niego korzystać i myśl wynalazła na to sposób. Płatek z tej ćwiartki odcięty zwinąłem starannie w trąbkę i zrobiłem z niego gwaczyk, którego koniec maczałem w roztopionym łoju świecy, przypalając go nieco. Tym sposobem otrzymałem niby pędzel nawiedziony kolorem czarnym to słabszym, to wydatniejszym, w miarę jak mniej lub więcej używałem łoju i jak koniec trąbki mniej lub więcej nad świecą smoliłem. Pędzlem takim świeżo namaczanym otrzymywałem kolor mocniejszy, a w miarę ubywania mięszaniny łoju i zwęglonego papieru, cienie stawały się słabsze. Zapewne nie był to żaden dla sztuki nabytek, każdy ujrzy w tem tylko prawie dziecinną zabawkę, ale dla mnie, nieszczęśliwego więźnia, prawie w samotności osadzonego, było to odkrycie drogie! Ciągle probując, narysowałem pejzaż i próba udała się wybornie. Wynalazek podobał się panu Niemojowskiemu; z przyjemnością przypatrywał się, jak robota moja postępowała, a ja pracowałem tak pilnie, tak gorliwie, jak gdyby nasze uwolnienie miało być nagrodą mojej mazaniny, która zresztą miała podobieństwo do sepji. Cały wieczór przepędziłem na poprawianiu, ukończaniu, krytykowaniu i przerabianiu mojego pejzażu,

i wyznaję że wszystko to robiłem z największą przyjemnością; wieczór przeminął jak błyskawica. Nazajutrz z rana spieszyłem pokazać mój obraz oficerowi dyżurnemu; on, towarzysz mój, jego służący i żołnierz na warcie, była to moja publiczność. Więzień, czy nie więzień, artysta pracuje dla sławy; trzeba więc wystawiać na widok swoje dzieła, albo zniszczyć pędzel. Powiodło mi się cudownie: oficer był oczarowany, nie tylko samym sposobem, ale i wykonaniem. Zdanie jego było dla mnie bardzo ważne, bo już nie miałem papieru, a potrzeba było postarać się o inny. Ale jakże żądać papieru od ludzi, którzy nie pozwalali czytać? Jak go dostać bez ich pośrednictwa? Zadanie było trudne, ale umyśliłem je rozwiązać, prosząc otwarcie oficera, aby mi dostarczył papieru. Rysunek mu się podobał, a nie powinien się był obawiać odpowiedzialności za udzielenie papieru, o który prosiłem na rysunek, w każdem położeniu dozwolony. Jeśliby czynił jakie trudności, byłbym go zapytał, czy sądzi, że sam fabrykowałem papier, na którym zrobiłem pierwszy rysunek, i mogłem się spodziewać, że będzie mniemał, że wykonywał tylko zwyczaj przyjęty w więzieniu przez innych oficerów, jeśli mi każe kupić kilka ćwiartek. Plan ten udał się zupełnie, a gdy w nieszczęściu człowiek uczy się roztropności, chowałem starannie mój skarb pod słomą łóżka, aby innemu jakiemu mniej wyrozumiałemu oficerowi nie przyszła chęć zabrania go.

Po doniesieniu ze strony pułkownika Siewersa, zdawało mi się, że niezawodnie i wkrótce będę wolny; wszakże roztropność radziła oszczędzać papier i nie używać zbyt prędko zapału mego do rysunku. Chciałem więc zachować sobie sposób przeciw nudom na przypadek prawie wątpliwy, ale nie zupełnie niepodobny, gdyby uwięzienie moje się przedłużało. Przedłużyło się w rzeczy samej i oszczędzony papier wielką był mi pomocą, kiedy mnie minęła nadzieja. Wtedy zacząłem rysować z podwojoną namiętnością. Bardzo rano zapalałem skromną świecę, wydobywałem z pod słomy pędzle i papier, zawsze tylko jedną ćwiartkę na raz, z obawy, aby nie narazić całego zapasu, i robiłem pejzaż po pejzażu. Naliczyłem ich sto ośm.

— Dzieci lubią obrazki — rzekłem razu jednego do pana Niemojowskiego — otóż mam ich dosyć dla moich dzieci; zachowają ich kilka, a jak dorosną, będą przywiązywały pewną wartość do tego słabego pomnika niewoli i czułości ich ojca. Zatrudnienie to podoba mi się przez wzgląd na me biedne dzieci. Wyobrażam sobie ich radość, kiedy każdemu z nich, całując je, będę mógł dać jedną paczkę obrazków; wydawać im się będą bardzo piękne, kiedy im powiem, że to ja i że to dla nich je rysowałem. Te pięć paczek będą dla moich dzieci. Szóstą! Tę przeznaczam dla mojej żony. Nie wzgardzi nią, tak mi mówi moje uczucie, a jej serce ręczy mi za to. —

Ci, co mają słuch trudny, nie lubią, kiedy inni spostrzegają, że nie dosłyszą: jedni udają że nie uważają, co się mówiło; inni dziwią cię opacznemi odpowiedziami; najzręczniejsi przerywają nić rozmowy, której dalej prowadzić nie mogą i robią w niej wyłom, zaczynając mówić o czem innem. Nie wiem, czy pan Niemojowski znajdował się w tym ostatnim przypadku, albo czy dosłyszał wszystko, co mówiłem, bo zdawało się, że na obrazki patrząc, pilnie się przysłuchiwał; to pewna że ciągle mając zwrócone oczy na moje paczki, nieruchomy, z twarzą spokojną, odpowiedział, albo rzekł do siebie ze zwyczajną sobie i rozpacz dającą mi flegmą:

— Ładne rysunki, Bóg wie, komu się dostaną! —

Wzdrygnąłem się na tę myśl: Bóg wie, komu się dostaną! Przeznaczałem je mojej rodzinie. Że na głowę moją naznaczono cenę, że mi zabrano majątek, to się pojmuje; ale iżby mi chciano odebrać nawet cacka mych dzieci, iżby przyjaciel to przewidywał i mówił, o tem z sercem nierozjątrzonem pomyśleć nie mogłem. Rosjanie byli zdolni do tego i zdawało mi się, że słowa pana Niemojowskiego mogły im myśl tę poddać; bałem się, czy ich nie słyszano. Na szczęście skończyło się na strachu.

Przerywałem rysunki i skracałem tę rozrywkę zrazu nie tylko dla oszczędzenia papieru, ale i dla tego, że się obawiałem wzbudzić nie wiem jakie podejrzenie, zapalając świecę wśród dnia. Bałem się, iżby który oficer, chociażby tylko dla przyjemności użycia swej władzy, nie zabronił mi tej

rozrywki, aby jeden drugiemu nie zdawał sobie tego zakazu i aby zabronienie to nie stało się prawidłem straży. Ale wkrótce zapomniałem i o tej ostrożności; czas i pomyślny skutek przyzwyczajają do śmiałości, i skończyło się na tem, żem rysował od rana do wieczora. Zmieniający się oficerowie przychodzili często przypatrywać się mojej pracy, znajdowali w tem przyjemność i prawie wszyscy winszowali mi talentu, mogącego rozproszyć nudy nieczynności; jednego tylko zaczęło to niepokoić, chciał koniecznie zabronić mi tej niewinnej rozrywki, ale po wielkiej pracy udało mi się zmienić jego sposób widzenia.

III.

Pułkownik Czelejew. — Poseł Sabatyn. — Wizyta Kapucyna. — Przeniesienie do Karmelitów. — Wizyty w więzieniu.

Zanim cały oddałem się robieniu pejzażów, z nudów i potrzeby wymyśliłem był inny rodzaj zatrudnienia: szyłem i haftowałem.

Nie mając z sobą rzeczy, kiedy byłem aresztowany, uczułem brak bielizny, a nadewszystko chustek. Natomiast miałem prześcieradło przypadkiem wzięte do powozu mojego towarzysza; służący miał igłę, a nożyczki w tłumoku pana Niemojowskiego uszły szczęśliwie baczności rewidujących. Prześcieradło dostarczyło mi nici i płótna, i natychmiast wziąłem się do robienia i do obrębywania chustek. Nowa ta robota była dla mnie niejakiem zatrudnieniem, ale wnet się skończyła. Powiodła mi się, a jak Cycero mówi, że powodzenie prowadzi do ambicji, tak i mnie przyszła fantazja zuchwała upiększać chustki haftowaniem. Ani przypuszczałem, iżby zatrudnienie podobne groziło carstwu jakiem niebezpieczeństwem, i może nie byłbym się omylił, gdyby nie było na świecie pułkownika Czelejewa, który po pułkowniku Bystrom objął dowództwo Pragi. Ten zabraniał czytać, tamten nie lubił haftowania. Nie wiem jakiego figla wypłatały mu hafty, to pewna, że jednego razu zaszczycając nas pierwszą wizytą, wzdrygnął się na widok moich haftów. Była to

zła dla mnie wróżba, ale jeszcze więcej zadziwiła mię rubaszność naszego gościa. Powstaliśmy dla powitania go, ale on nie racząc odpowiedzieć na tę grzeczność, nie zdawając się zważać na nas, obrócił się do oficera gwardji i zapytał, czy nas jest dwóch. (Ich dwoje?) Zabawne to pytanie tem się usprawiedliwiało, że już od rana był pijany. Oficer zapewnił go, że nas jest dwóch, a on przystąpił z miną najpoważniejszą do opatrywania zamków przy drzwiach i oknach, i musiał je zapewne lepiej widzieć, niż nasze osoby, bo już zaufał swojemu wzrokowi i żadnych względem nich nie zadawał pytań. I Sanszo Panszy wydawali się ludzie jak orzechy, a ziemia jak ziarnko gorczycy!

Pułkownik oddalił się, nie powiedziawszy ani słowa, ale w godzinę potem oficer gwardji sam powrócił, niekontent i w złym humorze. Po chwili milczenia i jak gdyby się na otworzenie ust zdobywać musiał, rzekł do mnie:

— Nie wiem prawdziwie, jak mam panu wyrazić niedorzeczne polecenie, które mi dano w tej chwili. —

Zapytałem go, jakiego rodzaju ma polecenie, z niespokojnością, która zresztą była bardzo naturalna po owych dziwnych odwiedzinach pułkownika.

— Pan haftuje?

— Tak, cóż w tem złego?

Oficer chciał widzieć moją robotę; pokazałem mu chustkę haftowaną.

— Ależ to po prostu haftowanie! — zawołał. — Niechże sam przyjdzie odebrać panu tę robotę, ja się tego nie podejmuję! —

Gdyby w miejscu tego poczciwego oficera był inny, podobny pułkownikowi Czelejewowi, byliby mi odjęli i tę rozrywkę, byliby mi wydarli chustki, które w piętnaście miesięcy potem z taką przyjemnością ofiarowałem moim córkom i które z taką przyjęły radością! Oficer musiał zapewne wystawić pułkownikowi niedorzeczność jego rozkazu i użyć wiele wymowy, bo o tych chustkach już więcej nie mówiono. Zachowałem je więc, ale reszta bielizny poszła w kawałki. Zamiast łóżka mając tylko kilka wiązek starej słomy, zmuszony byłem sypiać bez rozbierania się i jedyny

mój frak widocznie ucierpiał w takiej służbie. Szczupła summa, którą miałem przy sobie, kiedy nas aresztowano, pomimo oszczędności, codziennie zbliżała się do końca i już zacząłem doznawać wszelkich przykrości nędzy. Ale nie skarżyłem się, dopóki jeszcze pozostawało mi nieco monety; za ostatnią sztukę kupiłem szklankę piwa i kawałek chleba: była to racja całego dnia! Nazajutrz trzeba było myśleć, jak uchronić się od cierpień głodu. Nie mogłem się odważyć prosić w traktjerni o kredyt, ale bieda i do tego zmusiła. Traktjernie zwykle nie lubią dawać na kredyt, a nasza garkuchnia tem mniej do tego była skora, że adjutant pułkownika Czelejewa poradził jej nie dawać na kredyt «tym ludziom», którzy lada chwila mogą być przewiezieni, Bóg wie, gdzie. Odmówiono nam wręcz kredytu i musiałem znieść razem i przykrość proszenia i upokorzenie odmowy. Uwiadomiłem pułkownika, że nie mam z czego żyć. Pułkownik kazał mi grzecznie odpowiedzieć: że mu to wszystko jedno. Haniebna ta odpowiedź oburzyła mnie z razu, później widziałem w niej śmieszność przesadzonego barbarzyństwa. Tak więc pod panowaniem rosyjskiem więzień stanu i zapewne wszelki więzień musi umierać z głodu, aby to tylko dozorcy więzienia było wszystko jedno. W istocie, Polska źle robi, że nie kocha podobnego rządu!

Na nieszczęście, pan Niemojowski nie był odemnie bogatszy. Wszakże obudwu nam pozostawał jeszcze jeden środek ratowania się od głodu. On miał zegarek, ja miałem tabakierkę. Powinni byliśmy zamiast udawać się do pułkownika, myśleć od razu o ich zastawieniu, ale zapomnieliśmy o nich, nieprzyzwyczajeni do takiej ostateczności. Posłałem zastawić tabakierkę, a pan Niemojowski posłał łańcuszek od zegarka. Zdawałoby się, że w więzieniu łatwo obejść by się można bez zegarka, gdy tymczasem w więzieniu najtrudniej jest z nim się rozstać. Więźniowi zdaje się, że czas nie postępuje, że cięży swoją nieruchomością: potrzeba mu coś, coby przypominało mijanie chwil, coby liczyło ich szybkość.

Przyniesiono nam pieniądze, z których żyliśmy przez dwa tygodnie, bardzo skromnie, ale zawsze lepiej niż głód cierpiąc. Już cokolwiek przyzwyczajaliśmy się do takiego

życia, kiedy zima ostra, która nieco była sfolgowała, powróciła z wszelkiemi, nieodłącznemi od niej potrzebami. W czasie tych wielkich mrozów raczono nam dawać drzewo, zawsze jednak tylko jedną szczapę na dzień, nigdy więcej, chociażby szczapa była mała. Zresztą zostawiono nam wolność użycia jej jak nam się podobało, czy w kominie, czy w piecu, chociaż ostatni potrzebował reparacji, której nam odmawiano; szpary w piecu, niepodobieństwo palenia w nim, to pułkownikowi było wszystko jedno. Komin był piękny i tak obszerny, że można w nim było spalić naraz furę drzewa. Nasza szczapka bez trudności w nim się mieściła; potrzeba było stosownego do rozmiarów komina ogniska, aby wstrzymać wiatr, który dął obszernym otworem, a nasz ogień zaledwie wabić nas mógł do komina, z którego mroźny przeciąg wskroś nas przejmował. Drzewo dawane nam znikało w tej otchłani jak ciastko w trąbie słonia, a wiatr mroźny ziębił w kilka minut popiół, przy którym chcieliśmy grzać nogi. Natenczas uciekaliśmy od tego zabójczego komina i chodziliśmy po izbie, o ile sił nam starczyło. Jest to sposób rozgrzania się bardzo oszczędny i zwyczajny pomiędzy więźniami. Trudno sobie wyobrazić, ile więzienie samo przez się zachęca do chodzenia i czyni ruch potrzebnym, zwłaszcza ludziom, którzy zdołali zachować moc swego ducha.

Słowem, nędza i cierpienia nasze były tak zupełne, że powinny były zaspokoić pułkownika Czelejewa. Dowcip godny jego nastręczył mu przecież sposobność jeszcze większego nam dokuczania. Razu jednego stojąc przed oknem, więcej niż zwykle cierpiący z zimna, głodu i nieznośnej nieczystości, na jaką nas potępiono, spostrzegłem muzykę pułku pieszego, szykującą się pod naszemi oknami i wnet potem zagrano nam marsz Dąbrowskiego: «Jeszcze Polska nie zginęła!» — Było to szyderstwo okrutne i haniebne. Nędznik pułkownik byłby może rad widział całą przykrość, jaką mi muzyką tą sprawił. Ale nie chciałem mu dozwolić tej radości i pomimo słabości i wzruszenia nerwowego, zdołałem nie tylko ukryć moją boleść, ale nawet udawać wesołość. Tem ja nędznikowi dokuczyłem. Przyszedł do nas, nim

jeszcze muzyka grać przestała; ciężka twarz jego wyrażała złośliwą i podłą radość: widocznie przychodził cieszyć się swoim tryumfem, oczy jego zatrzymywały się to na moim towarzyszu, to na mnie, a gdy żadnego wzruszenia w rysach twarzy nie dostrzegał, chciał słyszeć co mu powiemy.

— Dobrze grają, nie prawdaż? — zapytał.

— Bardzo dobrze — odpowiedziałem — nie wiem jak pułkownikowi podziękować za tę dobroć, którą nas cokolwiek rozweseliłeś; potrzebowaliśmy tego tak bardzo. —

Spodziewał się smutku, może jakiego z naszej strony uniesienia, z którego byłby korzystał, a tu nagle zbiła jego zamysł odpowiedź, której ironji ciasny jego rozum nie pojmował. Twarz jego zmieniła się, mruk jakiś stłumiony zatrzymał się na jego obwisłych ustach, odwrócił się, wyszedł i zniknął ze swoją muzyką.

Oficerowie gwardji nie byli wcale podobni do pułkownika Czelejewa. Wszyscy z małemi wyjątkami zdawali się boleć nad naszem położeniem i usiłowali wspierać naszą stałość, o której nie wątpili, ale którą sądzili być strudzoną. Zadawali sobie wszelką pracę, aby wynaleźć jaki dowód, coby nam dać mógł otuchę. Dobroć cesarza była wiecznym ich tematem; a gdy z tej strony bardzo mało miałem powodów do nadziei, szukali jej gdzieindziej i nie znajdowali żadnego prawdopodobnego. W kilka dni po manewrze muzykalnym pułkownika, jeden z nich posunął życzliwość swoją do tego stopnia, że mi dał fałszywą wiadomość o bliskiej amnestji, zapewniając że widział ukaz i wymieniając z pewnością dzień, w którym ważny ten akt miał być ogłoszony. Myślałem że zasługiwał na wiarę, bo mówił o rzeczy jak gdyby już spełnionej, którą zaświadczał człowiek honoru, a zdawała się doradzać zdrowa polityka. Łatwo więc dałem się przekonać i uwierzyłem, że się zbliża koniec mojej niewoli. Myliłem się w sam czas, bo lubo męztwo wszelkim przeciwnościom stawiać powinno czoło, jednak cierpienia pomnażane i przedłużane zużywają w końcu siły fizyczne, a rozjątrzone męztwo staje się jak gdyby furją i pustoszy siły tem więcej, im bardziej trzeba je w sobie tłumić. Niespokojność działa więcej na osłabione siły, a my właśnie

mieliśmy najsprawiedliwsze, najokropniejsze niepokoje o własny nasz los, o los naszych przyjaciół, naszej ojczyzny, naszych rodzin. Świeży ukaz zagroził nawet dzieciom powstańców; dzień i noc drżałem o los moich dzieci i nie mogłem powziąść o nich żadnej wiadomości. Wilgoć mieszkania, z którego się nigdy nie wychodzi, usposabia do tęsknoty, a mury naszego więzienia nawet w lecie nie wysychały. Do tego wszystkiego łączyły się jeszcze haniebne dokuczania i drażniące postępowanie pijaka, który w bezrozumnej gorliwości swojej chełpił się, że był naszym nadzorcą więzienia. Zwykle było to jego rozrywką, ile razy powracał z pijatyki, przychodzić do nas w nocy i przerywać nam sen. Nie udawało mu się to z panem Niemojowskim, który nie dosłyszał, ale ja nie miałem przeciw jego nocnym hałasom żadnego sposobu. O jakiej bądź godzinie w nocy wpadał do naszego pokoju, zawsze z hukiem i krzykiem, a to, aby nam zadawać pytania najbzdurniejsze. Jednej nocy wpadł do nas zasapany, pytając, który z nas Sabatyn. Jeśli był zdolny coś wiedzieć, powinno było być mu przynajmniej wiadomo, kto jesteśmy i że pan Sabatyn był więziony w innej części domu. Pod napaścią tylu bolesnych wrażeń natura ludzka chwyta chciwie pierwszy lepszy promyk nadziei, aby tylko miał za sobą prawdopodobieństwo. Uwierzyłem więc w szczęśliwą nowinę, którą mi zapowiedziano z taką pewnością.

Były już w istocie amnestje, ale były to tylko podstępne i niegodne zdrady, jak to zaraz udowodnię. Zdawało mi się, że powtórna amnestja będzie wierniej zachowana, bo inaczej dosyć było trzymać się pierwszej, a nadto zapewne, myślałem, uznano już, że jeżeli zemsta jest przyjemną zabawą dla monarchy, a niekiedy nawet potrzebą rządową, to z drugiej strony często zachodzą okoliczności, w których powinna mieć granice i ulegać innym widokom, nadewszystko kiedy już tyle uczyniono dla zaspokojenia jej i dla ohydzenia się w oczach ludzkości.

Otóż przykład, jak szanowano amnestję, ogłoszoną w imieniu cara.

Poseł Sabatyn, ten sam, o którym wspomniałem, uwierzył na nieszczęście prawości obietnicy i z gazetą, w której tekst amnestji był ogłoszony, nie chcąc się wyojczyznić, stawił się przed jenerał-gubernatorem Warszawy, hrabią Wittem. Wysoki ten urzędnik, w owej fatalnej epoce nienaganny Polak, uznał jego prawo i pozwolił mu powrócić do domu, z poleceniem wyjechania w krótkim czasie z Warszawy i udania się na Podole, rodzinnej jego prowincji. Pan Sabatyn zaczął tego samego dnia czynić przygotowania do podróży, ale nazajutrz, zapewne z rozkazu wyższej nad zwierzchność hrabiego Witta władzy, obsaczono jego mieszkanie hurmą żołnierzy i policji, porwano go gwałtownie i zaprowadzono do tego samego więzienia, do którego w kilka dni później i nas przywieziono. Nie mogliśmy nigdy otrzymać pozwolenia widzenia go, a po upływie pięciu tygodni nadzorca więzienia wywiózł go do Kamieńca, stolicy guberskiej Podola. Gubernator tej prowincji otrzymał rozkaz do rozpoznania i do osądzenia jego sprawy. Został uwolniony, cesarz potwierdził wyrok, nakazał mu powrócić dobra, ale dodał łaskawie, aby był wygnany do Permy, o trzy tysiące wiorst od Kamieńca. Bóg wie, kiedy ten nieszczęśliwy obywatel ujrzy znowu swój kraj i swoją rodzinę!

Tymczasem mieliśmy w więzieniu chwilę bardzo przyjemną; mieliśmy wizytę! Krewna mojego towarzysza, pani N. otrzymała pozwolenie widzenia go i przyjechała do naszego więzienia w towarzystwie oficera N. Po pierwszem wzruszeniu zapytała, czy nie potrzebujemy czego. Byłem w chwili złego humoru, podziękowałem jej jak należało za zajmowanie się nami i odpowiedziałem, że nie poniżymy się do tego stopnia, żeby się aż uskarżać.

— Ależ władza — rzecze towarzysz jej — musi wiedzieć, czy panowie potrzebujecie czego, bo inaczej jakże chcecie, żeby potrzeby wasze zaopatrywała?

— Jeśli tak — odpowiedziałem — więc powiem jednem słowem, że cierpimy zupełny niedostatek wszystkiego. Kilkakrotnie udawałem się do naszego komendanta pijaka, ale tak bezskutecznie, że już więcej nie myślę zgłaszać się o to, czy do niego, czy do kogobądź innego. —

Nasza nędza wzruszyła oficera, mój ton nie oburzył go;

nastawał, żebym mu opowiedział nasze położenie, i uczyniłem zadosyć jego żądaniu. Nazajutrz oficer, przysłany przez hrabiego Witta, zapewnił nas, że się miano zająć nami i prosił nas przyjąć tymczasem małą pomoc pieniężną, którą mu dał od siebie hrabia Witt.

W kilka dni potem mieliśmy inną, równie niespodziewaną wizytę: otworzyły się drzwi i wszedł — kapucyn. Na ten widok obudwu nas jedna myśl zajęła: sądziliśmy, że przychodzi przygotować nas na śmierć! Na szczęście mnich wnet nas z tego błędu wyprowadził, oświadczając, że przychodzi dowiedzieć się o potrzebach pana Niemojowskiego i zapowiedzieć mi bliskie uwolnienie. Wiadomość ta zgodna z doniesieniem poprzedniem pułkownika Siewersa, utwierdziła moje zaufanie w amnestję, o której mi także mówiono.

Nazajutrz pan Niemojowski chciał koniecznie obchodzić rocznicę moich urodzin. Mieliśmy nieco pieniędzy, nasze uwięzienie miało się wnet skończyć, żołądek nasz był wycieńczony, a oficer tak był wyrozumiały, że nam pozwolił posłać po wino. Piliśmy za pomyślną przyszłość. Omyłka wczorajsza i dobre nadzieje rozweseliły nas więcej niż zwykle, a chociaż w niczem nie przebraliśmy miary, obiad tego dnia, porównany z biednem jadłem codziennem, był prawdziwą biesiadą.

Po tej małej uczcie pan Niemojowski zaczął cierpieć na kamień. Oficer gwardji był tak ludzki posłać po lekarza, którego sam chory żądał. Po konsultacji pan Niemojowski wyraził mu żal, że na teraz nie może mu zapłacić wizyty. Lekarz odszedł, nie mówiąc ani słowa, żądał tylko, aby służący z nim poszedł po lekarstwo; w godzinę potem służący przyniósł lekarstwo i dwadzieścia dukatów.

W kilka dni później odwiedził nas jenerał Nabokow, który w postępowaniu swojem dosyć był podobny do naszego komendanta. Potem odwiedził nas więcej od tamtego ugrzeczniony jenerał Pęcherzewski, dowódzca Warszawy; towarzyszyło mu dwóch adjutantów, podczas kiedy odbywał przegląd naszych izb oficer N....

Nazajutrz wieczór komendant przyszedł do nas z listem, pytając, czy nie jest adresowany do którego z nas. Adres

ten był: «Do szwragra Józefiny». Poznałem natychmiast rękę mojej żony, ale ponieważ list mógł być pisany w czasie powstania, bałem się, czy w nim nie znajdują się rzeczy, mogące ją skompromitować. Odpowiedziałem, że miałem wprawdzie bratowę, której na imię Józefina, ale niepodobna mi wiedzieć, czy list adresowany do mnie, chyba jeśli mi będzie wolno go przeczytać.

— Czytajcież, tylko prędko! — odpowiedział brutal.

Żona donosiła mi, że nie doznaje jeszcze prześladowania. List ten lubo dawny, wielką sprawił mi radość i uspokoił mnie nieco względem losu mojej rodziny. Potrzebowałem bardzo tej pociechy i pragnąłem wiedzieć, przez jakie ręce ten list mnie doszedł.

Jednego wieczora około godziny dziesiątej, w czterdzieści dwa dni po wnijściu naszem do tego więzienia, siedzieliśmy obadwaj zamyśleni i skurczeni przy kominie, napróżno prawie łudząc się jego ciepłem, gdy nagle ujrzeliśmy majora Sojeckiego i innego oficera, którego tamten przedstawił nam pod nazwiskiem Sokołowskiego. Ci panowie przyjechali zabrać nas z sobą. Spakowano szybko rzeczy mojego towarzysza; co do mnie, nie miałem z sobą nic do wzięcia. Dwie dorożki czekały nas przy drzwiach; w jedną siadł pan Niemojowski z majorem, w drugą pan Sokołowski ze mną. Kilkunastu kozaków eskortowało nasze powozy, które ruszyły ku miastu. Przejechawszy most, spotkaliśmy katerynkarza; grał marsz żałobny.

— Przyjmuję wróżbę — rzekłem wzruszony — jestem gotów! —

Nie widząc, iżby się spełniła choć jedna z tylu nadziei, któremi mnie łudzono, zacząłem patrzeć na przyszłość z tem większem przerażeniem. Ten nocny i niespodziewany wyjazd, ta zasłona, rzucona na nasze niewiadome przeznaczenie, musiały koniecznie przeniknąć mnie boleśnie, a ta żałobna muzyka nagłe na nerwach moich, już i tak rozdrażnionych uczyniła wrażenie. Wszystko to wprawiło mnie w śmiertelną smętność. Towarzyszący mi oficer musiał wiedzieć zachowany mi los, wiedział naturalnie dokąd mnie wiezie; nie mógł słyszeć bez wrażenia przykrego słów, które wymówiłem

na odgłos żałobnej muzyki, a jednak usiłował, jak mówił, wyprowadzić mnie z błędu. Stracone słowa! Zbyt byłem przekonany, iżby słuchać słabej pociechy, którą odpychało samo jego wzruszenie i ostrożne przenoszenie mnie do innego więzienia. Tamto było dostateczne do aresztu tymczasowego, po którym miało nastąpić bliskie uwolnienie. Chciano więc albo przedłużyć nieskończenie moją niewolę, albo osadzić mnie w jakiem posępnem więzieniu, do którego zwykle wtrącają nieszczęśliwych, mających przechodzić z lochu więziennego do sądu, z sądu na rusztowanie! Bo przypomniałem sobie, że nagroda była wyznaczona na moją głowę. Cały w takich myślach byłem zatopiony, kiedy dorożki zatrzymały się przed więzieniem Karmelitów, głośnem w tych czasach tylu szlachetnemi nieszczęściami, tylu dzikiemi okrucieństwy! Wysiedliśmy.

— Tu więc ma się spełnić nasze przeznaczenie! — rzekł pan Niemojowski.

Idąc przedsionkiem, którym przechodziło przed nami mnóstwo ofiar, którego niejedna ofiara nie mogła żywa przejść napowrót, niewymowne uczucie obudwu nas przeniknęło. Ciężka brama zawarła się za nami, jak wieko trumny — zdawało nam się, że na inny świat przechodzimy!

Długie korytarze więzienia Karmelitów, dawnego klasztoru, miały rzęd cel, w których zamykano więźniów. Cela dosyć obszerna, do której nas zaprowadzono, znajdowała się na pierwszem piętrze. Oficer dyżurny gwardji i podporucznik kozacki Popow wkrótce do nas przybyli. Major oświadczył nam, że odtąd będziemy pod jego zawiadowaniem, a wewnętrzny nadzór więzienia będzie należał do podporucznika Popowa.*)

Jednego razu oficer dyżurny gwardji rzekł do mnie:

— Nie uwierzysz pan, ile ta haniebna służba nas oburza! Ocaliłem waszych wielu, którzy byli w mojem ręku;

*) Musimy znowu przerwać ciąg opowiadania i wypuścić z rękopisu niektóre wzmianki o osobach, zachowując jednak starannie słowa bezimiennych, tak jednak, iżby z nich osób nie można się domyślić.

wszyscy uszli za granicę. Bodajby znaleźli tam ziemię gościnną, nie śmiem powiedzieć szczęście! —

Głos jego wzruszony gasł, kiedy wymawiał ostatnie słowa. Po chwili milczenia rzekł:

— Miej się pan na ostrożności, tu mury słyszą. Kiedy będziesz myślał, że jesteś sam, będziesz otoczony szpiegami; nie zwierzaj się nikomu! —

Innego razu inny oficer w te do mnie odezwał się słowa:

— Uspokój się pan, wszystko zmienia się na tym świecie. Nie ma nieszczęścia bez końca; dzisiaj jesteś więźniem jutro może nim nie będziesz. Będziesz wolny i to może wkrótce! —

Z przyjemnem wrażeniem zaczęliśmy poznawać, że przynajmniej nie jesteśmy już pod zawiadowaniem takiego zwierza, jakiem był Czelejew.

Pan Popow otrzymał rozkaz rozdzielenia nas i zaprowadził mnie do sąsiednej celi, którą, wychodząc, zamknął.

Moje nowe i brudne mieszkanie miało prawie ośm stóp długości, a sześć szerokości; były w niem stolik, stołek i prycza; ale było dobrze ogrzane, szczęście, którego oddawna nie znałem. Strudzony wzruszeniami moralnemi, śród błogiego ciepła i szczęśliwy że mogłem się rozebrać, bo zastałem pościel zupełną, rzuciłem się w łóżko i przespałem do godziny ósmej z rana. Ciepło rozprężyło ciało od zimna prawie skostniałe, sen odświeżył krew i ochłodził głowę; obudziłem się z uczuciem prawie szczęścia. Ale otworzywszy oczy, spostrzegłem gdzie byłem i znowu opanowała mię myśl ponura. Z tem wszystkiem zacząłem przegląd łóżka, ścian brudnych i poskrobanych. Wzrok zatrzymał się na rozmaitych napisach na murze i zacząłem je czytać. Więzienie to widziało tyle nieszczęść, tyle zdrożności? Co się działo w tej celi? Może mi to powiedzą napisy; może znajdę na murach jakie ślady moich przyjaciół? Czytałem, ale nic nie znalazłem. W podobnem miejscu wywieszać swoje uczucia, swoje tortury, byłoby to samo co drażnić swoich katów. Pochwalałem ich roztropność, a jednak byłbym wolał znaleźć jaki ich ślad. Spodziewałem się znaleźć

sam nie wiem co, zapewne coś takiego, co jeszcze więcej byłoby mnie zasmuciło i chyba żałowałem tego nowego dla zmartwienia żeru. Nareszcie odkryłem w kącie kawałek papieru z wierszami pełnemi melancholji; z boleścią poznałem rękę jednego z moich przyjaciół. Nieszczęśliwy przepędził trzy lata w tem smutnem mieszkaniu i wyszedł z niego nie wolny, ale porwany na żołnierza do armji kaukazkiej i skazany na żołnierza na zawsze! Przemieszkać trzy lata w podobnym grobie i potem być żołnierzem rosyjskim i to jeszcze żołnierzem rosyjskim na całe życie, czy ten los i mnie zachowany, myślałem, rzucając się na łóżko. Ach! raczej sto razy umrzeć, niż do końca wycierpieć taką nieznośną męczarnię!

Wtem uderzenie młota o mur z drugiej strony obok okna zwróciło moją uwagę. Pokazał się koniec drabiny i człowiek na niej. Wnet się dowiedziałem, co tam robił: przykładał on od okna mojej jak gdyby firankę z desek, przybił ją mocno gwoździami i zostawił dla światła tylko mały otwór z góry, tak, iżby patrząc, ani na dół, ani po obu stronach okna nic się widzieć nie mogło.

— Dobrze! — zawołałem — boją się nawet, żebym nie oddychał, mierzą mi światło i powietrze, i zostawiają ich tyle tylko, ile potrzeba, nie żeby żyć, ale żeby cierpieć. Barbarzyńcy! —

Tymczasem raczono się zająć moją żywnością. Łaskawy monarcha kazał mnie utrzymywać swoim kosztem. Wyznaczono mi pół rubla na dzień, a nawet miano tę delikatną uprzejmość, zapłacić mi z góry natychmiast za pięć dni. Pan Sokołowski uwiadomiwszy mnie o tem i złożywszy pieniądze, poszedł z tą samą wiadomością do p. Niemojowskiego. Major, który mu towarzyszył, został i przyrzekł mi wystarać się, aby drewniane firanki zastąpiono kratą, którąby mi przynajmniej zostawiała więcej światła i powietrza. Uczynił mi także nadzieję otrzymania pozwolenia do widywania mego towarzysza, radził cierpliwość i obiecywał niejakie w więzieniu tem zwolnienia.

W rzeczy samej nazajutrz jenerał N... pozwolił nam jadać razem.

Słabość zdrowia pana Niemojowskiego odejmowała rozmowie część wdzięków; nie miała tej łatwości, która ją uprzyjemnia, tych krótkich wyrażeń, które oddają myśl całą, tej rozmaitości tonu i głosu, która zajmuje słuch i serce, a która lepiej maluje, niż wyrażają słowa. Trzeba było mieć ciągle głos natężony, ażeby usłyszał, co się do niego mówi. Nie można było mówić dla niego samego; trzeba było albo milczeć, albo tak mówić, iżby wszyscy słyszeli. Niewygodnie z tem wszędzie, ale w więzieniu to prawdziwy niepokój, w więzieniu zwłaszcza, gdzie, jak mnie uprzedzono, mury mają uszy. Ale jeśli pan Niemojowski nie dosłyszał, za to dusza jego była piękna, umysł oświecony. Był to mój kolega w naszym zawodzie patrjotycznym, mój towarzysz na wygnaniu, a dziś mój towarzysz nieszczęścia. Nawet bez tego pięknego charakteru, bez tych praw do mojej przyjaźni, gdyby to był człowiek zwyczajny, nawet nudny i bez uczuć, towarzystwo jego byłoby mi jeszcze potrzebne. Odosobnienie zupełne jest nieznośne dla człowieka; jakoż więźniowie niczemu bardziej nie złorzeczą, jak samotności więzienia. Człowiek jest przedewszystkiem stworzony do towarzystwa; jakie bądź, musi je mieć. W braku człowieka światłego bierze za towarzysza prostaka, w braku tego przybiera do swego towarzystwa jakąbądź żyjącą istotę, nawet taką, którąby się brzydził w innych okolicznościach. Świadkiem tego Pellico i jego pająk. W świecie najodważniejszy mizantrop ma zawsze zatrudnienia i rozrywki, może zawsze do kogoś słowo przemówić, widzi, jak inni ludzie żyją w społeczności. W lasach dziki, na niejaki czas i dla przywiedzenia jakiego zamiaru odosobniony, zajmuje się swoim celem, ma do koła siebie przestrzeń, gdzie całemi piersiami oddycha, gdzie wzrok jego nie widzi granic, gdzie tysiąc rozmaitych głosów obija się o jego uszy, gdzie się przenosi do woli z miejsca na miejsce, gdzie się przesuwa przed nim mnóstwo przedmiotów i rozmaitych zwierząt, gdzie żyje całą potęgą swojego bytu, gdzie ma dni obawy i tryumfów, gdzie panuje, gdzie jest królem natury. Ale człowiek, którego światem jest ciasne i nieme więzienie, gdzie żyje samotny, gdzie do koła nie widzi żadnego życia, gdzie słyszy tylko bicie krwi

swojej, albo krok jednostajny warty, gdzie pierś jego nie ma dosyć powietrza, umysł pokarmu, uczucie wrażeń, gdzie życie jego stłumione, ściśnione pomiędzy czterema murami, zużywa się w nudach i gaśnie w nicości! O! więzień taki wie i tylko sam wie dobrze, jaką jest męczarnią odosobnienie zupełne! Otóż na taką, rozdzielając nas, skazano nas męczarnię. Pozwolenie jadania razem zmniejszyło nasze cierpienia. Co do kraty, obiecanej mi jako łaskę w zamian za deski, które mi zasłaniały okno, trudniej było ją otrzymać; musiałem czekać sześć całych tygodni, potrzeba było na to rozkazu władzy wyższej, a władza ta upierała się zapewne przy tem, abyśmy jak najmniej mieli światła. Ta zwłoka była dla mnie tem sroższą, że jenerał, który mnie odwiedzał, pozwolił mi kupić papieru i farb. Pomimo tych przeklętych desek, mogłem widzieć dosyć jasno, ale tylko do godziny pierwszej i kiedy był dzień pogodny. Przepędzałem więc czas, z rana malując, a o drugiej lub trzeciej wychodziłem na obiad do pana Niemojowskiego; jedliśmy chętnie jak najpowolniej, aby przedłużyć chwilę towarzystwa. Żaden oficer gwardji nie miał tej surowości śmiesznej, iżby nam je chciał skracać. Powróciwszy do siebie, rysowałem przy świecy. P — przychodził do mnie codziennie, może z polecenia, ale jego życzliwość i grzeczność były dla nas prawdziwą ulgą. Wieczór wychodziłem znowu do pana Niemojowskiego na herbatę. Nie wiem, czy jenerał na to był pozwolił, czy też uważano herbatę za dodatek należący do obiadu; zdawało się, że z jednego pozwolenia wynikało drugie. To pewna, żeśmy się zgromadzali co wieczór, a po herbacie, którąśmy także ile możności przedłużali, powracałem do celi.

Tak upłynęło kilka, dosyć spokojnych tygodni. Rysunek i nasze miejscowe wizyty zmniejszały ciężar czasu; ale wszystko to było zawsze jedno i to samo. Jednostajność wszystko psuje; powróciły nudy. Trudno mi było powracać zawsze do pędzlów. Ten rodzaj przymuszonej rozrywki, bo nie miałem innej, zaczął być dla mnie pracą utrudzającą. Niekiedy aż żałowałem więzienia mojego na Pradze. Tam cierpiałem często głód, zawsze było mi zimno, wszystkiego

miałem niedostatek; ale przynajmniej okno nasze wychodziło na ulicę, mogliśmy widzieć przechodzących i słyszeć zgiełk życia. W więzieniu na Pradze nie mogliśmy wychodzić; wiedzieliśmy o tem i nie usiłowaliśmy przekraczać zakazu; tu w godzinach prawie oznaczonych wolno mi było wchodzić do celi pana Niemojowskiego, ale gdy ta godzina minęła, żołnierz postawiony przy drzwiach celi zagradzał mi wyjście; potrzeba było nieustannie się przemawiać i często udawać się do pośrednictwa oficera. To jątrzyło mój charakter i te prawie codzienne nieprzyjemności drażniły mnie, jak gdyby jaka obraza. Humor mój stawał się codziennie posępniejszy i wnet opanował mnie taki nadmiar melancholji, że wszelka rozmowa zdawała mi się odrażającą; nie mogłem przemódz nad sobą, żeby coś mówić, coś robić. Na stołku z łokciami o stół opartemi, z twarzą rękami zakrytą, siedząc, przepędzałem nieraz dnie całe, nie mówiąc ani słowa, nie ruszając się prawie z miejsca; oddychałem, ale z trudnością. Gdyby mnie kto w takim stanie był widział, byłby sądził, że się zatapiałem w rozmyślaniach, że się zagrzebywałem w przeszłości, że się gubiłem w przyszłości, gdy tymczasem nie myślałem ani o tem co było, ani o tem co będzie, ani o teraźniejszości; nie myślałem o niczem, byłem jak gdyby w moralnym letargu, doznawałem pewnego rodzaju zawieszenia życia. I wychodząc niekiedy z takiego stanu, znowu go żałowałem, znowu chciałem wpaść w taką odrętwiałość, i to natychmiast, na długo, na zawsze, bo wspomnienia rozdzierały mi duszę, bo to życie w więzieniu pragnęło śmierci.

Jednego razu dyżurny oficer gwardji, widząc mnie w takiej melancholji, zaczął mnie pocieszać, ale napróżno. Nagle zmieniając ton i swoje pocieszające rozumowania, rzekł tonem poufałym:

— Czy nie zagramy w pikietę? —

Podobał mi się taki niespodziany obrót rozmowy; przyjąłem propozycję i chociaż nigdy nie lubiłem gry, chociaż nasza gra, dla ważnej bardzo przyczyny, nie mogła być interesowną, grałem z przyjemnością, z zajęciem, i to trwało

do północy. Byłbym grał do białego dnia i nie byłbym się znudził.

Śmialiśmy się i ten małoznaczący wypadek odświeżył niejako moje myśli. Oficer odchodząc, przez grzeczność zapomniał wziąść z sobą karty; przywłaszczyłem je sobie bez skrupułu, tem bardziej, iż nie miał już powrócić i nie wiedziałem, jak mu je oddać. Posiadałem więc talję kart i obiecywałem sobie użyć ich przy pierwszej sposobności. Dostały mi się tak niewinnie, że nie widziałem potrzeby ukrywania ich i zostawiłem je na stole. Kolejny oficer odwiedzając mnie, spostrzegł je. Z twarzy i poruszeń jego, myślałby kto, że zobaczył jaki potwór. Po tem pierwszem zadziwieniu porwał je i schował do kieszeni. Nie byłem przygotowany na taką niegodziwość; widziałem w niej czyn tyrański, nędzną kradzież i w oburzeniu skarżyłem się przed majorem:

— Jakże — rzekłem — czy mają się ze mną obchodzić jak z małym chłopcem! —

Mógł był odpowiedzieć mi: Obchodzą się z tobą jak z więźniem rosyjskim, którego położenie zależy od mniejszej lub większej niedorzeczności, lub dzikości podwładnych i od tego, jak ci mniej lub więcej przejmują się srogością swego pana.

Jakież było moje zadziwienie, kiedy major tyle rozsądny i uprzejmy, wręcz mi powiedział, że w istocie nie wie, czy można mi zostawiać karty i musi się zapytać o to władzy wyższej.

— Kiedy z takiej drobnej rzeczy — odpowiedziałem — robicie sprawę stanu, nie mówmy więcej o niej. Obejdę się bez kart. —

W chwili gniewu wszelkie poświęcenia zdają się podobne; byłbym wtenczas ze wzgardą odrzucił karty, gdyby mi je byli zwrócili. Ale tylko co major samego mnie zostawił, gniew ustał, a żal powrócił, a za nim przyszły smutne myśli. Nie szło tu o rzecz ważną, ale w takiej bzdurnej okoliczności oficer wyższy, człowiek rozsądny, nie śmiał działać bez pozwolenia wyższej władzy! Jakaż to jest ta władza? Od jakich to dzików zależy mój los i któż przewidzieć może

gdzie się zatrzymają ich wymysły? Strudzony takiemi czarnemi myślami, nagle otrząsnąłem się z nich, mówiąc do siebie: «Nie chcą, żebym miał karty; otóż mieć je będę.» I natychmiast pochwyciłem za nożyczki, postrzygłem papier i zacząłem fabrykować karty z zapałem nie do uwierzenia; pędzel przybrał dawny powab, każda karta odmalowana była zdobyczą i w przeciągu tygodnia, tryumfując, układałem «patience». Do takiego układania kart nie potrzeba wiele mozołu, trudno nawet nie nauczyć się kłaść patience. Ale ten sposób zapytywania losu, który nie najwierniej odpowiada tym, co go zapytują i na którego odpowiedzi nie zwraca się względu, w więzieniu do zabicia czasu bardzo może być usłużny. Co do mnie, wyznaję że ta rozrywka, chociaż mi los najsprzeczniejsze rzeczy gadał, bardzo mnie bawiła. Głównie o to mi szło, aby mieć karty i używać ich, na przekorę nierozsądnemu despotyzmowi, który mi ich zabraniał. Było to droczyć się z tyranją, była to słabość, ale serce ludzkie takiem jest, a ja nie mam pretensji być różnym od innych. Jakoż nie przeistaczam tu żadnego mojego uczucia, żadnego mojego wzruszenia. Dla tego że grałem jakąkolwiek rolę na widowni politycznej, nie chcę sobie wyobrażać, że zwyczajne kroki natury ludzkiej nie przystoją mojej godności; nie chcę, jak to mogą czynić inni, przybierać cudzy charakter, tłumić radość, zagłuszać boleść, ukrywać wszystko, co nie należy do udanej roli i potępiać się na śmiech, albo na płacz pod maską, którą nie chcę zasłaniać mojej twarzy. Nie przestałem nigdy i nie chciałem nigdy przestać być człowiekiem i dla tego opowiadam moje uczucia tak, jak ich doznawałem.

Tego samego dnia, kiedy miałem przyjemność używać po raz pierwszy kart mojej fabrykacji, spotkało mnie inne szczęście. Adjutant hrabiego Witta odwiedził mnie i obiecał mi w jego imieniu książki. Wkrótce potem major uwiadomił mnie, że krata zastąpi deski drewniane zakrywające okno. Zmianę tę zrobiono nazajutrz. Nie wiem, czy kto kiedy miał tyle ile ja wtenczas przyjemności, znajdować się za kratą; ale też za kratą mogłem mieć więcej niż za deskami powietrza, światła, widoku. I to sprawiło mi przyjemność,

że widziałem otwarte okno i człowieka pracującego około tej kraty. Przypatrywałem mu się z uwagą, kiedy żołnierz, który mu towarzyszył, przez jakąś niesłychaną swobodę oddalił się i nas z oczu stracił. Spostrzegł to rzemieślnik i nie przestając stukać młotkiem, zaczął mi się przypatrywać, nie przez ciekawość, ale z wyrazem bólu. Kiedy mu odpowiedziałem na zapytanie, jak się nazywam, uchwycił mię za rękę, ucałował ją i rzekł po cichu:

— Będziesz pan wiedział — —

Wtem żołnierz powrócił, rzemieślnik przybrał zwyczajną minę, skończył swoją robotę i zniknął.

IV.

Pani F.... i L.... — List odcięty. — Wysocki. — Mysz. — Wzięcie trucizny. — Pani S.... — Ks. J.... — Poseł augustowski. — Poświęcenie się oficera rosyjskiego.

Wszystkie te pomyślne wypadki zmniejszyły cierpkość mojego humoru; ale gdy ich nic nie urozmaicało i gdy książki przyobiecane nie przybywały, pomimo kilkakrotnego przypominania oficerom obietnicy, nudy powróciły w całej mocy. Dopiero po czterech tygodniach przyniesiono mi kilka tomów, które pożerałem. Zabłysł mi znowu promyk szczęścia, bo wkrótce potem dwie damy, panie F... i L..., otrzymały pozwolenie widzenia mnie, i odwiedziny te były tem przyjemniejsze, że nie byłem przysposobiony do takich względów władzy. Zapomniałem o mojem nieszczęściu, widząc je wchodzące. Serce moje nie starczyło wzruszeniom niespodzianej szczęśliwości, jaką mi sprawiły te nieprzewidziane odwiedziny. Więc o mnie wszyscy nie zapomnieli, więc oprócz rodziny są jeszcze osoby, które się mną zajmują! Nagłe zjawienie się przyjaciela byłoby mi sprawiło niewypowiedzianą radość, ale kobiety odwiedzające w więzieniu człowieka, którego zaszczycają swoim szacunkiem, przynoszą w nieszczęściu pociechę nierównie większą i odmienną. Serce ich jest tak czułe, tak wspaniałe, ich uczucia, ich troskliwość tak są delikatne, ich głos ma tyle wdzięku, ich wzrok tyle słodyczy i mocy przekonywającej! Mówią o tem

samem, ale inaczej i lepiej jak najczulszy przyjaciel. Wy-
mawiają te same słowa, ale innym tonem, prawie innym
językiem; bo przyjaciel tylko mężczyzną, a kobiety istotami
nad niego wyższemi przez te rozmaite rodzaje zasługi, które
zdobią dni szczęścia a nadają powab nieszczęściu. One to
budzą w duszy człowieka to uczucie roskoszne, w którem
się łączą wrażenia czułej prostoty dziecinnej, słodkiego po-
ciągu delikatności i wdzięków, i uwielbienia dla zbioru
wszelkich cnót i doskonałości ludzkich. Wszędzie są kochane.
Podziwiają ich i wynoszą je pod niebiosa w salonach, gdzie
jaśnieją takim blaskiem! Cześć im składają w życiu domo-
wem, jak bóstwom opiekuńczym! Ale kiedy zstępują do
lochów więziennych, aby nieść pomoc i pociechę, niekiedy
aby oswobodzić biednego więźnia, ach! wtenczas piękność
ich jest wzniosła, wtenczas uznajemy w nich naturę wyższą,
spełniającą misję boską! Kto ich nie widział w okoliczno-
ściach, gdzie mogą rozwijać wszelkie zasoby swego rozumu,
wszelkie skarby swej duszy, ten znał je niezupełnie, albo
raczej ten ich nie znał wcale.

Co do mnie, nie mógłbym zdać sprawy z wrażenia,
jakiego doznałem w czasie tej wizyty. Byłem zbyt wzruszony,
zbyt szczęśliwy! Nim odeszły, zapytały mnie, czy mi czego
nie brakuje.

— Niczego! — odpowiedziałem bez wahania się i tak
dobrodusznie, że to musiało im się zdawać dziwno. Moja
odpowiedź była zmyślona i razem prawdziwa. Zmyślona, bo
w istocie wszystkiego mi brakowało; prawdziwa, bo w chwili,
kiedy mówiłem, cały byłem oddany mojemu szczęściu i nie
myślałem bynajmniej o nędzy mojego położenia. Musiały
zapewne zrozumieć rodzaj szału, w jakim się znajdowałem,
bo odwołały się od słów moich do własnych oczu i bada-
wczy ich wzrok przebiegł wszystkie części mojej celi; potem
odeszły.

Zjawienie się ich sprawiło mi wielką radość, oddalenie
się ich pogrążyło mnie w smutek. Samotność zdawała mi
się większą i okropniejszą. Widziałem się więcej odosobnio-
nym, nieszczęśliwszym, niż pierwej. Nazajutrz oficer przy-
szedł z dwoma żołnierzami, obładowanymi rozmaitemi pakami,

które mi te damy przysyłały. Były to prześcieradła, kołdry,
kaftaniki, chustki, paki cukru, cytryn, konfitur, słowem,
otrzymałem od nich wszystko, co tylko wymyśleć mogły po-
żytecznego i przyjemnego dla więźnia, pozbawionego wszel-
kich zasobów pieniężnych i wszelkich komunikacji ze swoją
rodziną.

Niewątpliwie los mój polepszył się pod względem po-
trzeb fizycznych; nie doświadczałem już niedostatku rujnują-
cego ciało, a z ciałem osłabiającego duszę. Ale doznałem
skutków przeciwnych i niemniej przykrych. Z powrotem sił
wróciła energja, z energją niecierpliwość gwałtowniejsza na
ogołocenia i cierpienia moralne, zwłaszcza iż po siedmio-
miesięcznych zawodach nadziei, nie mogłem mieć już żadnej.
Na domiar nieszczęścia nie otrzymywałem żadnej wiadomości
od mojej rodziny. Dzieci moje, lubo bardzo małe, nie mu-
siały zapomnieć ojca; żona moja przez lat dwanaście otaczała
mnie szczęściem; nieszczęśliwy jej mąż mógł stać się tylko
droższym dla niej. Ale, albo uważała, że byłoby nieroz-
tropnie pisać do mnie, albo, co było podobniejsze do pra-
wdy, listy jej były przejmowane. Od siedmiu miesięcy
odebrałem od niej tylko ten bilet, o którym poprzednio
mówiłem. Nie wiem, jakim sposobem ów gbur komendant
mógł mi go zostawić po oddaniu mi go dla poznania ręki.
Może o nim zapomniał, a ja, bojąc się, aby go odemnie
napowrót nie był żądał, miałem go schowany w woreczku
płóciennym, który uszyłem z kawałka prześcieradła i nosiłem
przy sobie, jak nabożni szkaplerze. Czytałem go był często,
umiałem go na pamięć, a jednak odczytywałem go w napa-
dach melancholicznych i rzadko kiedy nie czułem się spokoj-
niejszym, rozpatrując się w piśmie tej czułej, tej wspaniało-
myślnej przyjaciołki. Niekiedy odczytywanie tego biletu
obudzało we mnie trwogę, której w sobie tłumić nie chcia-
łem. Obawiałem się, aby nie wywierano zemsty na żonie
i dzieciach za mniemane zbrodnie męża i ojca, i aby po
zrujnowaniu ich nie zrobiono sobie jeszcze przyjemności
poświęcenia. Może — myślałem nieraz — może się to
już stało! Ach! ileż to boleści doznaje w życiu serce czło-
wiecze!

Jednego razu major przyniósł mi nareszcie — list, nie, kawałek listu od mojej żony. Były to tylko ostatnie sześć wierszów, reszta zdawała się zapewne podejrzaną, zatrzymano ją więc, ale nóż inkwizytorów jeszcze i z tych sześciu wierszów odciął część frazesu. Oburzyło mnie to bezbożne i bezrozumne obcinanie, skarżyłem się o to majorowi w wyrazach gorzkich, wystawiałem mu, że moja żona nie jest szalona, iż wiedząc gdzie się znajduję, nie mogła, jakie bądź byłyby jej myśli, pisać do mnie cokolwiek by niepokoić mogło władzę najpodejrzliwszą. Major słuchał mię cierpliwie, pozwolił mi powiedzieć wszystko, co miałem na sercu, zdawało się, że się wstydził za złośliwy bezrozum władzy i że niepotrzebne dokuczanie mi sprawiało mu przykrość; ale nie śmiał nic powiedzieć, a gdy mówić przestałem, za całą odpowiedź ruszył ramionami i odszedł.

Kiedy pomyślę o tym czasie, kiedy małe pociechy następowały niekiedy po wielkich zgryzotach, a cierpienia srogie po krótkiej radości, wystawiam sobie często, że byłem wtenczas pod wpływem dwóch potęg: jednej przeważnej i zaciętej do szkodzenia mi, drugiej podrzędnej, ale usilnej w przynoszeniu mi ulgi. Był to Oromaz i Ariman, którzy wywierali swój wpływ na więzienie Karmelitów. Ariman, jakie bądź było nazwisko jego na tym świecie, byłby niechybnie całego listu mnie pozbawił, gdyby Oromaz, którego także nie wiem nazwiska, nie miał był tyle dobroci, a może powinienbym powiedzieć, odwagi, że mu wyrwał kawałek tego listu, aby mię nim pocieszyć!

W kilka dni potem dowiedzieliśmy się, że nasza pensja podwyższoną została do 5 złotych na dzień. Wystarczało to na nasze potrzeby, ale właśnie dla tego do reszty znikała moja nadzieja. Widziałem bowiem, że wszystko urządza się na uwięzienie, które nie ma mieć końca. Moje napady melancholiczne stawały się coraz częstsze, liczniejsze i czarniejsze. Życie ciężyło mi, chciałem zrzucić z siebie jego brzemię, i sądzę że byłbym to uczynił. Ale jeszcze w ostatnim liście żona moja, znając mój charakter, błagała mię, abym się zachował dla niej i dla naszych dzieci i miał nadzieję w przyszłości, której koleje niezawisłe są od wszelkich przewidzeń ludzkich. Nie mogłem powiększać boleści mojej żony; rezygnując się żyć, sądziłem że czynię więcej, jak gdybym umierał w jakiejbądź innej sposobności. Nie byłbym chciał za nic w świecie, iżby mi miała wyrzucać samobójstwo, któregoby nie usprawiedliwiały najgwałtowniejsze pobudki. Ale byłbym uściskał serdecznie przyjaciela, który byłby przyszedł powiedzieć mi: — Mają cię natychmiast rozstrzelać!

W takiem byłem usposobieniu, kiedy Kapucyn, który już nas odwiedzał w więzieniu na Pradze, znowu do nas przybył. Usiłował czynić mi nadzieje. Wyraz ten przypomniał mi tyle zawodów, że go z oburzeniem usłyszałem. Przerwałem słowa zakonnika i zawołałem:

— Nie mów mi o nadziei! Uczyniłem co należało; sumienie moje jest spokojne i jestem wyższy nad nadzieję! —

W podobnych wyrazach odpisałem na list brata. List mój musiał przechodzić przez władzę. Dla tego jednak nie chciałem pisać w nim z umiarkowaniem, rozpuściłem pióro i pozwoliłem sercu wylać się. Pilnujące mnie osoby znalazły w tym liście wyrazy ostre i mało względności dla ich narodu; musiały nadewszystko uważać z przytoczonych w nim wyrazów: «Co bądź nastąpi, czyń coś powinien», że miałem się w sumieniu za rozgrzeszonego z czynów, które, jako Rosjanie, mogli nazywać bardzo zbrodniczemi, a jednak rad jestem oddać im tę sprawiedliwość, ani myśleli ukarać mię za tę dumę i zdawali się nie spostrzegać w moim liście nic, coby mogło było ich obrazić. Przeciwnie, mniemam, że życzliwość ich dla mnie od tego czasu była jeszcze czynniejszą i delikatniejszą. Pojęli oni byli położenie moje i swoje. Uczuli, że duma przystoi nieszczęściu, jak wspaniałomyślność powodzeniu.

Stopniowo straciłem apetyt, sen i siły. Wpadłem znowu w tę apatję moralną, której szczególnej symptomata już wskazałem. W takim stanie zawieszenia bytu zostając, jednego razu o północy usłyszałem chód powolny kilku osób w milczeniu kurytarzem postępujących. Brzęk kajdan łączył się z odgłosem stąpań.

— Niestety! — pomyślałem — rzucają ofiarę w to piekło,

albo prowadzą ją na stracenie! Może nieszczęśliwy wolałby żyć i łudzić się jaką zwodną nadzieją; prowadzą go na śmierć, podczas kiedy tu zostawiają mnie, co pragnę ztąd wyjść jaką bądź drogą! —

Wstałem, przyłożyłem ucho do drzwi, słuchałem i dosłyszałem tylko stąpanie i brząkanie kajdanami pośród więziennego milczenia nocy! Nazajutrz o tej samej godzinie te same odgłosy odbiły się po kurytarzu, ale w kierunku przeciwnym. Dniem pierwej przyprowadzono ofiarę, teraz odprowadzono ją. Gdzie? Bóg wie? Nie był to kto inny tylko Polak. Dowiedziałem się później, że to był nieszczęśliwy Wysocki, na jeden dzień przywieziony do naszego więzienia i z niego powieziony podobno do Zamościa.

Wkrótce potem traf nastręczył mi dziwne roztargnienie. Było to w nocy, świeca paliła się w mojej celi, nie spałem, miałem oczy zwrócone na podłogę; wtem mysz wybiega z pod pieca, szukając co do zgryzienia. Zaraz przychodzi mi myśl ułaskawienia jej na moją towarzyszkę. Rozmiary celi pozwalały mi dosięgnąć prawie wszystkiego, co się w niej znajdowało, bez wstawania z łóżka. Wyciągnąłem pomału rękę, zatrzymując oddech w obawie, abym nie przestraszył gościa i rzuciłem okruszynę chleba. Mysz szybko jadła i uciekła, druga okruszyna znowu ją odpędziła i zwabiła; rzucałem inne okruszyny ze skutkiem coraz większym. Uciekała za każdym razem, ale już nie tak prędko i już nie chowając się do swojej kryjówki. Nie była to już bojaźń, ale tylko roztropność. Nazajutrz więcej się ośmieliła, a w kilka dni potem ufała i wkrótce stała się poufałą. Brała wszystko, co jej dawałem. Wołałem jej, brząkając w szklankę i natychmiast przybiegała. Pozwalała się brać w ręce, skakała na mnie i na rękę i z niej jadła. Nie opuszczała żadnego obiadu i nie zapominałem nigdy nasycić ją najpierwej. Podziwiałem jej ufność, zręczność, a nadewszystko jej nadzwyczajne ochędóstwo. Jeśli się zdarzyło, że coś mokrego przyczepiło się do jej łapek, potrząsała je i czyściła starannie. Ocierała sobie pyszczek jak człowiek przyzwoity i brakowało jej do tego tylko serwety. Poważna jej mina bardzo mię bawiła. Z miną pani stołu zasiadała

na nim, jak gdyby zabierała go w swoje posiadanie, z miną pogardy odrzucała niekiedy okruszyny i niecierpliwie czekała na inne. Wszystko to i tysiączne szczegóły, którychbym tu spisać nie mógł, niezmiernie mi się podobały. Przywiązałem się do tej małej istoty, dla której byłem jak gdyby Opatrznością; czułem że ubolewałbym, gdybym ją stracił. Straciłem ją jednak: zabił ją Kozak. Nie było mnie, kiedy biegała w celi; Kozak wchodzi, spostrzega jak uciekała i pod mojem łóżkiem zastawia na nią łapkę. Przebudziwszy się nazajutrz, sztukam w szklankę. Nadaremnie! Mysz się nie pokazuje. Zdziwiony wstaję, szukam wszędzie i znajduję pod łóżkiem ciężką deskę, a pod nią biedną mysz moją na śmierć spłaszczoną!

— Niegodziwi! — zawołałem w złości — nic się więc nie uchroni przed waszem barbarzyństwem! Męczycie ludzi, zabijacie zwierzęta! —

Widziałem w tym czynie płaską złośliwość; była to tylko omyłka życzliwości niewczesnej. I otóż często, jak się sądzi! Poczciwy Kozak chciał mi oddać przysługę, uwalniając mnie od gościa, zwykle nieprzyjemnego, i wnet przyszedł z zapytaniem, czy się mysz złapała? Poznałem z jego zapytania, że on był sprawcą tego czynu, że nie powiem, tej zbrodni, a z jego miny widziałem, że rad był, iż mu się powiodło. Uniosłem się, on się zmięszał, i stanęliśmy przed sobą obaj zatrwożeni: on mojem uniesieniem, ja jego miną zdziwioną i upokorzoną. Usprawiedliwiał swój postępek dobrą chęcią, a że prawdę mówił, ręczył za to wyraz jego twarzy i głosu. Żal jego z tej przyczyny dowodził, że miał dobre serce. Zastanawiałem się nad tym człowiekiem i mogłem w nim dostrzedz pod rubaszną powierzchownością duszę szlachetną, charakter niezwodny. I nie myliłem się tym razem. Później ośmieliłem się zawierzać jego poświęceniu, nie zdradził mię nigdy, często oddawał mi przysługi. Przezorność nie pozwala mi wymienić go; żelazne panowanie, pod którem wegetuje, zabrania ludzkości, nadewszystko żołnierzowi prostemu. Takiej zbrodni nie przebaczają w Rosji i za podobne czyny nie ma tam przedawnienia!

Z czasem pocieszyłem się po stracie myszy. Miałem

ważniejszy do zastanawiania się przedmiot: chciałem dobrze poznać mego Kozaka. Ten człowiek mógł być mi kiedyś użytecznym, a może ułatwić mi ucieczkę jakim nieprzewidzianym sposobem, bo w sercu człowieka jest zawsze dla nadziei otwarta droga.

Mieliśmy częściejsze odwiedziny i byłyby one dla mnie ulgą się stały, ale nikt nie mógł mi dać wiadomości o mojej rodzinie i to podwajało moją niespokojność. Im więcej widziałem osób, tem bardziej się troszczyłem. Czy podobna, iżby żadna z osób, mną się zajmujących, zupełnie nie wiedziała, co się stało z moją żoną i z mojemi dziećmi? Ukrywają zapewne, myślałem, przedemną jakie nieszczęście, o którem nikt nie śmie mnie uwiadomić. Tyle nieszczęść odrazu ugodziły żonę moją tak delikatnego zdrowia, że serce i siły jej musiały być zgruchotane! A gdyby nawet żyła, czy nie było ukazu, wydanego w XIX. wieku, ukazu godnego Mikołaja, dotyczącego dzieci powstańców! Drżałem o moje dzieci, myśląc o tym ukazie. Gdzie się znajdują? Co z niemi zrobiono? Zostawiono je, albo czy nie wydarto je matce? Jeśli matka żyć przestała, co się z niemi stało? Jeśli je porwano od matki, jak mogła znieść taki cios zabójczy? Ta niespokojność, która dotychczas mało kiedy mi folgowała, opanowała teraz wyłącznie moją duszę; nie mogłem myśleć o niczem innem. Niebezpieczeństwa i cierpienia, mnie samego tylko tyczące, mogły były utrudzić moją cierpliwość i rozjątrzyć mnie; ale w końcu znosiłem je. Niebezpieczeństwa i nieszczęścia mojej rodziny dosięgały najczulsze strony serca. Kiedy szło o mnie samego, oburzenie i złość wspierały mnie; kiedy szło o moją rodzinę, ulegałem przeważniejszemu uczuciu. Oddawna nie miałem życia oddzielnego; żyłem jej życiem, w niej była sprężyna mojego bytu; ciosy w nią uderzone, mnie zabijały; trzymając mnie w zupełnej niewiadomości o jej losie, odbierano mi życie pomału. Major widząc mnie niknącego przerażającym sposobem, zadawał mi codziennie tysiąc pytań względem przyczyny tego pogorszającego się stanu; obawiał się, czy to nie był skutek jakich potajemnych dokuczań, o których duma wzbraniała mi go uwiadomić. Zapewne miałem się o co

skarżyć, ale nie na podwładnych; nie było w mocy majora zaradzić temu. Sądziłem, iż nie powinienem był objaśnić mu przyczyny cierpień, które pustoszyły moje serce.

Pewnego dnia dowiedziałem się od osoby, która mnie odwiedziła, że śledztwo wnet się rozpocznie i że powszechnie sądzą, że nominacja moja i działania moje jako reprezentanta Wołynia będą punktem głównym mojej sprawy.

Byłem pierwszym i jedynym reprezentantem całej prowincji i w tym charakterze zasługiwałem na szczególniejszą uwagę ze strony rządu rosyjskiego. Dla wywarcia zemsty zależało mu znać obywateli, którzy dane mi pełnomocnictwo podpisali. Akt ten nie znajdował się w ręku rządu. Wielu obywateli nieobecnych w chwili wyboru, przysłało mi później na piśmie swoje przystąpienie, i obywatele ci nie miawszy w powstaniu udziału żadnym innym jawnym sposobem, wolni byli od poszukiwań władzy, a gdy tylko moje zeznania mogły ich odkryć, byłem więc pewny, że o nazwiska ich będę pytany. Nie mógłbym ich zdradzić, władza obstawałaby przy swojem żądaniu, ja przy mojem milczeniu, i Bóg wie, jakich użyłaby środków, aby pokonać mój opór, któryby wzięła za nowy czyn buntowniczy. Przeszłość, ale przeszłość, że tak powiem, wczorajsza, dostatecznie pokazywała, jakich okrucieństw władza ta mogłaby się dopuścić. Odpowiadałem za serce, ale nie mogłem ręczyć za siły fizyczne. Byłem tak osłabiony! A gdyby nawet nie zachwiała się moja odwaga jakże długie i liczne byłyby okrucieństwa tej próby i czy nie wyszedłbym z nich umierający, albo może nie żywy? Na cóż więc przedłużać konanie, kiedy w mocy mojej był zgon szybki i mniej okropny? A gdybym upadł na siłach, naraziłbym, zgubiłbym z całemi rodzinami mnóstwo obywateli, którzy położyli we mnie zaufanie, i shańbiłbym się. Byłoby to za drogo okupywać życie i wolność za podobną ohydę. Tymczasem trzeba było wybierać: albo czekać nieroztropnie prób, może nad moje siły, albo szukać ucieczki przed tą fatalną epoką. Mogłem przez samobójstwo uniknąć śledztwa; winienem był tę ofiarę moim wyborcom, których bytu nie miałem prawa narażać, winienem ją był żonie, dzieciom, którym nie mogłem zostawić shańbionego imienia.

Takie wziąwszy postanowienie, zabrałem się natychmiast do wykonanis go; potrzeba było czekać wieczora, aby nie doznawać w tem jakiej przeszkody. Przygotowania niezbędne zatrudniały mnie do obiadu; udało mi się dostać pióro, a z tuszu zrobiłem atrament. Ułożyłem testament i napisałem list do żony; ostatnie moje myśli do niej i do dzieci należały. Żegnając ją, dziękowałem jej za szczęście, którem otaczała dni moje, prosiłem, aby przebaczyła, że ją pozornie przynajmniej dobrowolnie opuszczam, wystawiłem jej pobudki, które mnie do tego kroku ostatecznego spowodowały i którym sama nie mogłaby się oprzeć. Błogosławieństwo i kilka rad dla dzieci kończyły list i moje przygotowania.

Jeszcze nie skończyłem był pisać, kiedy zawołano mnie na obiad. Dziwna sprzeczność sprawiła, że zastałem pana Niemojowskiego w najlepszym humorze. Nie widziałem go nigdy tak wesołego. Chciał wina, nastąpiły toasty i zaczął je, pijąc za zdrowie mojej żony. Nic naturalniejszego; nic nie sprawiło mi większej nieprzyjemności. Pić zdrowie mojej żony, w chwili właśnie, kiedy jej miałem sprawić tak okrutne zmartwienie! Przyszła na mnie kolej.

— Możemy wkrótce się rozstać — rzekłem — piję zdrowie twoje; twoje szczęście, szczęście twojej rodziny! —

Powróciwszy do celi, już tylko spełnieniem mego zamysłu byłem zajęty. Dzień był na schyłku, zmrok odpowiadał mojemu położeniu. Bliski porzucenia tego życia boleści i mając za chwilę rzucić się w świat nieznany, czułem potrzebę szukania opieki, którąby mi tam towarzyszyła; zgięły się kolana, oczy, myśli, dusza, zwróciły się ku niebu. Modlitwa moja była długa; modliłem się za rodzinę, za ojczyznę. Połączyły się z nią łzy; ojczyzna i rodzina były tak nieszczęśliwe! Ach! niech nikt nie nazywa mojej modlitwy słabością, albo czynem zabobonnym! Byłem sam, pośród milczenia i ciemności; za chwilę miałem umrzeć bez osłabienia moralnego, bez egzaltacji, bez złudzeń; byłem ojcem, małżonkiem i obywatelem; miałem się rozstać z ojczyzną, dziećmi, i w jakim stanie, w jakimże ręku zostawiałem te najdroższe mi przedmioty!? Czyjej opiece powierzyć je na tej ziemi?! Potrzeba było albo porzucić je

zimno, a to było dla mnie niepodobieństwem, albo polecić je niebu, gdyby nawet modlitwa moja nie znalazła tam wysłuchania. Zdawało mi się, że będzie wysłuchana; była to ostatnia moja na tej ziemi nadzieja, chwyciłem się jej, potrzebowałem w nią wierzyć, wierzyłem w nią i ta ufność dała mi spokojność, która bez niej byłaby daleką była od mojego serca. Już tylko o sobie mając do myślenia, przystąpiłem do dzieła. Wydobyłem truciznę, ukrytą w sukni, pochłonąłem ją i położyłem się, w przekonaniu że więcej nie wstanę. Wnet powieki zaczęły mi ciężyć, głęboki sen odrętwił wszystkie moje zmysły. Około godziny 5 z rana przebudziły mnie nagle okropne bole, byłem skurczony, we dwoje zgięty i nie mogłem się wyprostować; brakowało mi oddechu, myślałem że się uduszę. Zrazu nic sobie nie przypominałem, cały byłem w cierpieniach. Otworzyłem usta, żeby wołać o ratunek, i pamięć w tejże chwili zdawała się powracać. Wstrzymałem krzyk, bliski wydobycia się, byłbym chciał wstrzymać moje tchnienia, drżałem na myśl ratunku, konieczności zaczynania znowu, a może niepodobieństwa wykonania zamiaru! Mogłem milczeć, ale niepodobna mi było pozostać w nieruchomości; natura dopominała się ulgi. Usiłowałem usiąść, wysilenie to wyczerpnęło siły, zimny pot wystąpił na mnie, padłem znowu na łóżko prawie bez przytomności. Byłem w tym stanie, kiedy służący pana Niemojowskiego wszedł dla uprzątnienia celi. Widząc moją bladość, oczy obłąkane, twarz zmienioną, pobiegł przestraszony uwiadomić Kozaków, że umieram. Ci uwiadomili swego komendanta Popowa, który natychmiast przyszedł. Zapytał mię, co mi jest i czy potrzebuję lekarza? Odpowiedziałem, że mi nic, że go nie potrzebuję. Po tej rozmowie krótkiej pan Popow, który zresztą był dobrym człowiekiem, odszedł spokojny. Około południa bóle ustały na chwilę, ale wnet wróciły jeszcze silniejsze. Pan Niemojowski, uprzedzony przez służącego, przyszedł wtenczas do mnie, a widząc że życie moje jest w niebezpieczeństwie, posłał natychmiast po Popowa.

— Jakże — rzekł mu — nie przywołujecie lekarza do hrabiego Olizara?

— Kiedy go nie chce — odpowiedział Popow.

— Bo zapewne chce umrzeć; ale waszą powinnością jest ratować go. —

Zatrwożony tem, co słyszał Popow, pobiegł uwiadomić majora. Ten nie byłby stracił chwili, gdyby mu było wolno było działać stosownie do własnego popędu; ale w Rosji, kiedy idzie o więźnia, najmniejsza rzecz wymaga nieskończonych formalności. Czy jest niebezpieczeństwo dla życia więźnia, czy go nie ma, lekarz prędzej nie przyjdzie. Jeśli więzień umarł, tem gorzej dla niego, ale formalności były zachowane: to rzecz główna. Major nie mogąc brać na siebie odpowiedzialności, zdał raport jenerałowi Pęcherzewskiemu, jenerał posłał swój raport hrabiemu Wittowi, który zapewne feldmarszałkowi swój raport zdać musiał. Ważna sprawa o lekarza musiała tym sposobem przechodzić, bo lekarz hrabiego Witta przybył dopiero nazajutrz z rana o godzinie siódmej, chociaż major w wilję zaraz po południu był o niego proszony. Tymczasem tak się ze mną pogorszyło, że myślałem, iż byłem bliski skończenia.

Lekarz zadawał mi nie wiele pytań; mówiłem z trudnością i każde wysilenie się powiększało moje cierpienia. Utrudzała mię jego obecność. Ileż boleści straconych, gdyby mu się powiodło zniszczyć skutek trucizny! Po chwili napisał receptę, a dając ją Kozakowi, powiedział żeby się pospieszył. Może się domyślał przyczyny choroby, chociaż strzegłem się powiedzieć mu prawdę i opisywać symptomata doznawane. Przyniesiono lekarstwo, które zażywać miałem co pół godziny po łyżce. Zrobiwszy już większą część drogi, nie chciałem wracać; powrót byłby zbyt dotkliwy. Umyśliłem zrazu wyrzucić za okno lekarstwo, ale spostrzeżonoby się i wtenczas zmuszonoby mnie do zażywania innej jakiej mikstury. Musiałem uciec się do zmyślania, a gdy mnie często samego zostawiano, wylewałem w piec łyżkę lekarstwa co pół godziny, a później zapewniwszy służącego, że po tem lekarstwie mam się coraz gorzej, z łatwością namówiłem go do pomagania mi w tem oszukiwaniu. Widziano że flaszka się wypróżnia i myślano, że zażywam lekarstwo podług przepisu. Resztę dnia i prawie całą noc bóle ustępowały i wracały mocniejsze. Z rana zasnąłem na krótki czas i przebudziłem się nieco silniejszy. Chciałem wstać, ale opuściły mnie zwodnicze siły; musiałem pozostać w łóżku. Ale czas mijał, rozpaczałem, że nie mogłem skończyć; dziwno mi było, że umrzeć tak trudno. Bałem się, żeby mię lekarz nie zastał jeszcze żywego. Flaszka wypróżniona w obec rysów twarzy, jeszcze więcej niż wczoraj zmienionych, naprowadzi go może na podejrzenie, którego nie chciałem dopuścić. Myślałem że zmniejszając jasność celi, łatwiej go zwiodę; udałem więc że nie mogę znieść światła i zasłoniono okno dwoma prześcieradłami. Usiłowałem ożywić twarz, ubrałem się w szlafrok i w tym stanie czekałem na lekarza. Zdziwiło go przyjemnie, że mię spostrzegł ubranego, a ja zapewniłem go, że lekarstwo było bardzo skuteczne i że mi pozostało tylko osłabienie. Przedłużał wizytę, może dla zapewnienia się o skuteczności lekarstwa, a ja siliłem się na rozmawianie, aby go zwieść tem pewniej. Stłumiłem już był w sobie kilka boleści, kiedy nagła kryzys odjęła mi mowę. Lekarz pochwycił mię za rękę i zapytał o przyczynę cierpienia.

— To nic! — odpowiedziałem, wysilając się.

Po chwili milczenia, w czasie którego uważałem, że potrząsł głową zamyślony, widząc że bóle moje nieco się uśmierzyły, rzekł tonem surowym:

— Pan nie należysz do siebie!

— Wiem — odpowiedziałem — ciało moje należy do władnącego nami, a zatem do oprawcy; ale dusza należy do mnie!

— Ach! — zawołał lekarz — czy mogłeś myśl moją tak źle zrozumieć! Winieneś siebie żonie, dzieciom.

— Ach, doktorze, nie dotykajmy tej struny, brzmi ona zbyt boleśnie w mojem sercu! Czy sądzisz że jeszcze cierpię za mało! —

Po krótkiej pauzie dodał głosem wzruszonym:

— Panie hrabio, proszę mi dać słowo, że zażyjesz, co ci przepiszę!

— Widzę — odpowiedziałem — że mogę z panem pomówić otwarcie. Czeka mię los okropny, śmierć niezawodna i podług wszelkiego podobieństwa będą chcieli przez męczar-

nie wydobyć ze mnie haniebne zeznania. Umrzeć kilkoma dniami pierwej i tym sposobem uniknąć mąk, albo hańby, gdybym uległ słabości, to mojem prawem, to moim obowiązkiem. Jakoż nie zażyję żadnego lekarstwa i zaklinam pana na honor, abyś zatrzymał przy sobie tajemnicę. —

Wahał się z razu, a potem dał słowo i wyszedł, spoglądając na mnie wzrokiem żałosnym i pochwalającym. Tego samego dnia miałem kilka kryz, a najsilniejszą ku wieczorowi: wszystkie przedmioty zdawały się obracać około mnie, a kiedy oczy zamknąłem, sądziłem że jeszcze widzę jakimś wzrokiem wewnętrznym. Czułem niejako ten wir, w pośrodku którego się znajdowałem; niekiedy porywał mnie samego, a czasem tylko część mego ciała. Bywało, że wszystko zatrzymywało się nagle do koła mnie, kręciły mi się oczy, a jakieś działanie bez ładu, jakiś rozhukany gwar, jakieś rwanie na wszystkie strony, miotały częścią przednią mózgu. Zagłuszał mię ciągły szum w uszach, a z piersi moich ściśnionych, jak gdyby żelazną ręką, wydobywały się z trudnością resztki będącego w nich powietrza, które już nie zdawało się mieć do nich przystępu.

Ostatnia moja myśl była: Otóż przecie koniec! Potem czułem, że ginę od duszenia. Jak z tego stanu do snu przeszedłem, nie wiem; ale przebudziłem się dopiero nazajutrz z rana. Po boleściach nastąpiła ogólna niemoc. Bojąc się, aby lekarz nie zmienił swego przyrzeczenia, jak mnie ujrzy w stanie pogorszonym, chciałem, jak dniem pierwej, ukryć moje cierpienia przez ubranie się. W tym celu posłałem do pana Niemojowskiego po zwierciadło. Spostrzegłem żółtaczkę najwyraźniejszą, która trwała tylko trzy dni. Trucizna nie zrobiła skutku, trzeba było żyć!

Nie wiem, czy się czego domyślano, albo czy lekarz widząc, że jestem ocalony, sądził się być wolny od danego słowa i mówił o moim zamyśle. Ale w kilka dni major otrzymał rozkaz odebrania mi brzytew, które mi zwrócono przy wnijściu do Karmelitów. Jednakże po długich rozprawach zostawił mi je na dane mu słowo, że ich nie użyję do odebrania sobie życia. Taka ufność podała mi myśl proszenia hrabiego Witta o pozwolenie mieszkania w mieście, przy-

najmniej do czasu odzyskania zdrowia, pod zaręczeniem podwójnem: kaucji i słowa. Napisałem o to natychmiast. Kazano mi odpowiedzieć, że feldmarszałek odrzucając moją prośbę, pozwala przenieść mnie do szpitala, jeśli tego życzę.

— Ponieważ nie znają u was — odpowiedziałem przysłanemu do mnie z tą odpowiedzią — co znaczy słowo człowieka honorowego, nie będę się wam więcej naprzykrzał. —

Gniew podyktował mi te słowa. Paszkiewicz zasługiwał pewnie jeszcze na ostrzejszą odpowiedź, albo raczej nie zasługiwał na żadną. Ale nie powinienem był odpowiadać podobnie hr. Wittowi i wysłanemu przez niego oficerowi. Nie musiano tych słów zanieść feldmarszałkowi, bo się za nie nie zemścił.

Pierwszą wizytę po nieszczęśliwem mojem usiłowaniu i nim jeszcze odzyskałem zdrowie, miałem od pani S..... Dama ta usiłowała rozproszyć czarne myśli, które mnie opanowały i obudzić we mnie nadzieję. Wyraz jej pięknej twarzy był tak przekonywający, jej słowa taką tchnęły łagodnością i słodyczą, dobroć jej zrobiła ją tak wymowną, że dałem się przekonać, czyli raczej oczarować. Dopóki widok jej moje oczy, głos moje uszy w uroku trzymał, cały oddany byłem szczęściu widzenia i słyszenia jej. Ale kiedy się oddaliła, wszelkie jej dowody zdawały mi się nierównie słabsze, a jednak jeszcze w nich znajdowałem upodobanie; byłem ciągle pod panowaniem uroku.

Dzięki wstawieniu się tej damy, otrzymałem prawie natychmiast pozwolenie posiadania wszystkiego, co potrzeba było do pisania. Oddawna pozbawiony tej przyjemności, czemprędzej zrobiłem te sprawunki i zacząłem pisać. Pisałem cały dzień, prawie całą noc i dni następne; nie mogłem się nasycić pisaniem; było to manją, potrzebą. Roztropność radziła wiele rzeczy nie pisać, i właśnie te chciałem spisywać i spisywałem; ale jak tylko tę żądzę zaspokoiłem, czemprędzej spaliłem pismo, aby nie było zabrane. Słowem, pisałem i paliłem, i w pierwszych dniach zaledwie można mnie było mieć na obiad i na herbatę.

Namiętność pisania zmniejszyła się nieco, kiedy otrzy-

małem list od brata, donoszący mi, że cała moja rodzina ma się dobrze. Jakiż ciężar spadł z mego serca! Wszystko zdawało mi się przybierać nową postać; radość moja upiększała wszystko.

Odwiedziny stawały się częstsze; oficerowie zdawali się podwajać grzeczność i uprzejmość, nowi więźniowie pomnażali nasze towarzystwo. Wszystko to przypadało właśnie w chwili, kiedy usposobiony byłem do korzystania z tej odrobiny szczęścia, które mnie spotykało, i ten zbieg okoliczności przyjaznych zdołał do tego stopnia przerobić mój humor, że to dziwiło osoby, które mnie widywały.

Jednej nocy zapełniono nasze więzienie. Nazajutrz żołnierze powiedzieli mi nazwiska nowo przybyłych gości. Nie znałem żadnego, ale los ich mnie obchodził, bo cierpieli jak ja i za tę samą sprawę. Pragnąłem z nimi mówić, nie było to łatwo; jedna nieroztropność mogła zrządzić przykre skutki. Szukałem sposobów widzenia ich, nie trafiałem na myśl, jakby to uczynić; trzeba było czekać sposobności. Razu jednego, w chwili kiedy wartę zmieniano, odchodzący oficer przyprowadził do mojej celi swego następcę; tamten był bardzo uprzejmy, ten zaledwie mnie powitał sposobem zimnym i lekceważącym. Z tym, pomyślałem, przepędzimy dzień smutno, bo oficerowie od warty są tu dozorcami więzienia, mają władzę i siłę, od nich zależy wesołość lub smutek więźniów. Jednakże przez cały dzień nie dał mi żadnego powodu do skargi; to mię zdziwiło. Ale jakież było moje zdziwienie, kiedy wieczór ujrzałem go wchodzącego z nieznajomym młodzieńcem — i kiedy ten młodzieniec wszedłszy do mojej celi, rzucił się w moje objęcia płacząc. Po tych oznakach, po tem wzruszeniu poznałem łatwo, że to Polak. Ale jakimże sposobem się stało, że mi go przyprowadził właśnie ten oficer, który dopieroco dał mi o swoim charakterze tak złe wyobrażenie? Nie mogłem wierzyć oczom. Sam oficer rozwiązał tę zagadkę. Pragnął uczynić dla mnie wszystko, co by mogło być mi przyjemnem, sądził jednak, iż roztropność radziła ukryć dobre swoje chęci pod pozorami prawie nieprzyjaznemi i przyprowadził mi więźnia, którego towarzystwo zdawało mu się najprzyjemniejszem.

Więzień ten nazywał się N.... Piliśmy razem herbatę; oficer znał dobrze Wołyń i ta okoliczność nadała rozmowie więcej powabu. Wieczór minął jak błyskawica i jeszcześmy się nie rozstali, kiedy z młodym moim towarzyszem byłem już jak najściślej.

Od tego czasu, dzięki życzliwości oficerów, młody mój spółwięzień codziennie do mnie przychodził; rozmawialiśmy, rysowaliśmy, opowiadaliśmy sobie nasze przygody i w końcu ułożyliśmy projekt ucieczki. Pod tym względem wracałem tylko do pierwszej myśli mojej. Wyegzaltował ją niesmak i rozjątrzenie; powróciła z całą mocą.

Wśród tych projektów odebrałem naraz dwie wiadomości pomyślne: Żona przysłała mi pieniędzy, i księżna J... miała dla mnie tyle dobroci, że mnie odwiedziła, przynosząc mi wiadomość szczegółów zajmujących mnie o mojej rodzinie. Dowiedziałem się od niej, że dzieci moje są zdrowe, że żona moja okazuje prawdziwą moc charakteru, i wiadomości te były mi udzielone z takiem uczuciem, z taką dobrocią, że wielbiąc tylko piękność duszy księżnej J...., nie widziałem prawie jej piękności.

Zdrowie żony mojej było tak delikatne, żyliśmy tak spokojni i szczęśliwi. Nagłe przejście ze szczęśliwości zupełnej do niewypowiedzianego nieszczęścia musiało zburzyć tak słabą organizację. Znałem tylko jej słodycz, jej dobroć, jej skromne cnoty małżonki i matki. Wiedziałem że ma umysł niepospolity, ale mi się zdawał tak pobłażający i giętki, że nie spodziewałem się w niej wiele energji. Ileż byłem szczęśliwy, gdym się dowiedział, że ta kobieta prosta i lękliwa w pomyślności, stała się silną i odważną w nieszczęściu! Podziwiałem, wielbiłem w niej tę nową doskonałość, byłbym ją więcej kochał, gdybym nie był już oddał jej całego serca. Cieszyłem się jej odwagą; zdawało mi się wtenczas, że to najpiękniejsza jej cnota! Dodawała ona mi męztwa, przywiązywała mię do życia i przyrzekłem sobie ponosić wszelkie cierpienia, jakie tylko człowiek znieść może, jakie honor znosić pozwala, niż umierać bez zobaczenia kiedyś tej szlachetnej przyjaciołki. Może — myślałem — będę się mógł zachować dla niej, zapewne będę miał szczęście oglądania jej.

Przezwycięży ona wszystkie trudności; byłem tego pewny, spodziewałem się tego, i już troskliwość moja odsuwała od mojej osoby i z mego więzienia wszystko, co mogło było oczy jej zasmucić, pokazując jej zbyt żywo nędzę mojego położenia. Chciałem był, aby porządek ukrył rozmiary mojej celi, aby czystość wynagrodziła w niej bogactwo i wytworność. Od rana i codziennie wszystko w niej czyściłem, uporządkowałem, byłem ubrany. Ta nadzwyczajna staranność miała na celu ukryć przed nią, a przynajmniej uczynić nie tyle widocznemi ślady moich cierpień, a nadewszystko przekonać ją, żem się oswobodził od wszelkich myśli czarnych, o których może wiedziała.

Cieszyłem się nadzieją widzenia żony; żyłem w niej, kiedy adjutant hrabiego Witta przybył uprzedzić mnie, że za kilka dni mam być przewieziony do Kijowa. Był to dla mnie cios okropny. Nazajutrz major zapytał mnie, czy mam wszystko, coby mi było potrzebne do podróży, i kupił, czego mi brakowało. Część pieniędzy przysłanych mi przez żonę i złożonych w ręku zwierzchności, służyła na zrobienie tych sprawunków. Nakoniec oznaczono dzień wyjazdu; za trzy dni miałem opuścić więzienie Karmelitów. Uwiadomiony o tem, poszedłem pożegnać się z panem Niemojowskim. Kosztowało mnie wiele, rozłączać się z nim, a nadewszystko kiedy przewieziony być miałem do innego więzienia, gdzie, jak wiedziałem z przykładów niedawnych, wcale innego doznawać miałem obejścia, niż w Warszawie, gdzie zacny hrabia Witt czuwał, aby ludzkość zbyt krzycząco nie była obrażoną. Miałem serce przepełnione goryczą. Pan Niemojowski był zupełnie spokojny.

— Pożegnamy się — odpowiedział zimno — kiedy będziesz wyjeżdżał. Jeszcze nie nadeszła ta chwila. Miałem niegdyś sposobność przekonania się, jak dalece słowa tych ludzi na wiarę zasługują; u nich wszystko jest kłamstwem, albo dowolnością. Mówią ci, że pojedziesz za trzy dni, otóż za trzy miesiące jeszcze z sobą razem obiad będziemy jedli. Jeszcze wtenczas nic względem twojego losu nie postanowią.

— Bodajby Bóg słów twych wysłuchał! Ponieważ nie

mogę być wolnym, przekładam zostać tutaj, niż gdziebądź indziej. Co do złej opinji, jaką masz o Rosjanach, usprawiedliwia ją zupełnie postępowanie rządu fałszywego, barbarzyńskiego i nikczemnego. Ale w zastosowaniu do osób pojedyńczych, zdaniu temu sprzeciwia się nieco łagodność, grzeczność, nawet życzliwość, jakich tu doznajemy.

— Prawda, ale to wszystko jest skutkiem charakteru jednego człowieka, który na szczęście posiada nieco władzy i podobnie jak ty, oddaję całą sprawiedliwość temu zacnemu człowiekowi.

— Przyznaj jednak, iż hrabia Witt nie będąc tutaj naczelną władzą, nie mógłby rozciągać do nas swojego życzliwego wpływu, gdyby podwładni sercem i duszą nie ubolewali nad nami, gdyby nie chcieli być nam usłużni i gdyby nie czuli, że sprawa, dla której cierpimy, jest świętą.

— Prawda, ale i to prawda, że tak prędko nie pojedziesz. —

Nie mylił się; nikt nie mówił mi więcej o wyjeździe, który mnie tyle był zmartwił.

Tymczasem żona nie przybywała; widywałem tylko pana Niemojowskiego i młodego towarzysza. Widywanie się nasze w pewnych, oznaczonych godzinach, nie zapełniało większej części dnia; bardzo byłoby mi przyjemnie widzieć innych towarzyszy niewoli, ale na to potrzeba było pozwolenia. Prosiłem o to majora, który go dać nie śmiał. Napomknąłem o tem panu Popowi, ale byłby myślał, że się dopuścił grzechu śmiertelnego. Musiałem znowu wrócić do majora.

— Chciej mi pan wyjaśnić przyczynę — rzekłem do niego — dla czego mi odmawiasz, co zapewne musi cię kosztować, bo to nie zgadza się z twoim charakterem. Nie masz żadnego interesu pozbawiać mię nieco roztargnienia, nim się los mój rozstrzygnie.

— Osoby uwięzione tutaj nie są w stopniu pana, towarzystwo ich nie przystoi ci.

— Ależ, kochany majorze, w nieszczęściu zapomina się o równości stopni, nie ma jej; zresztą są to oficerowie

polscy, ich towarzystwo byłoby nawet dla mnie po za więzieniem przyzwoite, dla czegoż nie byłoby przyzwoitem tutaj? —

Major szukał jeszcze innych wymówek, a potem wracając do swojej otwartości naturalnej, rzekł:

— Słuchaj pan! Wszystkie przyjemności, jakich tu używasz, są przeciwne urządzeniu; staraj się poprzestać na nich; wiesz, komu je winieneś! Wypełniam rozkaz i zamykam oczy o ile mogę, ale nie mogę nie patrzeć zawsze i na wszystko. Młody więzień przychodzi do pana co wieczór; bardzo dobrze, ale ja o tem nie wiem; inaczej powinienbym nie dopuścić tego nadużycia. Tem mniej mogę pana upoważnić do widywania innych więźniów; wiedzianoby o tem i nie przebaczono by mi tego! Zapewne nie zechcesz pan mię gubić! —

Wiedziałem, że wszędzie są szpiegi, że byli w więzieniu i że szpiegowali nawet oficerów. Nie nastawałem więc i musiałem się pozbyć chęci zawiązywania nowych stosunków; ale wnet sama przez się nastręczyła mi się do tego sposobność.

Pomimo że wyrazy tak zwanej amnestji były bardzo jasne i że na jej mocy członkowie sejmu powinni byli uważać się za uwolnionych od wszelkiego śledztwa; zebrano jednak i zamknięto w jednym domu wszystkich tych członków, którzy nie uszli za granicę. Wolno im było wychodzić w towarzystwie żandarma, z warunkiem wracania na wieczór do więzienia. Taki stan rzeczy miał trwać aż do rozpoczęcia indagacji, do której zbierano wtenczas materjały. Kiedy te materjały były już gotowe, przewieziono jednej nocy owych posłów do więzienia Karmelickiego, a dla zrobienia im miejsca, wywieziono oficerów polskich od Karmelitów do innych więzień. Oprócz posłów znajdował się pomiędzy przybyłymi do Karmelitów jenerał Zieliński, ostatni wiceprezydent rządu narodowego. Nazajutrz spostrzeżono, że to przeniesienie było za wczesne, bo przygotowania do indagacji nie były jeszcze ukończone. Natychmiast więc wszystkich posłów do dawnego domu aresztu odwieziono, zapełniając znowu więzienie Karmelitów oficerami polskimi. Jeden z tych

posłów, pan Augustowski, chciał wszakże w więzieniu Karmelitów pozostać.

— Nie prawdaż — rzekł do majora — że potrzeba będzie tu powrócić? A ponieważ tu już jestem, więc i zostanę.

— Ale — odpowiedział mu major — urządzenie tutejsze nie zostawi panu tyle wolności, ile jej używałeś w domu aresztu.

— Ani słowa, ale nie lubię podróżować. —

Ponieważ z dwóch więzień wybierał gorsze, nie chciano mu się sprzeciwiać. Został więc u Karmelitów dobrowolnie; zostawiono także w tem więzieniu jenerała Zielińskiego, który nie był posłem.

Nazajutrz prosiłem o pozwolenie widywania tych dwóch panów. Jeden z nich był moim kolegą, drugi jenerałem i wiceprezesem rządu narodowego; nie można więc było wzbraniać tego dla nierówności stopni. Nie dano mi wyraźnie tego pozwolenia, ale mi powiedziano, że mogę ich widywać, aby tylko dozorujący więzieniem o tem nie wiedzieli. Tegoż samego dnia odwiedziłem ich w celi, w której razem byli umieszczeni. Wkrótce wszedł do nich oficer N..., nie powiedział ani słowa i nie zdawał się być nawet zdziwiony, że mnie u nich zastał. Oficer ten pił z nami herbatę i zdawał się być rad ze sposobu, jakim go przyjmowano.

Od tego czasu położenie nasze się polepszyło; codziennie zdobywaliśmy jaką nową swobodę, a nigdy nie traciliśmy żadnej; jakoż w zdobyczach tych postępowaliśmy z metodą i cierpliwością. Nie jest to mała dla więźniów rzecz zmieniać na swoją korzyść zwyczajny porządek więzienny. Trzeba rozpoznawać miejsce, zbadywać zwolna charaktery, trzeba w sam czas postępować, zatrzymywać się i tak działać, iżby zdobyte przywileje miały pozór praw już nabytych, nim obudziłyby czujność najsurowszych i najbojaźliwszych dozorców. To wszystko udało nam się szczęśliwie. Panowie Niemojowski, Augustowski, Zieliński i ja mieliśmy nieznane u Karmelitów przywileje: widywaliśmy się codziennie, ile razy i jak długo nam się podobało, byliśmy prawie zawsze razem, co wieczór graliśmy wista, nigdy od czasu mego

aresztowania nie miałem tyle zabawy i wolności. Przypadek zdarzył mi jeszcze nową sposobność pomnożenia rozrywki; korzystałem z niej natychmiast.

Jednego razu oficer N... pokazał mi ładną sakiewkę, zrobioną przez jednego więźnia. Zapragnąłem zaraz nauczyć się tej roboty i poznać robotnika. Oficer nie śmiał z razu przychylić się do mego żądania, odszedł, ale wkrótce potem powrócił i rzecz się załatwiła, zawsze z tem zastrzeżeniem, że żaden z oficerów, że on sam o tem nie będzie wiedział. Zaszedłem swobodnie do fabrykanta sakiewek; nazywał on się Czuba. Przepędziłem u niego część dnia, rozmawiając i terminując u niego. Koledzy jego mieli ochotę odwiedzić nas i przepędzić czas z nami: przyszli najprzód najśmielsi, za nimi inni z kolei, a nareszcie przychodzili wszyscy. Grzeczność i małe podarunki, na które Kozacy i żołnierze od warty nie byli obojętni, uprzątnęły wszystkie trudności. Skończyło się na tem, żeśmy założyli mały warsztat. Czuba i Babski robili kartonowe pudełka, ja oprawiałem je w galonki i przyozdabiałem memi pejzażami. Przykładałem się do tych robót dziecinnych z całym zapałem i dnie szybko upływały. Posyłaliśmy nasze pudełka znajomym damom, a te były tak dobre, że je przyjmowały z największem upodobaniem i pokazywały je innym, które także chciały mieć podobne pudełka. Rozdawaliśmy je chętnie i im więcej ich dawaliśmy, tem więcej ich od nas żądano. Zachęceni takiem powodzeniem i radzi zaspokoić jak najprędzej pochlebną niecierpliwość dam, pracowaliśmy tak pilnie, że nie zostawało chwili do nudzenia się. Kiedy pudełka mniej nas już zajmowały, żądałem kupienia mi włóczki i kanwy i robiłem dywaniki. Poczciwy N... wspomniał o tem damom i te same wzięły na siebie koszta i wybór tego sprawunku. Miałem więc nowe zatrudnienie, które sprawiało mi przyjemność.

Na domiar szczęścia, mówię szczęścia, bo położenie moje było szczęśliwe w porównaniu z dawniejszem, kiedy panowie Augustowski i Zieliński otrzymali pozwolenie przechadzania się po ogrodzie należącym do klasztoru, takie samo pozwolenie udzielone było panu Niemojowskiemu i mnie. Długiego więzienia potrzeba było, aby tak mocno uczuć całe szczęście

używania massy powietrza, oddychania niem do woli, widzenia nieba bez żadnej nad sobą zasłony i przechadzania się w rozmaitych kierunkach na przestrzeni kilkudziesiąt kroków. Używałem tego szczęścia, byłem niem odurzony. Dziwiło mnie, jak mogli pozwalać nam tyle wolności po trzymaniu nas w więzieniu z taką surowością. Jaka przyczyna tej łaskawości po tylu udręczeniach. Szukałem słowa tej zagadki w rozmowach z oficerami od warty i z więźniami, i oto jej rozwiązanie: Dzikie postępowanie i srogości, tego na przykład rodzaju, jak porywanie dzieci, rozgłoszone było przez dzienniki zagraniczne i wszędzie ohydzano barbarzyństwo naszych ciemiężców. Europa, cały świat cywilizowany, były oburzone. Powszechny chór nagany i wzgardy nie był obojętny dla rządu, sięgającego po reputację, od zasłużenia której jest tak daleki. Uczuł on był, że niesprawiedliwość jego sprawy sama przez się dosyć oburza, iżby ją jeszcze powiększać należało okrucieństwami i prześladowaniami zbyt krzyczącemi. Obawiał się, iżby w samym jego gniewie nie widziano dowodu i miary poprzednich jego nieprawości i chciał zadać fałsz dziennikom, udając dla nas niezwyczajną ale widoczną i jakoby popisującą się łagodność, a zostawiając czasowi wynagrodzenie sobie na nas gwałtu, jaki sobie samemu zadawał. Miejscowe władze, wiedząc o takim planie rządu, swobodniej zaspokajać mogły przychylne dla nas usposobienia. Hrabia Witt mógł łatwiej iść za popędem szlachetnego swego charakteru. Jednak nie śmiałbym utrzymywać — — —. Szczęściem dla nas było — — —. Byli oficerowie którzy w czasie wojny Polaków jeńcami, pamiętali, jak się nasi z nimi obchodzili. Oficerowie służbowi, uwiadomieni o zmienionej względem nas polityce rządu, skłonniejsi byli do folgowania nam raczej, aniżeli do ścieśniania lub zaostrzania naszego więzienia; sami żołnierze, pociągnięci przykładem oficerów, chyba tylko przez ślepotę zaostrzali naszą niewolę.

W ogólności pod rządami srogiemi, niesprawiedliwemi, chytremi, słowem, takiemi, jak rząd rosyjski, podwładni, jeśli tylko mają nieco serca, sami boleją nad podłościami i okrucieństwami, które im spełniać nakazują. Jak tylko

widzą sposobność postępowania podług głosu dobrego serca bez narażania się, jak tylko mogą pokazać, że srogość, której są narzędziami, charakterowi ich jest przeciwną, natychmiast na wyścigi jeden nad drugiego chcą być lepsi, odznaczać się w dobroci i zostawić dobrą po sobie pamięć. Jest natenczas w hierarchji emulacja szlachetna. Im wtenczas podwładny, stosownie do swego stopnia, więcej do cierpiących jest zbliżony, tem bardziej pragnie być od nich mile przyjmowany i przewyższać w łagodności swego przełożonego. Na szczęście tak się z nami działo. Zresztą uważałem, że Rosjanie czują niezbędną potrzebę cywilizowania swego kraju i potrzeba ta jest u nich potrzebniejszą, niż powszechnie sądzą; jest to ogień pod popiołem. Wybuchnie on kiedyś i może nie długo!

Oto jest przykład, który zdaje mi się charakterystycznym. Żołnierze stojący na warcie nie zawsze rozumieją dobrze jaki jest rozkaz służby. Zdarzało się, żeśmy nieraz doznawali od nich bardzo dotkliwych nieprzyjemności; oficerowie karcili ich szybko i boleli nad ich omyłkami. Jeden z tych oficerów chcąc, aby żołnierze nas i nasze małe swobody lepiej szanowali, wziął się na szczególny sposób: Rozkazał stojącym na warcie żołnierzom, aby przed panami Niemojowskim, Augustowskim, Zielińskim i mną za broń brali, ile razy który z nas obok nich blizko przechodzić będzie. Prawie wszyscy inni oficerowie ponawiali ten rozkaz. Aby go dobrze ocenić, potrzeba sobie przypomnieć, że byliśmy w czasie powstania urzędnikami pierwszego rzędu, że powstanie już było stłumione, że byliśmy niewolnikami u Rosjan, że podobna myśl przyszła sama oficerowi rosyjskiemu; że prawie wszyscy oficerowie rosyjscy natychmiast ją za swoją przyjęli, że nikt im jej nie naganił i że to się działo pod panowaniem Mikołaja!

Jeden tylko pomiędzy wszystkimi znalazł się niegrzeczny dla nas oficer; skarżyłem się na tego niedźwiedzia. Oficer, który go luzował, wyburczał go, a jak mi mówiono później, koledzy jego w pułku przezywali go «niedźwiedziem». Wszystko to, zdaje mi się, dowodzi wielką dążność do cywilizacji.

Rozszerzyłem się nad dobrem z nami obchodzeniem oficerów, dla tego najprzód, że to dla mnie miły obowiązek oddać sprawiedliwość nieprzyjaciołom, którzy zasługują na wdzięczność i pochwały, a nadewszystko żeby pokazać, że nie bezrozumna nienawiść narodowa, nie okrucieństwa pojedyńcze, spowodowały nasze powstanie, ale tyranja upodlająca, systematyczne ciemiężenie przez rząd zbrodniami zgangrenowany i ta nad wszystko wyższa potrzeba bytu narodowego, która niepokoi serca wszystkich Polaków i której nic nie zdoła zniszczyć.

Niechby wszystkie rządy świata cywilizowanego pomne były na tę prawdę, poświadczoną tylu pamiętnemi przykładami, że dopóki zostanie w nas tchnienie życia, dopóty nie przestaniemy być Polakami, zawsze Polakami! Nigdy Rosjanami! Nie zmienią nas ani traktaty, ani ukazy, ani dyplomacja, ani autokracja, ani podstęp, ani siła. Polska należy do Polaków, wydarto nam ją, zwrócą nam ją, albo ją odbierzemy, jeśli nie my, to nasze dzieci. Wydrzemy ją, albo w tej pracy zginiemy! Trzeba się spodziewać perjodami rozlewu strumieni krwi; dopóki ta płynąć będzie w naszych żyłach, dopóki nasze plemię w całości nie będzie wytępione, dopóki sprawa naszej ojczyzny sposobem prawym nie będzie rozsądzoną. Nasz kraj jest naszą własnością, upominamy się o nią. Trybunał, któryby przysądził rozbójnikowi rzecz zrabowaną, byłby wzgardzony, ścigałoby go publiczne przekleństwo. Zasady sprawiedliwości pomiędzy ludźmi pojedyńczymi są te same, co pomiędzy narodami. Byt i własność narodu, to jest kilku miljonów rodzin, są równie święte jak prawa człowieka.

Mój warsztat nie próżnował. Jednego razu zatrudniony byłem w mojej celi malowaniem pejzażu, który miał przyozdobić ładne pudełko, kiedy major wszedł i nie dając sobie czasu do powitania mnie, rzekł:

— Żona pana hrabiego jest tutaj. —

Biegnę do drzwi, patrzę na wszystkie strony po kurytarzu — nie widzę jej. Wracam do majora, który został był w celi; ten spojrzał na mnie z takim wyrazem żalu i boleści,

że mu ani wyrzutu, ani pytania czynić nie mogłem. Po chwili milczenia rzekł:

— Chciałem tylko powiedzieć, że żona hrabiego przyjechało do Warszawy, nie że tu jest w domu.

— Ach, majorze! dla czego żeś mi tego nie powiedział? Ale ją widziałeś? Jak się ma?

— Nie widziałem jej jeszcze, ale będę ją widział i przyniosę hrabiemu od niej wiadomości. —

Kiedy odszedł, miałem nerwy tak rozdrażnione, że chwilę na miejscu nie mogłem zostać. Czułem potrzebę chodzenia, opowiadania przyjaciołom mojego szczęścia. Poszedłem do moich kolegów, biegałem do nich, miałem serce przepełnione, byłbym, zdaje mi się, stracił oddech, gdyby mi milczeć koniecznie przyszło.

Nazajutrz adjutant hrabiego Witta N... przyniósł mi list od mojej żony. Donosiła mi w nim, że długo nie wiedziała, co się ze mną stało, że prędzej do Warszawy przybyć nie mogła, że w nieobecności jenerała Paszkiewicza, który do Petersburga był wyjechał, hrabia Witt nie śmiał dać jej pozwolenia widzenia mnie, ale że sama myśl znajdowania się bliżej mnie, czyni ją szczęśliwą, i t. d.

Wiadomość o jej przybyciu napełniła mnie radością; odmówienie jej widzenia mnie wprawiło mnie w rozpacz.

— Zlituj się pan — rzekłem do adjutanta — przypomnij swoim zwierzchnikom, że jesteśmy zbyt blisko Europy, żeby sobie pozwalać podobne barbarzyństwo. —

Adjutant nie wiedział, co odpowiedzieć; zapewnił mnie jednak, że jenerał Witt będzie się starał otrzymać od marszałka pozwolenie, którego sam udzielić nie mógł.

— Jenerał nie zdradzi swego obowiązku — rzekł adjutant — ale pan o tem nie wątp, że od niego i od wszystkich politycznych więźniów odwrócić chce wszystko, coby było niepotrzebnem okrucieństwem. —

Spodziewano się powrotu Paszkiewicza za dziesięć dni. Dziesięć dni! były to wieki. Trzeba jednak było je przebyć.

Przez kilka dni przynoszono mi regularnie wiadomości od mojej biednej Emilji. Cierpiała tyle ile ja z powodu tej nieszczęśliwej zwłoki. Dziesiątego, jeśli się nie mylę, dnia,

major, odbywając swoją zwyczajną i obowiązkową wizytę, obszedł wszystkich moich towarzyszy, mnie jednego tylko opuścił. Ten wyjątek zaczął mię niepokoić; nie zapowiadał on mi nic dobrego. Miałem iść do moich kolegów, aby się od nich czegoś dowiedzieć, kiedy pan Augustowski wszedł do mojej celi. Skwapliwie zapytałem go, co mówił major?

— Nic nowego — odpowiedział z udaną obojętnością. Potem zaczął chodzić po celi, której rozmiary nie zachęcały bardzo do przechadzania się. Uważałem go oczyma w niego wlepionymi i spostrzegłem w nim niespokojność, jakiej się doznaje, kiedy się wzięło na siebie udzielić komu nieprzyjemną wiadomość. Nie wiedział jak zacząć. W końcu uczynił uwagę, że cela moja jest bardzo mała, że ta, w której się znajdował z panem Zielińskim, jest obszerniejsza i radził mi przenieść się do niej.

— Będziemy — mówił — we trzech i będzie nam weselej. Major zgadza się na to przeniesienie. —

Uwaga nad szczupłością mojej celi po kilku miesiącach, nieużyteczność podobnej propozycji ze strony kolegów, ponieważ po całych dniach bywaliśmy razem, nakoniec zezwolenie majora, które otrzymano bez poprzedniego zapytania mnie i nie wiedząc, czy to będzie dla mnie dogodne, wszystko to zdziwiło mnie i potwierdziło smutne domysły. Mają uwiadomić mię o jakiemś nieszczęściu, i koledzy moi, którzy to na siebie wzięli, chcą mnie mieć przy sobie, rozrywać, pilnować mnie. I to nieszczęście musi być okropne, kiedy do tego stopnia obudza troskliwość moich przyjaciół, a nawet moich nadzorców. Pragnąc jak najprędzej dowiedzieć się, o co rzecz idzie, prosiłem pana Augustowskiego, nalegałem na niego, aby mi wszystko powiedział i uwolnił mię przynajmniej od męki niepewności. Nie mogąc się oprzeć moim naleganiom, usiadł przy mnie i uwiadomił mnie, że żona moja krwią pluje i że niebezpiecznie chora. Zdrętwiałem na tę wiadomość, pozostałem nieruchomy w tej postawie, w jakiej ten cios mię uderzył, bez myśli, nawet bez czucia; nie było to cierpienie, ale zupełna bezwładność. Właśnie

w tej chwili nadszedł młody mój towarzysz i pobiegł natychmiast do oficera od warty, który zdawał mu się być poczciwym człowiekiem. Wkrótce potem weszli obadwa. Kiedy już nieco czucie odzyskałem, oficer zaczął mi prawić pociechy, dobre na małe zmartwienia, ale drażniące tylko wielkie boleści. Po pierwszych jego słowach uniosłem się:

— Daj mi pan pokój — zawołałem, przerywając mu — jesteście wszyscy barbarzyńcami, dziczą; dla was nie ma nic świętego! Mścicie się na mnie, dręcząc moją żonę, zabijacie ją, aby mnie w rozpacz wprowadzić, gubicie ją, aby mnie zgubić. Wybierają ten środek, aby ludzie nie wiedzieli, że mnie zamordowali! —

Nie wiem co się malowało na mojej twarzy, ale biedny oficer niemy z zadziwienia, spoglądał na mnie to ze strachem, to z rozczuleniem. Nie miałem już siły mówić, nikt nie śmiał odezwać się, miałem wzrok wlepiony machinalnie w oficera, który także ciągle na mnie patrzał, mieniąc się. Twarz jego świadczyła, że się w nim odbywa przykra walka. Nakoniec rozczulił się do tego stopnia, że mu łzy wystąpiły. Potem, jak gdyby nad sobą wziął górę, jak gdyby po długiem wahaniu się zdobył na sobie ostateczne postanowienie, rzekł:

— Nie spodziewam się, iżby człowiek z podobnym charakterem chciał mię zgubić. —

Nie wiedziałem, do czego zmierzał ten wstęp, ale poznałem, że zapowiada coś życzliwego. Uważałem nadewszystko że ze strony oficera była to uwaga, której potrzebował dla dodania sobie odwagi. Po krótkiem milczeniu dodał tonem więcej śmiałym:

— Czy pan chce odwiedzić żonę? —

Zdziwiony, niewypowiedzianie uradowany, rzucam się na jego szyję i ściskam go. Po tem pierwszem uniesieniu, oficer, który wiedział, na co się narażał, który nie cofał tego, co powiedział, ale nie chciał posuwać poświęcenia się aż do szalonej żądzy szukania niebezpieczeństw, rzekł do mnie:

— Tego wieczora o godzinie dziewiątej przyjdę do pana,

odprowadzę cię sam do drzwi; daję na to słowo, ale mi także daj swoje słowo, że powrócisz za godzinę. —

Dałem je natychmiast.

Reszta dnia upłynęła tak powoli, że trzeba było prawie rozpaczać; nie mogłem ani pracować, ani rozmawiać, ani na jednem miejscu pozostać. Nakoniec nadeszła godzina tak pożądana. Oficer nie spóźnił się na chwilę, wziął mię za rękę, nie mówiąc ani słowa, a ja również w milczeniu dałem się prowadzić. Tak przybyliśmy przed bramę zewnętrzną więzienia. Tam, w chwili stanowczej, zacny ten oficer doznał tak strasznego wzruszenia, ręka jego tak drżała w moim ręku, że się przeląkłem, aby nie zmienił swego postanowienia.

— Zobacz — rzekłem do niego, chcąc go nieco uspokoić — zobacz, która godzina, abym na minutę nie chybił. —

Na te słowa zwrócił nagle głowę ku mnie, oczy jego utkwiły w moim wzroku i w takiej postawie byliśmy kilka chwil, które zdawały mi się zbyt długie. Potem śmiało wracając do wziętego raz postanowienia, kazał drzwi otworzyć wyszedł ze mną i ściskając mnie mocno za rękę, rzekł:

— Do widzenia! Życie moje jest w twoich rękach! —

Odszedł, brama zatrzasła się za nim, a ja zostałem za obrębem więzienia, na ulicy, bez eskorty, bez warty, wolny, gdybym mógł był złamać słowo.

Każdy dom, każdy kamień na ulicy powinien był budzić we mnie jakie wspomnienie. Ale myśli wszystkie były dla Emilji, biegłem do niej, do niej umierającej i miałem tylko godzinę czasu! Zacząłem biedz z całych sił, ale wnet ustały. Długa i bolesna niewola odrętwiała moje muszkuły; już wysilony biegłem jeszcze, nareszcie musiałem się zatrzymać i oprzeć się o mur. Byłem zdyszany, w głowie mi się kręciło, nogi drżały i zginały się podemną, nie mogłem postąpić na krok dalej, a tu czas ciągle upływał! Rozpacz dała mi nieco siły, ruszyłem z miejsca i zdołałem zawlec się do mieszkania mojej żony. Idę na górę — nieznajoma

mi panna służąca powiada, że pani domu nie przyjmuje nikogo.

— Czy jest sama?

— Sama z matką.

— Proszę powiedzieć matce, że jej przynoszę wiadomość od męża jej córki. —

Byliśmy w przedpokoju; wzruszony i strudzony nie mogłem mówić po cichu; głos byłby się zatrzymał na ustach, gdybym się nie był silił. Usłyszano i poznano mnie; w jednem oka mgnieniu głos drogi przeniknął serce moje i już miałem w objęciu moją Emilję i dobrą jej matkę, która z nią przybyła, na krok nie chciała jej odstąpić i miała dla niej najtroskliwsze starania. Biedna moja żona nie spodziewała się podobnej wizyty; uwieszona u mojej szyi, płakała, szlochała; trzeba było przebyć tę krytyczną chwilę. Nareszcie zaczęliśmy rozmawiać o jej chorobie. Była w niebezpieczeństwie, obawiano się o nią, ale wyszła szczęśliwie. Szczęście widzenia się, mówienia o naszych dzieciach, zajmowało nas wyłącznie. Trzy kwadranse, któreśmy z sobą byli, minęły jak chwila; zaledwie przyszedłem, już trzeba było odchodzić Żona nie wiedząc, jakim sposobem i na jak długo mogłem do niej przybyć, nie myślała nawet pytać się mnie o to, kiedy wstałem, aby się z nią pożegnać.

— Jakto! Już! — zawołała z płaczem i rzucając się na moją szyję.

— Niestety, już! Dałem słowo! —

Ną te słowa otarła twarz zapłakaną i rzekła z pewnem męstwem:

— Idź więc, idź, drogi przyjacielu! Zobaczę cię jeszcze, albo umrę ze zmartwienia. —

Męstwo jej powinno było i mnie dodać siły; tylko mnie rozrzewniło. Czułem, że już nie miałem mocy żegnać się z nią, pochwyciłem za kapelusz i wybiegłem, nie oglądając się. Wnet przybyłem do więzienia.

— Jeszcze nie ma godziny — rzekł do mnie oficer, widząc mnie powracającego.

— Nie, ale cierpiałem, żeś był niespokojny. —

Ścisnął mnie za rękę i rzekł:

— Dopóki żyć będę, będziesz miał we mnie przyjaciela! Wierz mi, i to wnet, jutro może, zobaczysz tego dowód! —

Ostatnie słowa zdawały mi się być tylko wyrazem gwałtownym radości, bardzo naturalnej po srogim niepokoju, od jakiego powrót mój go uwolnił. Nie przywiązywałem więc do nich żadnej innej wagi.

V.

Wychodzenie z więzienia dla widzenia żony. — Jej przygody na Wołyniu. — Jej podróż do Warszawy w przebraniu włościanki. — Indagacje u Karmelitów: Fałęski, Pokięskowski. — Wywiezienie od Karmelitów do Żytomierza.

Wróciłem czemprędzej do siebie i zamknąłem się w celi; potrzebowałem być sam i oddać się bez przeszkody i swobodnie uczuciom roskosznym, któremi byłem przejęty. Niepodobna mi było spać; przepędziłem całą noc na przypominaniu sobie każdego spojrzenia, każdego poruszenia, każdego słowa tej drogiej istoty, która od tak dawna zapełniała moje serce, zatrudniła wszystkie władze mojego umysłu i mojej duszy.

O godzinie zwyczajnej oficer przybył ze swoim następcą i przedstawił go jako swego przyjaciela. Po pierwszem przywitaniu rzekł mu, rzucając na mnie wzrok zrozumiały:

— Poznasz łatwo hrabiego Olizara; ma on pozwolenie wychodzić co wieczór na samo słowo. —

Wtedy dopiero zrozumiałem ostatnie wyrazy wczorajsze tego zacnego młodzieńca, wtedy dopiero widziałem całą wspaniałość jego charakteru. Na szczęście dla niego i dla mnie, miałem dosyć mocy do stłumienia w sobie radosnego uniesienia i wdzięczności, do utrzymania miny spokojnej w chwili tak wielkiej nadziei; kosztowało mnie to wiele, że kiedy odchodził, nie mogłem przynajmniej podziękować

temu zacnemu oficerowi, którego już nigdy nie miałem widzieć.

Wieczorem o godzinie 9. posłałem prosić do siebie oficera i oświadczyłem mu chęć wyjścia. Byłem niespokojny, pomimo że zdanie straży w mej obecności było mu uczynione, aby jakiej nie robił trudności. Nie robił żadnej, nie ograniczył czasu nieobecności i doprowadził mię aż na ulicę. Żona czekała na mnie; tajne przeczucie mówiło jej, że mam przyjść. Panna służąca miała rozkaz niewpuszczania nikogo, oprócz «wczorajszego pana» — herbata była przygotowana. Tym razem przynajmniej mogliśmy rozmawiać o naszych interesach. Emilja opowiedziała mi wszystko, co się jej wydarzyło od czasu mojej nieobecności. Przypominam sobie jeszcze opowiadanie to, którego słuchałem z takiem zajęciem.

Dowiedziawszy się o naszych klęskach, pojechała do Krzemieńca nad granicę austrjacką. Wielu Polaków skompromitowanych przebyło wówczas tę granicę; myślała więc, że i ja udałem się w tym kierunku. Omylona w swojem oczekiwaniu, rozesłała na wszystkie strony osoby pewne, ale niczego o mnie dowiedzieć się nie mogła. Miotana niespokojnością, zachorowała i powróciła do domu, w myśli urządzenia interesów na długi czas nieobecności i puszczenia się potem w drogę dla szukania mnie. Kiedy te uczyniła przygotowania, włościanin jeden, czy to dla zyskania podarunku, czy może w chęci chwalebniejszej uspokojenia jej, uwiadomił ją, że mię widział w Krakowie, że zdrów, byłem na wyjeździe do Paryża. Mówił nawet, że miał odemnie polecenie uspokojenia jej względem mojego losu. Dziwnie się jej zdawało, żebym odjeżdżał w takich okolicznościach bez napisania do niej; jednak uwierzyła temu doniesieniu. Tak bardzo potrzebowała uspokoić się nieco, a zresztą tyle przypadków, trudnych do odgadnienia, mogło mi było nie dozwolić pisać do niej!

Urządziwszy interesa, powróciła do Krzemieńca, gdzie nadaremnie czekała na listy. W takiej niespokojności sądziła, że ciągle moje milczenie ukrywa jakieś nieszczęście, ale odwracała wszelkiemi siłami myśli złowróżbe i usiłowała wynaj-

dywać zawsze mniej smutne przyczyny, któreby wymawiały opóźnienie moich listów. Nakoniec ktoś powiedział jej, że wpadłem w ręce Rosjan. Nigdy nie unosiła się gniewem, ale na wiadomość tę nie mogła się wstrzymać od złości; nie chciała jej wierzyć, nazwała kłamcą tego, który ją przyniósł i w takiem była rozdrażnieniu, że zemdlała. Przyszedłszy do siebie, starała się jak najprędzej sprawdzić tę wiadomość w Warszawie, a gdy wątpić nie mogła o swojem nieszczęściu, uczuła w sobie nieznaną energję i niepohamowaną poświęcenia potrzebę. Żądała paszportu do Warszawy; barbarzyńcy odmówili jej go. Zdołała się ona bez niego obejść! Wyrzekając się wszelkich nawyknień do życia szczęśliwego i spokojnego, umieściwszy dzieci, sama tak delikatna, puszcza się w drogę ze swoją matką. Obiedwie przebrane za włościanki, odbywają tę podróż pieszo, nie zważając ani na trudy, ani na niebezpieczeństwa, jakiemi im groziła inkwizytorjalna policja Rosjan. Blisko już granicy galicyjsko-austrjackiej spostrzegają dwóch żandarmów objeżdżających ront na linji granicznej i ku nim się zbliżających. Chciały z razu uciekać, ale zastanowiły się, że lepiej zostać w miejscu. Zaczęły zbierać suche gałązki i kiedy już ich kupkę nazbierały, nadjechali żandarmi; ale ich ubiór, ich zatrudnienie, któremu się oddają włościanki tej prowincji, zwiodły czujność żandarmów. Przejechali obok, nie powziąwszy najmniejszego podejrzenia i obiedwie podróżne przebyły granicę. Były już w Austrji, ale i tam czekały je nowe niebezpieczeństwa. Nie mając paszportu, mogły być przytrzymane, odprowadzone do Rosji i oddane władzy podejrzliwej i okrutnej, któraby pewnie ukarała ich poświęcenie dla wygnańca. Pospieszyły do domu zajezdnego, tam się ukrywały i ztamtąd posłały do Lwowa prosić przyjaciół o ułatwienie im dalszej podróży. Po sześciu tygodniach ofiarowano im schronienie w zacnym domu, bliższym Lwowa. Potrzebny im był paszport; żądano go dla służącej udającej się z córką do Warszawy. Była to rzecz prosta i z łatwością byłaby się udała, gdyby osoby wyżej położone nie były się starały zbyt skwapliwie za służącą. Ta okoliczność obudziła podejrzenie i przewlekła interes. Niepokojona tą zwłoką, żona moja chciała się

widzieć z księżną R . . . ., jedną z tych, co się o paszport starały, wsiadła na wóz mleczarski i przyjechała do Lwowa, szczęśliwie wykręciwszy się z pytań, które jej na rogatce czyniono. Księżna zdziwiona, że tyle o ten paszport czynią trudności, sądziła że niepodobna je będzie przezwyciężyć; jednak nie były one tak wielkie. W końcu otrzymały paszport i obiedwie te damy puściły się w dalszą drogę. Ale na granicy Królestwa Polskiego powiedziano im, że wiedzą kto są i kazano im wracać do domu, jeśli nie chcą być odesłane pod eskortą. Musiały więc wrócić do dawnego schronienia. Poczciwi gospodarze domu przy pomocy przyjaciół wystarali się o inny paszport, ale do Krakowa i na inne nazwisko. Żona moja i dobra jej matka pojechały tam pocztą. Tam pani W . . . wystarała się dla nich o inny paszport, za którym przybyły do Warszawy. Policja tamtejsza była tak czynna, że w pół godziny po ich przybyciu hrabia Witt wiedział, kto one były i poszedł prosić księżnej Jabłonowskiej, aby żonę moją do niezwłocznego wyjazdu namówiła. Ale nie było to w myśli Emilji; idąc za własnym popędem i ufna w szlachetny charakter hrabiego Witta, stawiła się u niego nazajutrz w godzinach publicznego posłuchania, wymieniła swoje nazwisko, powiedziała że jest chorą i otrzymała pozwolenie pobytu aż do wyzdrowienia.

Kiedy mi to opowiadać skończyła, musiałem myśleć o powrocie. Tym razem mniej z tego powodu cierpiałem, bo miałem nadzieję, że będę mógł od czasu do czasu ponawiać te drogie dla mnie wizyty. Niespodziane szczęście pozwoliło mi widywać żonę z mniejszem niebezpieczeństwem. Nazajutrz albowiem otrzymała pozwolenie przychodzenia do mojej celi w towarzystwie matki, majora i adjutanta Czorby.

Jej poświęcenie się, jej trudy, niebezpieczeństwa, na jakie się narażała, nadwątlenie zdrowia, ostatnia niebezpieczna choroba, podobieństwo że recydywa w skutku nowych zmartwień, byłaby dla niej śmiertelnym ciosem, wszystko to tyle dla niej spółobudziło czucia, że jej dozwolono tej nadzwyczajnej łaski. Oficerowie N. N. posunęli względność do tego stopnia, że, ile to od nich zależało, ukryć chcieli przed nią wszystko, coby na niej przykre zrobić było mogło

wrażenie. Jakoż kiedy mię po raz pierwszy odwiedziła, nie widziała na kurytarzu warty; ale nie można było zmienić rozmiarów sprzętów, smutnego widoku ciasnego mego mieszkania. Te nagie, pouszkadzane mury i okno za kratą, bolesne na niej sprawiły wrażenie. Nadaremnie starałem się uspokoić ją, udając zupełną obojętność na wszystkie te przedmioty, które ją w rozpacz wprowadzały, zwracając jej uwagę na korzyści drobne, jakie z nich ciągnąłem, i mówiąc jej, że w tej klatce nie byłem zamknięty, że mogłem z niej wychodzić, odwiedzać kolegów; wszystkie te objaśnienia chybiały celu. Matka widząc ją tak strapioną i słusznie obawiając się, aby znowu nie wpadła w chorobę, która niedawno życiu jej zagrażała, starała się skrócić tę pierwszą wizytę. Po oddaleniu się ich niepodobna mi było powrócić do celi. Cały wieczór szukałem schronienia u panów Augustowskiego i Zielińskiego i najpóźniej jak mogłem powróciłem do siebie.

Od tego czasu żona moja przychodziła widywać mię co dwa dni; przychodziła z rana i wychodziła dopiero przed wieczorem. Pani Augustowska i Zielińska otrzymały także pozwolenie widywania mężów; niekiedy zgromadzaliśmy się na obiedzie, a w końcu używaliśmy tyle szczęścia, ile go mieć można było w naszem położeniu.

Tymczasem urządzano dla nas drugie piętro. Pierwsze przeznaczone były na bliskie indagacje. Czyszczono, wybielano cele, a gdy nas do nich przeniesiono, zdawały nam się jak dla więźniów bardzo ładnemi pokojami.

Tylko co drugi dzień widując żonę, poświęcałem jeden z dwóch dni mojej, jak ją nazywał pan Popow, fabryce. Nie było to jedynem roztargnieniem w owych dniach nudów; utrzymywałem czynną korespondencję i wtenczas przekonałem się, jak był wierny i wprawny N...

W czasie jednej z pierwszych wizyt, żona opowiedziała mi swoje przygody w czasie kiedy jeszcze wojna trwała.

Zaledwie wyjechałem do Warszawy, ostrzeżono ją o zbliżaniu się Rosjan. Miała tyle tylko czasu, że się mogła rzucić z matką, dziećmi i kilkoma służącemi w czółna, które starano się ukryć w zaroślach Styru. Rzeka ta przechodzi

przez nasz park. Ztamtąd widziała, jak kolumna jazdy weszła do miasta, zmierzyła wprost do dworu i otoczyła go. Rosjanie zastali tam tylko kilka kobiet dworskich, które nie tyle co tamte choże, nie zdążyły szukać schronienia. Odbyto z niemi długie śledztwo, chcąc odkryć ich panię pomiędzy niemi; zmuszone były oprowadzać po wszystkich pokojach, po najmniejszych zakątkach, ludzi, którym kazano robić w domu te poszukiwania. Oficerowie rozgościli się w domu, jednak bardzo wielkich szkód nie robili; porozdzierano tylko, nie wiedzieć dla czego, kilka obrazów, rozerwano ze sto dzieł z bibljoteki, uszkodzono dwa marmurowe posągi. Zresztą niemal wszystko oszczędzono, jeśli nie dla mnie, to przynajmniej na korzyść cara, który wkrótce potem zabrał wszystko ekonomicznym sposobem sekwestru. Nie mówię o piwnicy, która zupełnie została spustoszoną. Wojna tak zapala! Trzeba się niekiedy napić; zresztą było to wino powstańca, prawnie należące do cara. A było tyle wina powstańskiego, że sam car nie byłby zdołał go wypić, słusznie więc i sprawiedliwie, wypili wino za jego zdrowie, za niego wojując. Na to nie ma nic do powiedzenia. Ale dla czego wylewano na ziemię, czego nie mogli wypić, to trudniej wyjaśnić; chcieli chyba libacji nabożnych do ubłagania łaski od bóstw piekielnych.

Tymczasem czółna, przesuwając się pomiędzy opiekuńcze trzciny, postępowały z rzeką i doprowadziły biedną moją rodzinę o dwie mile od dworu do szklarni, która do nas należała. To schronienie otoczone bagnami do nieprzebycia i przystępne tylko od strony rzeki, było dosyć bezpieczne do czekania dalszych wypadków. Na nieszczęście wszystko zeszło nagle moją rodzinę i prowizje rozdzielone pomiędzy dawnych i nowo-przybyłych mieszkańców, wnet się wyczerpały. Prawdziwy nastał głód. Posyłając po żywność, narażano się na odkrycie; wolano wyrzec się chleba, którego zupełnie zabrakło, i zmniejszyć racje innej żywności aż do czasu, kiedyby z mniejszem niebezpieczeństwem wychodzić można. Niedostatek stał się już bardzo dotkliwym, kiedy wdzięczność włościan pospieszyła żonie mojej w pomoc. Biedni ci ludzie boleli nad naszem nieszczęściem, podzielali

żal i obawy. Wiedzieli że żona moja z dziećmi schroniła się przed Rosjanami do szklarni, i domyślając się, że jej tam brakować musi żywności, postanowili dostarczyć jej. Rozsądny starzec podjął się tego niebezpiecznego i delikatnego poselstwa i w sam czas przybył. Wyłajał najprzód żonę, że nie miała więcej zaufania w poświęceniu włościan, i przez całe sześć tygodni, jak to ukrywanie się trwało, poczciwy starzec nie dał jej doznawać niedostatku. Dzieciom dokuczał najwięcej brak chleba; kiedy im go przyniesiono, jadły go z największą chciwością, nie mogły się nim nasycić i za każdym kąsem wykrzykiwały, że bardzo smaczny i lepszy od cukierków.

Z tem wszystkiem niepodobna było pozostać zawsze w tem ustroniu; nieszczęście zmusiło żonę do wyjścia z tego więzienia. Drugi nasz siedmioletni syn dostał zapalenia mózgu. Rozpaczająca matka miała jednak tyle przytomności, że mu przystawiła pijawki, na których nie zbywało w moczarach, otaczających szklarnię. Ta ostrożność była dobrą, ale dla tego nie można się było obejść bez lekarza. Konieczną więc rzeczą było, co bądź nastąpi, powrócić do dworu, zajętego przez Rosjan. Kiedy idzie o ratowanie dziecka, nie ma nic, coby przestraszyło matkę. Żona więc powróciła do dworu. Ale zaledwie tam przybyła, kiedy rozgoszczony w naszych pokojach pułkownik, nie racząc nawet widzieć się z nią, wyznaczył dla niej pokoje i kazał przy wszystkich drzwiach poustawiać warty. Moja żona chciała się z nim widzieć. Przybył we cztery godziny, wszedł z miną hardą w czapce i według wszelkiego podobieństwa miał zamiar mówić tonem rozkazującym, spodziewając się, że ujrzy przed sobą kobietę bojaźliwą, błagającą. Zdziwiona jege niegrzeczną powierzchownością, żona moja przyjęła go siedząc i rzucając na niego wzrok pełen godności, rzekła:

— Gdybym mogła była przewidzieć, że pan prowadzisz wojnę z kobietami i dziećmi, nie byłabym tu powróciła; ale ponieważ byłam nieroztropna, liczyłam na pana honor i przyzwoitość. Muszę się zapytać, jakiem prawem więzicie mnie w moim domu? —

Pułkownik już dosyć podeszły, nie był widać zupełnie

zły człowiek. Ta postawa, to przemówienie energiczne, ten przeważny wpływ, jaki zawsze w trudnych okolicznościach wywiera kobieta rozumna, a nadewszystko zapewne przekonanie, że za daleko swoją władzę posunął, zmięszały pułkownika. Zdjął czapkę i zaczął jąkać przepraszania, oparte na gorliwości służby monarszej i na tem, że wiedząc iż właściciel domu jest powstańcem, chciał zastraszyć żonę, aby się dowiedzieć od niej, gdzie się mąż ukrywa. Podobne usprawiedliwienie się ściągnęło na niego nowe zgromienie.

— Nie, to co pan mówisz, jest niepodobne. Krzywdziłabym pana, gdybym temu uwierzyła; mam lepszą o panu opinję. Pewna jestem, że pan nie posuwasz śmieszności aż do czynienia mnie odpowiedzialną za czyny mojego męża i nie mam pana za tak nierozumnego i zepsutego, iżbyś choć pomyślał wydobywać ze mnie jakie odkrycia, które mogłyby być dla niego szkodliwe. —

Słowa te dobiły biednego starca; wyszedł, słowa nie mówiąc, ściągnął warty i sam przeniósł się do innego domu. Musiał to być poczciwy człowiek, bo nie tylko nie mścił się za to, co na jego miejscu niejeden inny byłby wziął dla siebie za zniewagę, ale nawet był od tego czasu dla mojej żony z prawdziwem uwielbieniem i wydał rozkaz najściślejszy, aby szanowano osobę jej i wszystko co do niej należało. Jak tylko żona moja była wolną, posłała po lekarza i dziecko zostało uratowane.

Przytoczę tu dwa przykłady dowodzące szlachetności uczuć pułkownika.

W pierwszych dniach powstania chciano powiesić ajenta policyjnego, niejakiego Słuchajewskiego. Wszędzie ścigany, człowiek ten szukał schronienia w moim domu. Miałem szczęście wybawić go od kary, na którą zresztą bardzo zasługiwał; narażałem się nawet, chcąc ocalić podobnego człowieka i w podobnych okolicznościach. Powróciwszy z nieprzyjacielem, p. Słuchajewski skwapliwie chciał mi okazać swoją wdzięczność policyjną, usiłując wykryć moje schronienie i oddać mnie w ręce Rosjan. Dopóty wszystko bardzo dobrze: robił swoje rzemiosło i dawał dobrą naukę nieroztropnym, którzyby mieli ochotę ocalać ludzi tego rodzaju.

Ale razu jednego bezwstydnik ten przybył do mego domu i wręczył mojej żonie szereg pytań na piśmie, z żądaniem, aby także na piśmie na nie odpowiedziała. Wszystkie te zapytania ściągały się do moich czynności politycznych i do miejsca mego schronienia. Żona moja opierała się z oburzeniem, chłystek ten obstawał z dziwną bezczelnością i zawsze w imieniu cesarza. Spierano się z jednej i drugiej strony, kiedy się drzwi otworzyły i kiedy na to nadszedł pułkownik. Wstydząc się przeszłej nieprzyzwoitości, poczciwy ten oficer nie śmiał był od tego czasu widzieć mojej żony, ale dowiedziawszy się, nie wiem jakim sposobem, o prześladowaniu, jakiego doznaje od przybyłego ajenta, pospieszył jej w pomoc.

— Wiem wszystko — rzekł wchodząc — co ten człowiek winien mężowi pani hrabiny, co nawet pani sama dla jego rodziny świadczyła. Jeśli się odważy jeszcze niepokoić panią, niech pani każe go związać i do mnie przysłać, a ja resztę na siebie biorę. —

Napomnienie było dobre, a nadewszystko jasne; wisus miał dobre nogi i zniknął jak przestraszona żmija. Szczęśliwy że mógł naprawić chwilową niegrzeczność dawniejszą, pułkownik przyjął zaproszenie na obiad i przychodził potem częściej do dworu.

Zapomniano już o tej nieprzyjemnej scenie, kiedy towarzyszący pułkownikowi oficer, bawiąc się z tym samym synkiem naszym, który niedawno chorował, zapytał go, gdzie ojciec? Może zapytanie takie było nieumyślne, ale zawsze było nierozważne. Dziecko odpowiedziało:

— Nie wiem, ale jak powróci, powiem mu, żeby cię wychłostał! —

Pułkownik poklasnął tej odpowiedzi.

— Dobrze ci powiedział — rzekł — zasłużyłbyś na to. Nie znam nic nad to haniebniejszego, jak używać dziecka do gubienia ojca. —

To powiedziawszy, kazał oficerowi wyjść z pokoju.

Pułkownik z pułkiem swoim otrzymał rozkaz do wymarszu i opuścił miasto. Wkrótce potem urzędnik rosyjski przywiózł żonie list od gubernatora, wzywający ją, aby osiadła

z dziećmi w Żytomierzu, a to dla uniknienia niebezpieczeństw, na jakie u siebie była narażona. Był to grzeczny rozkaz, wydany w celu ukrytym zabrania całej mojej rodziny. Na szczęście nadszedł waleczny major Rożycki na czele kilkuset powstańców. Urzędnik, który miał może polecenie użycia przymusu, gdyby przekonywanie nie pomagało, ujrzał się sam w potrzebie błagania mojej żony o opiekę. Przechowywała go przez dwa dni pod dachami, lubo charakter Rożyckiego zaręczał, że ta ostrożność była niepotrzebną, ale biedny urzędnik, ze strachu prawie nieżywy, upierał się zostać w ukryciu i myślał, że w podobnych okolicznościach najroztropniej jest zabezpieczyć się przeciw wszelkim wypadkom. Przestrach jego przydał się nieco; był to człowiek zdolny uczuć wdzięczność i mierzył ją nie tyle na niebezpieczeństwo, ile na skalę swego przestrachu. Lekarz zaświadczył, że żona moja chora i to świadectwo uznał za powód dostateczny do zostawienia jej w pokoju; odjechał ze świadectwem i listem do gubernatora.

Wnet potem «porządek panował» w kraju, ale po przejściu zaburzenia, Emilja otrzymała rozkaz opuszczenia dworu, który według ukazów przeszedł na własność cesarza. Skonfiskowano majątek nas obojga, a jej wyznaczono pensję, z której mogła była z dziećmi nie umrzeć z głodu. Równie dobra Polka, jak dobra małżonka i matka, żałowała dostatków tylko przez wzgląd na dzieci i z dumą widziała, że ją podciągano pod zemstę, która dosięgała męża i że cierpiała za świętą sprawę ojczyzny. I ja dumny byłem taką wzniosłością jej duszy, taką mocą jej charakteru, cnotami, które dotychczas ukryte były pod przymiotami najłagodniejszemi. Człowiek jest tak szczęśliwy, kiedy może podziwiać przedmiot swojej miłości!

Moje uwięzienie trwało już od pół roku, bo brakowało do niego tylko dni sześć, kiedy wiadomość o bliskiem rozpoczęciu procesu potwierdził powrót posłów do naszego więzienia Karmelickiego, gdzie zajęli miejsca dawnych naszych towarzyszów. Zbliżanie się tej smutnej uroczystości obudziło wszystkie niepokoje żony mojej. Obawiała się, abym nie dosyć dobrze, nie dosyć dokładnie na wszystko, co miałem

Centralna Biblioteka Miejska w Katowicach

mówić, odpowiadał, jeśli będę mówił z pamięci, albo z natchnienia. Zdawało się jej, że bezpieczniej było odpowiadać na piśmie. Dla zaspokojenia jej zacząłem gryzmolić rodzaj obrony, która trąciła nieco sofistyką. Ale jakimże innym sposobem bronić się przed sędziami, których miano nam wyznaczyć i pod przewagą okoliczności, w jakich my się znajdowali? Spisawszy tę obronę, byłem tyle nieroztropny, że ję pokazałem żonie w obec pana Popowa, którego prosiłem na to o zwyczajne pozwolenie. Pan Popow oświadczył, iż do rzeczy tak ważnej potrzeba zezwolenia władzy wyższej. Wtedy zrzekając się udzielenia rękopismu żonie, chciałem go odebrać z rąk pana Popowa, który go zaraz był pochwycił. Ale pan Popow był to człowiek nastojaszczy, i jak się później dowiedziałem, miał rozkaz zabrania mi jakimbądź sposobem tego rękopismu, nad którym widziano mię pracującego; powinien był tylko czekać aż robotę tę ukończę. Nie chciał więc oddać mi tej obrony, schował ją i powiedział, że ją odda jenerałowi Pęcherzewskiemu. Nadaremnie opierałem się temu, mówiąc, że się zrzekam użycia jej i że w takim razie mam prawo zatrzymania jej, tak, jak gdyby z rąk moich nie była wyszła. Wszystko nic nie pomogło. Żona moja w rozpaczy pobiegła do hrabiego Witta. Oddano mi moją obronę, ale dopiero w tydzień i gdy ją przepisano. Na szczęście, chęć bardzo naturalna uspokojenia żony, nie podyktowała mi w tem piśmie jednego wyrazu, któregobym się miał był wstydzić. Przyznawałem wszystkie moje zasady, rozwijałem je otwarcie, i zdawało mi się, że od tej chwili miano dla mnie jeszcze więcej względności. Niemniej dla tego pozostał przykład, świadczący zwyczaj haniebny rządu wkradania się w stosunki męża z żoną, czyhania na ich komunikacje poufałe, chwytania ich, zamiast coby raczej otwarcie zabronić powinien, jeśli uważa je dla siebie za niebezpieczne i szukania w nich podle nieroztropnych wyznań, albo jakich dwuznacznych wyrazów, których by przeciw nim mógł użyć!

Od czasu przybycia posłów, porządek więzienny znacznie się zmienił. Wewnątrz domu używaliśmy prawie zupełnej wolności. Mogliśmy się widywać podług naszego upodobania,

przechadzać i bawić się. Żony nasze przychodziły do nas na całe dni i miewaliśmy u Karmelitów przyjemne towarzystwa, nie ustępujące co do wesołości zgromadzeniom samej stolicy. Trwało to kilka tygodni. Tyle było różnicy między teraźniejszym a dawnym stanem, iż uważałem się prawie za będącego na wolności. Podobałem sobie w tem nowem położeniu, widocznie dosyć znośnem, a z drugiej strony starałem się nie pokazywać najmniejszej troski o przyszłość, w obawie, aby tem nie zasmucić żony. Tak byłem przejęty szczęściem widywania jej, tak mię rozweselały małe nasze towarzystwa, że w istocie nie miałem żadnego niepokoju.

Wolność, powiem prawie swawola, jakiej my wtenczas używali, powinna się zdawać nie do uwierzenia. Dziwno może będzie, widzieć władzę rosyjską tak łatwą, tak potulną dla powstańców. Następujące okoliczności wyjaśnią przyczynę takiego postępowania; ale i w tej pozornej łagodności dostrzedz można maskę wdzianą dla ukrywania barbarzyństwa i oburzającej nieprawości.

Amnestja ogłoszona w imieniu cesarza, nie była ogólną dla wszystkich i za wszystko, były z niej te wyjątki:

Są wyjęci z amnestji:

1) Członkowie rządów rewolucyjnych w rozmaitych epokach, podobnie jak ci, co wznawiali swój rząd nieprawy w Zakroczymie.

2) Członkowie sejmu, którzy zaproponowali lub popierali projekt detronizacji.

3) Co do tych członków sejmu, którzy podpisali detronizację przez słabość, będą oni korzystali z amnestji, ale nie będą mogli zostać urzędnikami, dopóki postępowaniem i żalem nie udowodnią, że znowu zasługują na zaufanie, i t. d.

Przez ten podział na kategorje, amnestja oddzieliła rządy od sejmu i stosowała się widocznie do posłów uwięzionych u Karmelitów, bo właśnie byli to ci, którzy ani proponowali, ani popierali detronizacji. Podług amnestji można im było tylko odmówić urzędów do czasu wypełnienia zastrzeżonego dla nich warunku, ponieważ wszyscy członkowie sejmu, a zatem i oni, podpisali detronizację, ale żaden z nich nie był członkiem rządu. Amnestja dana więc była szczególniej

dla nich i na jej mocy, podług jej przepisów powracając, sądzili że nie będą niepokojeni. Był to zatem, jak powiedziałem, czyn bezprawny i barbarzyński, porywać ich z łona rodzin, więzić i wystawić ich na nieprzyjemności i niebezpieczeństwa śledztwa.

Ale znano genjusz srogi cesarza i przeciw najwyraźniejszym dowodom stawiano najniedorzeczniejsze tłumaczenia amnestji, wymyślone dla przypodobania się swemu panu przez najnędzniejszych dworaków. Jeden z takich zauszników, dawniej Polak, jenerał Rautenstrauch, przedstawił rządowi taki sofizm:

— *Sejm uzurpował atrybucje królewskie, a zatem* wszyscy członkowie sejmu, którzy byli w Zakroczymie, powinni być uważani jako członkowie rządu rewolucyjnego, a zatem wszyscy są objęci wyraźnie w wyjątkach z amnestji i żaden z nich nie mógł się odwoływać do tego dobrodziejstwa. —

Ale podobnie jak w ciągu całej rewolucji, tak i w Zakroczymie, oprócz sejmu, był jeszcze rząd narodowy i o nim to widocznie była mowa w amnestji. Lecz w ciągu całej rewolucji sejm miał atrybucje królewskie; ależ gdyby wszyscy członkowie sejmu byli uważani za członków rządów rewolucyjnych przez dawcę lub dawców amnestji, i oni znaleźliby się w pierwszym wyjątku i nie potrzeba było robić drugiego wyjątku jedynie dla tych członków sejmu, którzy proponowali lub popierali detronizację. Pojmuje to prosty rozsądek, ale sofizm bezczelny, zresztą tak zgodny z wyobrażeniami satrapy Paszkiewicza, przeważył w radzie, pomimo oczywistości wyrazów amnestji, która jasno odróżniła sejm od rządu. Na tej to zasadzie poaresztowano tymczasowo członków sejmu, którzy znajdowali się byli w Zakroczymie i którzy, nie wiedząc dla czego, byli sobie wyobrażali, że można ufać słowu cesarza Mikołaja.

Tymczasem sam pan Paszkiewicz nie mógł taić przed sobą niegodziwości podobnego postępowania, a przewidując, że wypadek tej sprawy będzie koniecznie przychylny posłom, nie śmiał zbyt prześladować ludzi więzionych sposobem tak niedorzecznym i haniebnym. Ta jest prawdziwa przyczyna, dla której posłom u Karmelitów folgowano. Co do mnie,

miałem być sądzony nie w Warszawie, ale na Wołyniu, i hrabia Witt tak się względem mnie był wyraził:

— Ponieważ jego sprawa odesłana jest gdzie indziej, jakąż mamy potrzebę dręczyć go tutaj? —

Stosownie do tej uwagi sprawiedliwej i ludzkiej, pozwalano mi używać przywilejów, jakich używali posłowie. Panowie Niemojowski i Zieliński byli członkami rządu; jakoż względem nich wydane były surowsze rozkazy, ale nie wykonywano ich, dzięki życzliwości oficerów, albo może dla tego, [illegible] rozgłosili jak się obchodzą z nieszczęśliwymi żonkami ich w więzieniu.

Tak dobrze to uczuwano, że sprawa przeciw posłom była wytoczona tylko dla dokuczania im, iż nie śmiano przystąpić do śledztwa bez zasięgnienia rady cesarza. Przełożone mu pytanie musiało być niezawodnie tej treści:

— Mamy sposób pozbawienia amnestji ludzi, którzy mają do niej prawo i których mamy w ręku; używamy zdrady, ale mniejsza o to, aby to tylko zgadzało się z twoją wolą; gotowi jesteśmy poświęcić ich, aby ci się przypodobać. Tymczasem są oni w więzieniu; tę przynajmniej masz przyjemność, jeśli im więcej nic nie zrobimy. —

Gdyby Europa nie była miała zwróconych oczu na Polskę i gdyby cesarz nie był obawiał się wrażenia, jakieby zdrada podobna sprawiła w świecie cywilizowanym, byłby może przyjął ofiarę służalców, przynajmniej tak wnosić pozwala znany jego charakter. Zmuszony zrzec się tej przyjemności, godnej jego, chciał przynajmniej wynagrodzić ją sobie przedłużaniem więzienia posłów. Dla dopięcia tego celu dosyć mu było opóźnić odpowiedź na zapytania jego ajentów. Zwlókł ją prawie rok cały. Tymczasem albo dla tego, że miano nieco wstydu, albo może, co podobniejsze do prawdy, że otrzymano jaki rozkaz potajemny, zaczęto zabierać się do śledztwa. Wtedy to osadzono w więzieniu Karmelitów członków sejmu, gdzie tym razem więziono ich nie jako członków rządu, ale jako posłów, którzy mieli udział w obradach zakroczymskich. Udział ten, był to wyjątek, dodany potajemnym rozkazem do wyjątków amnestji, albo uważany był za taki

przez pana Paszkiewicza. Celem śledztwa było sprawdzić, którzy z uwięzionych posłów bywali na posiedzeniach i którzy zatem znajdują się w przypadku, uważanym za wyjątkowy.

Blisko przez ośm tygodni czekaliśmy prawie codziennie na te śledztwa i codziennie odkładano je pod rozmaitemi pozorami. Nakoniec jenerałowie Paniutyn i Mamonow oraz pan Fałęski, dawny sędzia w Warszawie, mianowani zostali sędziami instruktorami i przyszli nas odwiedzić w towarzystwie prokuratora królewskiego, co nam zapowiadało rozpoczęcie śledztwa nazajutrz. Od tej chwili wstęp do więzienia zabroniony był naszym żonom. Na szczęście wierność Kozaka N. ułatwiała mi sposoby łagodzenia smutku po tak nagłej przerwie widywania mojej żony przyjemnością częstej korespondencji.

Trzymano mnie od roku w więzieniu warszawskiem, pomimo że miałem być sądzony na Wołyniu. Dla usprawiedliwienia tego powiedziano, że obecność moja potrzebna była w sprawie dotyczącej sejmu zakroczymskiego i postanowiono pociągnąć mnie także do indagacji. Ponieważ cały czas, przepędzony w więzieniu warszawskiem, był tym sposobem dla mojej sprawy stracony, żona moje po długich prośbach wyjednała, abym był zapytywany jeden z pierwszych: byłem siódmy czy ósmy.

Jednego dnia, kiedy miałem stawić się do śledztwa, spostrzegłem z okna hrabiego Witta i innych jenerałów rosyjskich, przechadzających się po naszym ogrodzie i jak gdyby upatrujących miejsca dla wznoszenia nowych murów. Nagle przybiega do ogrodu jakaś dama: była to moja żona. Biegnie wprost do hrabiego Witta i przemawia do niego z żywością. Po wzruszeniu jej nie wątpiłem, że się chciała ze mną widzieć; z poruszeń jenerała wnosiłem, że tylko z przykrością odmawiał. Nakoniec adjutant jenerała podał mojej żonie rękę i udał się z nią do więzienia. Upłynął kwadrans, a żona nie przychodziła; spóźnienie to wielce mnie niepokoiło, gdy nareszcie wychodząc z celi, ujrzałem ją już także przy drzwiach. Jenerał nie mogąc dać jej pozwolenia widzenia mnie, radził jej o to prosić sędziów

instrukcyjnych, którzy nie śmieli jej odmówić. Towarzyszył jej ciągle adjutant. Rzuciła mi się najprzód na szyję i pomimo wzruszenia zręcznie wsunęła mi w ręce karteczkę. Chciałem się dowiedzieć o przyczynie jej wzruszenia. Uwiadomiła mnie, że mnie oskarżono o pełnienie obowiązków sekretarza senatu w Zakroczymie. Uspokoiłem ją, przypominając, że będąc senatorem, nie mogłem być sekretarzem. W karteczce donosiła mi to samo. Zaledwie miałem czas ją przeczytać, kiedy mnie wezwano przed trybunał. Nim opowiem szczegóły śledztwa, winienem zatrzymać się nad punktem głównym, który wyjaśni raz na zawsze moje zeznania i moje zaprzeczenia.

Zapytywano członków sejmu tylko o ich posiedzenia zakroczymskie. Nie mogąc zaprzeczyć, iżby nie byli w Zakroczymie, wystawiali iż nie mogli udać się gdzieindziej i znaleźli z łatwością świadków, dowodzących że na posiedzeniach nie bywali. Udzielone mi stosowne uwiadomienie miało mi służyć za podstawę, nie własnej obrony, ale wszystkiego, co się tyczyło innych obwinionych.

Pod względem grzeczności nie miałem się o co skarżyć na sędziów. Przywitali mnie uprzejmie i prosili usiąść. Pan Fałęski czynił mi pytania, z których następujące były ważniejsze:

Pytanie: Czy pan hrabia życzy sobie dyktować odpowiedzi, czy je sam chce pisać?

Odpowiedź: Wolałbym je sam pisać.

Stosownie do tego, pan Fałęski dyktował pytania sekretarzowi, który następnie podawał mi papier, abym na nim odpowiedź moją napisał. Pan Fałęski nie przemawiał do mnie nigdy, nie dodając tytułu hrabiego; udawanie dosyć niepotrzebne.

Opuszczam pytania zwyczajne względem wieku, religji, miejsca urodzenia, i t. d.

P. Czy pan hrabia byłeś od razu senatorem?

O. Byłem najprzód reprezentantem Wołynia, a później połączone izby mianowały mnie senatorem.

P. Kiedy pan hrabia przyjechał do Warszawy?

O. Nie przypominam sobie z pewnością dnia; było to, jeśli się nie mylę, na dwa tygodnie przed bitwą Ostrołęcką.

P. Czy pan hrabia był w Zakroczymie?

O. Byłem.

P. Czy pan hrabia bywał na posiedzeniach sejmu?

O. Bywałem.

P. Których posłów tu obecnych spotykał tam pan hrabia?

O. Nie wiem, którzy posłowie są tu obecni; zresztą widywałem posłów w czasie rewolucji tylko na posiedzeniach, znam ich wszystkich bardzo mało i byłoby mi trudno wymieniać ich po nazwisku.

P. Z tem wszystkiem, może pan hrabia znał niektórych; proszę sobie przypomnieć znajomych, których pan hrabia spotykał na posiedzeniach zakroczymskich?

O. Widywałem na posiedzeniach kilku znajomych — (tu wymieniłem posłów, którzy, jak wiedziałem, byli za granicą).

P. Czy pan hrabia nie widział tam posła — (tu zapytywano mię o posłów, którzy w istocie bywali na posiedzeniach, ale którzy na teraz siedzieli w więzieniu Karmelickiem).

O. Nie, nie przypominam sobie.

P. Czy pan hrabia był sekretarzem w Zakroczymie?

O. Będąc senatorem, nie mogłem być sekretarzem.

P. Wiem, ale w nieobecności sekretarza czy pan hrabia nie zastępował go kiedy dobrowolnie?

O. Wiadomo, że w takim razie jest to obowiązkiem najmłodszego senatora, a ja nim nie byłem.

P. Wiem, że najmłodszym senatorem był pan Łępicki, ale po nim był pan hrabia, a w nieobecności sekretarza i pana Łępickiego musiano pana powołać do zastąpienia ich; proszę sobie więc przypomnieć, czy nie podpisywałeś nic za nieobecnego sekretarza?

O. Nie sądzę.

Po tej odpowiedzi p. Fałęski pokazał mi spisy członków obecnych na dwóch posiedzeniach, z podpisem moim na obydwóch, złożone po większej części z posłów uwięzionych

u Karmelitów. Przyznać moje podpisy, było to samo, co ich oskarżać; postanowiłem więc zaprzeczyć je.

P. To jednakże ręka pana hrabiego?

O. Prawda, że te podpisy bardzo podobne do mojej ręki, ale nie przypominam sobie, iżbym te dwie listy podpisywał. Może położono na nich później moje podpisy, przewidując słusznie, że nie będę przeciw nim reklamował, zwłaszcza że przedmiot ich tak małej był wagi, a może jest to dzieło jakiego fałszerza, który chce panów w błąd wprowadzić i skompromitować pewne osoby. Zresztą nie mogę odgadnąć potajemnych pobudek, jakie kto w tem mieć mógł. Z pewnością to tylko mogę utrzymywać, że sobie nie przypominam, iżbym kiedy te listy podpisał.

P. Zdaje się, że panu pamięć nie jest wierna. Czy zawsze jest taką?

O. Nie; ale gdyby nawet w tej okoliczności nie była mi wierną, nie byłoby w tem nic dziwnego. Jestem od roku w więzieniu, jakże mógłbym sobie przypominać najdrobniejsze szczegóły?

P. Proszę nam napisać swój podpis.

Podpisałem się.

P. Ale to oczywiście ta sama ręka!

O. Jeśli podobało się komu sfałszować mój podpis, szukano zapewne zręcznego fałszerza, a na takich nie zbywa i dla tego to podobieństwo nie ma nic zadziwiającego.

Musiało się zdawać jenerałowi Paniutynowi, że chciałem dać do zrozumienia, iż to oni kazali sfałszować moje podpisy dla pogorszenia naszej sprawy za pomocą dowodów, których istnienia nie przewidywaliśmy, bo rozczerwienił się i przerwał śledztwo, mówiąc do mnie:

— Niech pan nie sądzi, żeby to były żarty.

— Ja też nie żartuję.

— Żałuję pana. —

Podziękowałem mu, schylając nieco głowę i rzekłem w dodatku do mojej odpowiedzi:

— Zresztą ponieważ przyznałem, że bywałem na posiedzeniach, podpis tych list staje się zupełnie nic nie znaczącym

i nie wiem, dla czegobym miał go zaprzeczać, gdybym go sobie przypominał. —

W ciągu całego tego śledztwa prokurator królewski, «poczciwy» pan Pokłękowski, nie zaniedbywsł nigdy rozpoczynać ze mną jakiej bądź nic nieznaczącej rozmowy, jak tylko pan Fałęski zabierał się do dyktowania mi pytania. Była li to grzeczność ze strony tego prawego komentatora amnestji, albo czy nie był to raczej manewr inkwizytorski dla roztargnienia mnie w chwili zadawanego pytania, tak, iżbym nie miał czasu do pomyślenia nad odpowiedzią? To pewna, że podobna grzeczność człowieka tak zręcznego, byłaby bardzo niezręczną; podobny manewr, nawet dla niego, byłby zbyt haniebnym.

Na szczęście śledztwo całe było tylko formalnością. Co do mnie, oprócz pytań, których sobie może nie przypominam, nie posuwano go dalej.

Ile razy który poseł powracał z trybunału, zamykano go w celi i stawiano przy niej wartę, a to dla przerwania wszelkich komunikacji z posłami, którzy dopiero mieli odpowiadać. Ścisłe to więzienie nie osiągało żadnego celu, bo w pół godziny warta wracała na swoje miejsce, a komunikacja otwierała się równie swobodna jak dawniej.

Za powrotem moim do celi, towarzyszący mi oficer N. powiedział mi, że mię uwolni od warty przy drzwiach celi, ponieważ oświadczył sędziom, że ufa mojemu słowu. Nie chciałem na to przystać i odpowiedziałem mu, że warta tyle ścieśni mi tylko komunikacje, ile innym, a słowo uwięziłoby mnie zupełnie.

— Nie dam panu tego słowa; zresztą zbyt masz wiele rozumu, iżbyś nie wiedział, że to tylko szykana i że dla tego tylko robią śledztwo, ażeby udawać że się zatrudniają ważną sprawą. Zresztą gdybyśmy mieli potrzebę zniesienia się, nie brakowało nam czasu do tego. A zatem widzisz, że wszystkie te zaostrzenia są niepotrzebne i śmieszne. —

Oficer uśmiechnął się tylko i odszedł, nie postawiwszy mi przy drzwiach warty. Chociaż nie potrzebowano mnie już w Warszawie, nie przestawano jednak trzymać mnie tam w więzieniu i pozbawiać mnie odwiedzin żony. Po skończeniu

śledztwa z posłami, zaczęto i wnet skończono także śledztwo z dwoma członkami rządu. Po tych wielkich pracach zatrzymano się. Nareszcie nadeszła odpowiedź z Petersburga od cesarza. Najjaśniejszy Pan przebaczał, albo raczej powtórnie amnestjował członków sejmu. Uwiadomiono ich o tem, wychwalając wielkomyślność carską i wypuszczono ich na wolność — ale dopiero nazajutrz, zapewne dla zostawienia im czasu do rozmyślania spokojnego nad wielką dobrocią cesarską i do przeniknienia się uwielbieniem dla niej. Zwłoka ta nie powinna zresztą wydawać się dziwną; pod rządami despotycznemi napełniają się, ale nigdy nie wypróżniają się skwapliwie więzienia.

Pozostało nas tylko trzech u Karmelitów: panowie Niemojowski, Zieliński i ja. Straciłem przyjemne towarzystwo, ale natomiast przywrócono mi wizyty żony. Otrzymała to pozwolenie nie bez trudności, ale skutek pocieszył ją za wszystkie starania. Starała się także o rozkaz posłania mnie na Wołyń, gdzie coś jaśniejszego mogłem się o moim losie dowiedzieć. Odpowiadano jej zawsze, że pojadę za dwa, za trzy dni i każdym razem spieszyła przynosić mi tę obietnicę, która zwiodła nas, nie pamiętam już, ile razy. Po każdej takiej obietnicy zdawano się zupełnie o mnie zapominać. Te nieustanne odkładania wprowadzały nas w rozpacz; nie wiedzieliśmy już, co o nich myśleć, kiedy razu jednego dowiedzieliśmy się, że robią w mieście śledztwo dla dowiedzenia się, jakie było moje postępowanie w czasie rewolucji. Śledztwo to było dla mnie korzystne i przy końcu piętnastego miesiąca po mojem uwięzieniu przybył jednego wieczora oficer od żandarmów z zapowiedzią, że pojedziemy jutro. Było to już urzędowe uwiadomienie, powinienem mu był wierzyć. Dwaj koledzy przyszli mi winszować, przyłączył się do nich oficer kozacki, który od czasu uwolnienia posłów zastępował pana Popowa, i do godziny trzeciej z rana obchodziliśmy ostatnie chwile naszego widzenia.

Całą noc oka zmrużyć nie mogłem; przyszłość moja nie była bynajmniej zaspakajającą. Ale nie przyszłość zatrudniała mnie; niepokoił mnie wyjazd. Obiecano żonie, że ze mną pojedzie; przywiązywałem tem więcej ceny do tej względności,

iż żona była przy nadziei, że potrzebowała więcej starań i że matka jej od niejakiego czasu wyjechała była do naszych dzieci.

O godzinie 8 z rana major i oficer od żandarmów przyszli po mnie; chciałem pożegnać po raz ostatni moich towarzyszów. Pan Zieliński czekał mnie na kurytarzu; pan Niemojowski jeszcze spał. Nie miałem odwagi przebudzić go i pożegnałem go tylko przez służącego. Major i żandarm wsiedli ze mną do fiakra. Wieziono mię czy na drogę do Wołynia, czy do mieszkania żony? Czy dotrzymają danej obietnicy? Byłbym rad o tem wiedział, ale nie śmiałem się pytać, w obawie otrzymania odpowiedzi, któraby mię przeraziła. Tymczasem jechaliśmy dalej i powóz zatrzymał się wnet przed bramą hotelu, w którym mieszkała moja żona. Była w kościele. Oficer od żandarmów mając jeszcze do odebrania rozkazy, postanowił że pojedziemy dopiero wieczór i zostawił mię na słowo.

Nie mogę wyrazić, jakich doznawałem uczuć, widząc się niespodzianie u siebie, wolnym na jeden dzień, ale na dzień prawie cały i czekając na Emilję. Z jakąż radością widziałem ją wchodzącą, z jakiemże uniesieniem rzuciła się w moje objęcia! Jakie szczęście być razem i mieć dzień do przepędzenia z sobą, nim co innego przypomni nam znowu minione zmartwienia, przyszłe troski!

Około godziny siódmej wieczorem powóz zajechał. Żona wsiadła do niego z akuszerką, wziętą dla ostrożności; wsiadłem, uściskawszy serdecznie poczciwego N., który nie mógł łez wstrzymać. Oficer od żandarmów pojechał naprzód i ruszyliśmy śród błogosławieństw i życzeń widzów, zgromadzonych na dziedzińcu hotelu.

VI.

Przybycie do Żytomierza. — Marszałek Lenkiewicz. — Wyjazd do Kijowa. — Feldmarszałek Sacken, gubernator Łaskarew. — Powrót do Żytomierza. — Gubernator Korsakow i jego żona. — Uwolnienie. — Nowe potępienie. — Uwięzienie w klasztorze Bernardynów w Żytomierzu. — Ucieczka z tego więzienia. — Przybycie do Galicji. — Wyjazd do Karlsbadu. — Przybycie do Francji.

Wszystko w tej podróży czyniło mi nadzieję bliskiego uwolnienia. Zdawało się, że więzień stanu, któremu pozwalają odbywać podróż z żoną i bez straży, ponieważ oficer od żandarmów poprzedzał nas zawsze o milę, albo i dwie mile, nie powinien wiele obawiać się. Sądzenie mnie miało być zatem tylko rodzajem formalności bez niebezpieczeństwa, prawdopodobnie tylko uwolnienie formalne za sobie pociągającem. Wynikało to jeszcze z rozkazu danego oficerowi od żandarmów, który nam powiedział na pierwszym noclegu, że mu polecono być na nasze rozkazy, bo jechałem do Kijowa po to tylko, aby mnie tam uwolniono. Taka przyjemna pewność dodawała żonie mojej siły do znoszenia trudów podróży. Była cierpiąca, ale odbywaliśmy podróż powoli i nie było żadnej przeszkody do zarządzenia, co było potrzebne dla jej zdrowia.

Dziewiątego dnia stanęliśmy w Dubnie; dzieci nasze były o cztery mile ztamtąd. Otrzymawszy od oficera obietnicę, że w tem mieście dwa dni będziemy mogli się zatrzymać, uwiadomiłem ich dniem pierwej, aby przyjechały te

dwa dni z nami przepędzić. Tylko cośmy do domu zajezdnego przybyli, ujrzeliśmy panią Gogel, wdowę po jenerale, dawniej dowódzcy korpusu, który stał w tej prowincji. Dama ta była rodem Francuzką. Zabrała ona znajomość z bratem moim w Rzymie i była pierwszą jego żoną. Po kilku latach małżeństwa rozwiodłszy się, poszła za jenerała Gogla; ale ta zmiana nie osłabiła bynajmniej przyjaźni dla nas. Korzystała z tej sposobności, aby nam dać jej dowody, bez względu na niebezpieczeństwo, na jakie się narażała, okazując przychylność więźniowi. Mieszkając w mieście, dowiedziała się o naszem przybyciu i uwiadomiona, że tam dwa dni mieliśmy zabawić, nakłoniła oficera, że nam pozwolił mieszkać w jej domu. Przyszła do nas z swym synem i córką, dziećmi mego brata. Ludwika, córka jej, rozpłakała się, widząc nas. Poczciwa ta dziewczyna dowiedziała się była o mojem uwięzieniu i od tej chwili zabawy jej wieku straciły dla niej cały swój powab, patrzała z odrazą na tańce i stroje, myślała tylko o nieszczęściu swego stryja. Tak żywe, tak prawdziwe przywiązanie było jedną z wielkich dla mnie pociech. Matka i córka nie mogły się nacieszyć, mając nas w gościnie; byliśmy szczęśliwi w domu podobnych przyjaciołek.

Nazajutrz przyjechały nasze dzieci. Miałem nareszcie szczęście widzenia, uściskania ich! — — Ojciec zdoła uczuć czego doznawałem, ale nikt tego nie wypowie!

Rano, nim list mój odebrały, widziały numer któregoś dziennika, podobno «Constitutionnel», który wyraźnie donosił, że wyrok śmierci został na mnie w więzieniu wykonany. Biedne dzieci nie mogły się z żalu uspokoić, kiedy posłaniec mój nadszedł. Po rozpaczy nastąpiła najżywsza radość. Widząc nas znowu, nie mogły się z nami napieścić, cisnęły się około nas, nie odstępowały nas na chwilę, trzymały się naszych rąk, naszych sukien i powtarzały, że nie chcą nigdy rozłączyć się z nami, a jednak tylko dwa dni mieliśmy z sobą do przepędzenia i te dwa dni byliśmy winni ludzkości żandarma.

Chciałem, aby żona z niemi została: prosiłem, błagałem ją o tę łaskę; oficer od żandarmów zapewnił ją, że powrócę

za kilka dni. Ani moje prośby, ani ta zaspakajająca obietnica, nie mogły jej skłonić do tej ofiary. Postanowiła nie odstępować mnie do końca moich nieszczęść! Pojechaliśmy więc razem, zostawując znowu dzieci na czas nieoznaczony! — — Ojciec mojej żony, który przyjechał do nas do Dubna i który nie chciał już rozłączyć się z swoją córką, pojechał przed nami na kilka godzin pierwej, aby, jeśliby to dało się uczynić, wynaleźć jakie sposoby pomagania nam.

Po trzech dniach przykrej podróży przybyliśmy do Żytomierza, stolicy Wołynia. Ojciec mojej żony uwiadomił nas, że pan Lenkiewicz, marszałek gubernji, ofiarował dać za mnie porękę i że zatrzymany będę w Żytomierzu, ponieważ rozpoznawanie wszelkich spraw, tyczących się powstania, oddawane zostało właściwym gubernatorom cywilnym. Polecenie to dał im jenerał-gubernator Lewaszow, który miał pod swoim zarządem gubernię Wołyńską, Kijowską i Podolską, i który niedawno wyjechał był z Kijowa do Petersburga. Z radością dowiedziałem się o tem, bo biedna żona trzymała się tylko nadmiarem odwagi i poświęcenia. Nazajutrz z rana marszałek gubernji odwiedził nas i zaprowadził żonę moją do gubernatora, który jej powtórzył to, co nam ojciec jej powiedział. Powróciła cała w radości, ale ta radość nie długo trwała. Oficer żandarmerji, dotychczas tak grzeczny, nie chciał przyznać gubernatorowi prawa zmieniania danego sobie rozkazu.

— Mam rozkaz — mówił — jechać do Kijowa, powiozę tam, pomimo gubernatora, więźnia i depesze. Ponieważ sprawa wasza jest odesłana do gubernatora wołyńskiego, powrócicie tutaj i tylko będziecie mieli trudy podróży tam i napowrót. Gdybym was tu zostawił, nie zważając na dane mi rozkazy, nie ręczę, czyby mi to łatwo uszło. —

Wszelkie nasze usiłowania, aby pokonać jego opór, były nadaremne, a gubernator, do którego był poszedł, nie śmiał wziąść na siebie odpowiedzialności za zatrzymanie nas, pomimo jego prawa. Tak posłuszeństwo staje się niedorzecznem pod żelazną rózgą niedorzecznego despotyzmu. Żona chciała jechać ze mną, chociaż była słaba i chociaż za kilka dni powrócić miałem.

Wieczorem drugiego dnia podróży stanęliśmy w Kijowie i wysiedliśmy w mieszkaniu hrabiego Ilińskiego, które przyjaciel nasz, pan Malinowski, dla nas przygotował. Hrabiego nie było w Kijowie, a pan Malinowski czynił nam tę przysługę z własnem narażeniem się. Tegoż samego wieczora oficer nasz poszedł do żony, która mieszkała w Kijowie, i zostawił nas samych.

Nazajutrz z rana przyszedł do nas pułkownik żandarmów. Wizyta podobna napełniła mnie strachem; myślałem że mi dadzą innego stróża, którego charakter nie byłby mi znajomy i którego postępowanie mogłoby niepokoić moją żonę, już i tak zaledwie się trzymającą. Nie podobna byłoby odgadnąć powodu tej wizyty; powiem jaki był i trudno będzie uwierzyć. Pułkownik przyszedł jedynie dla zobaczenia, jak wyglądam! Feldmarszałek Sacken dał mu to bezwstydne polecenie, a on wykonywał go z zabawną dobrodusznością.

— Feldmarszałek zawołał mnie — były jego słowa — i widząc że mu nie umiałem nic powiedzieć o panu, rzekł: «Jakto! Czy nie wstydzisz się mówić mi, że jeszcze nie wiesz jak wygląda, czy młody, czy stary, czy dobrze wygląda, czy smutny, albo wesoły, Idź, zobacz go!» —

Dowiedziawszy się, o co rzecz idzie, obróciłem się dwa razy w kółko, aby mnie ze wszystkich stron zobaczył i wróciłem raptownie do pokoju, z którego wyszedłem, zostawiając pułkownika, zdziwionego takiem przyjęciem. Była to tylko niedorzeczność i dziwaczność; większa nieprzyjemność nastąpiła wkrótce.

Nie od rzeczy tu będzie powiedzieć co o feldmarszałku Sackenie, dla poznania w całem świetle jego charakteru.

Z razu ustanowione były komisje specjalne do sądzenia powstańców: był to rodzaj sądów prewotalnych. Baron Sacken rozstrzygał w ostatniej instancji. Starzec ten przeszło ośmdziesiątletni, obrzucony przekleństwami jako człowiek, wzgardzony jak jenerał, znajdował przyjemność, mnożąc żałoby całych rodzin, chociaż wiek jego powinien był go ostrzegać, aby się gotował stanąć przed sądem Najwyższego. Nie wzdrygał on się zatwierdzać potępień najbezecniejszych i cesarz nie mógł znaleźć gorliwszego służalca swych okrucieństw. Każdy zdolny najmniejszych uczuć ludzkości, byłby się cofał przed wykonaniem poleceń, które Sacken wykonywał z całą surowością, jeśli nawet ich nie przesadzał. Jakoż zatwierdziwszy, pochwaliwszy, podyktowawszy, albo wydawszy mnóstwo wyroków, które zaludniły ofiarami politycznemi pustyni Syberji, nędznik ten otrzymał od cesarza w dowód jego zadowolnienia tytuł księcia.

Następujący rys da poznać, jakim sposobem Sacken sądził i do jakiego stopnia dochodził w nim nałóg, manja potępiania. Razu jednego przyniesiono mu wiadomość, że ulubiony koń jego nie będzie mógł już na nic się przydać i zapytano go, co z nim należy zrobić? Nie dosłyszawszy i wystawiając sobie, że nie ma potrzeby dobrze słyszeć, bo myślał, że mu mówiono o jakimś powstańcu, odpowiedział spokojnie:

— Posłać go do kopalni! —

Gdyby było szło o człowieka, wyrok był ważny, cesarz pewnie nie byłby odmówił zatwierdzenia i nieszczęśliwy byłby przepadł — ale szło tu o konia i sam sędzia unieważnił swój wyrok. Są czasy i miejsca, nadewszystko w Rosji, gdzie człowiek z honorem powinien żałować, że nie jest koniem!

Opowiadano mi jeszcze inny rys, charakteryzujący tego szkaradnego starca i jego pana, który w nim widział anegdotę bardzo odpowiednią swemu sercu. Czemkolwiek się jest i jakkolwiek jest się do tego chętnym, nie można zawsze pisać wyroków potępiających, bo są przypadki, w których niesprawiedliwość z natury swojej nie lubi pokazywać się jawnie i nigdzie sobie tak nie podoba, jak kiedy może ukrywać albo przeistaczać przyczyny, które ją spowodowały.

Sacken miał dziwny talent dręczenia zbrodniarzy niewinnych najokrutniejszemi karami moralnemi. Kiedy jenerał Geismar w spotkaniu pod Stoczkiem dał się pobić jenerałowi Dwernickiemu, oddano go pod sąd i posłano do Kijowa. Tam panował Sacken, satrapa całej okolicy, rodzaj wielkiego sędziego i niby wszechwładzca. Zgubić zacnego człowieka, który niedawno co odznaczył się był w wojnie z Turcją, była to kusząca, ale niepodobna do uchwycenia sposobność.

Każdy inny byłby go uwolnił. Satrapa wziął się na inny sposób. Kazał się stawić przed sobą obwinionemu, jedynie dla uczynienia mu tego pytania:

— Cóżeś zrobił ze swoją dywizją? —

Jenerał odpowiedział, że mu los wojny nie sprzyjał i że dywizja jego została rozbitą. Sacken kazał mu odejść, ale kilka razy tego samego dnia przywoływał go, czynił mu to samo pytanie i taką samą otrzymał odpowiedź. Przez kilka tygodni i codziennie znosił jenerał Geismar takie poniżenie, i to od feldmarszałka, który, ile razy był w boju, zawsze był bity i zawsze uciekał. Mówią, że cesarzowi ta dowcipna kara bardzo się podobała i że się serdecznie z niej naśmiał. Nieszczęśliwy kraj, gdzie dowcipy tego rodzaju rozweselają monarchę!

Z tych dwóch przykładów można sądzić, jak byłem szczęśliwy, że mnie posłano do Kijowa dopiero po zniesieniu tych sądów prewotalnych i gdy zawyrokowanie pozostałych spraw powstańców oddane było gubernatorom i jenerał-gubernatorom. Zresztą ci gubernatorowie nie śmieli sami pokazywać się pobłażającymi, bo cesarz nie byłby im nigdy przebaczył zbyt widocznych uczuć ludzkości, a stary Sacken znajdował się tam, nie spuszczając ich przynajmniej z oka, kiedy nic gorszego robić nie mógł. Uwolniony od obowiązków sędziego, albo raczej pozbawiony ich, bo z podobnym charakterem musiał ich żałować, zachował względem wszystkiego, co się tyczyło powstańców, niespokojną ciekawość i dla jej zaspokojenia to wysłał pułkownika żandarmów zobaczyć, jak wyglądam.

Zaledwie posłaniec Sackena wyszedł, właściciel domu kazał nam powiedzieć, abyśmy gdzieindziej mieszkania szukali, gdyż nie otrzymawszy względem nas żadnego rozkazu od hrabiego Ilińskiego, który naówczas był za granicą, przyjął nas tylko na żądanie pana Malinowskiego, ale ani myślał ani rozumiał przyjmować powstańca. Pan Malinowski, kilku przyjaciół, którzy nas odwiedzili, sam nawet gubernator, napróżno zapewniali go, że za kilka dni będę odesłany do Żytomierza; właściciel na krok nie chciał ustąpić, odmówił nam nawet ognia na herbatę i dopóty się nie uspokoił, dopókiśmy nie posłali szukać innego mieszkania.

Jeszcze prawie nie przeminęła ta nieprzyjemność, kiedy nowy i większy kłopot pomięszał naszą nadzieję, że zostawiają nas w spokojności. Przed wieczorem cywilny gubernator kijowski, Łaskarew, przysłał mi uwiadomienie, że za dwa dni mam odjechać, ale że tymczasem musi mnie zamknąć w fortecy. Na taką wiadomość żona moja zbladła, a mnie złość porwała.

— Jakto! — rzekłem do posłańca — człowiek ten, który nie jest moim sędzią, który za dwa dni nawet nie będzie mnie widział, chce mnie przez ten krótki czas napróżno dręczyć! Czy nie widzi z tego, jak tu jestem trzymany, że nikt nie widział potrzeby obchodzić się ze mną tak surowo? Czy chce koniecznie w oczach świata uchodzić za nędznika, za brutala? Powiedz mu, że zrobię go kiedyś sławnym z brutalskiego jego postępowania! —

Moje wyrzuty na nic się nie przydały. Niegodziwiec obstawał przy swojem. Niepotrzebnie może unosiłem się; są ludzie niegodni gniewu człowieka honorowego, i przypadek ten, jeśli kiedy, to pewnie był wtenczas. Ale żona moja była tak cierpiącą, każde wzruszenie było dla niej tak niebezpieczne; widziałem jak zbladła! Znalazła ona jednak w sobie tyle siły, że się udała do gubernatora. Wyczerpawszy tam wszystkie środki przekonania, oburzona zimną spokojnością, z jaką obstawał przy niepotrzebnej srogości, powiedziała mu, że kiedy nie ma względu ani na przyzwoitość ani na nieszczęście, niech przynajmniej szanuje okoliczności, w jakich się ona znajduje i niech pomni na imię, jakie sobie głośnem uczyni, jeśli postępowanie jego będzie dla niej fatalne. Żona Łaskarewa, rozczulona temi słowy i wzruszeniem nieszczęśliwej kobiety, usiłowała także przekonać męża. Nasz oficer żandarmów, na szczęście obecny tej rozmowie, widząc gubernatora na pół pokonanego, przyłączył do tych przedstawień prośby swoje i oświadczył zarazem, że odpowiada za mnie i że mnie będzie pilnował, dopóki zostanę w Kijowie.

— Jeśli za niego odpowiadasz — rzekł natenczas Łaskarew — to co innego; rób co ci się podoba. —

— To więc panu winnam podziękować — rzekła żona moja do żandarma i natychmiast pospieszyła do mnie z pomyślną wiadomością. We dwie godziny potem zajęliśmy nowe mieszkanie, ale przypłaciliśmy drogo tę zabawkę pana Łaskarewa. Żona moja zbyt była słaba, iżby tyle wzruszeń nieszkodliwie znieść była mogła. Dostała gorączki i musiała się wcześniej, niż zwykle położyć, nastąpiła maligna i potrzeba było ratunku lekarza. Na szczęście ten, którego nam przyprowadzono, był człowiek znający swoją sztukę i tyle rozważny, że nie chciał od razu wszystkiego zgadywać. Kazał nam opowiedzieć najdrobniejsze okoliczności, które chorobę mogły spowodować i zapewnił, że ta gorączka była tylko skutkiem przemijającym wzruszenia nerwowego i wnet przeminie. W rzeczy samej w nocy minęła, ale pozostało po niej zupełne wysilenie i biedna moja żona nie mogła puścić się w podróż, nie wypocząwszy przez trzy lub cztery dni. Zostawiono nam dwa dni czasu. Drugiego dnia wieczorem urzędnik policyjny przyszedł uwiadomić mnie, że gubernator dał mu rozkaz, odjechać ze mną do Żytomierza nazajutrz z rana. Powiedziałem mu, że żona przebyła dopiero co niebezpieczną chorobę, że teraz zaledwie wstawać może i prosiłem go, żebym mógł zostać jeszcze dzień lub dwa dni. Na żądanie to, które urzędnik mu zaniósł, uprzejmy Łaskarew odpowiedział, że dla tego jechać muszę tak jak rozkazał i że mu to wszystko jedno, czy moja żona chora, czy nie. W więzieniu mojem na Pradze pułkownik Czelejew kazał mi także powiedzieć, że mu to wszystko jedno, czy umrę z głodu lub nie. Widocznie jeden obok drugiego z podobieństwa mogliby figurować.

Żona chciała się jeszcze udać do tego zwierza, ale nie mogłem na to zezwolić. Nazajutrz z rana pożegnałem się z poczciwym żandarmem, który miał dla nas grzeczność gubernatora, kiedy gubernator był większy grubjanin, niż najgburowatszy żandarm, i wyjechałem z dodanym mi stróżem. Pomimo że to był urzędnik policyjny, zacny ten człowiek miał dla nas wszelkie, jakie tylko mógł mieć względy. Dzięki jego grzeczności, mogłem się zatrzymać na nocleg na pierwszym przeprzęgu i czekać tam żony, która też przybyła

nazajutrz po południu. Już więc razem jechaliśmy dalej jak najpowolniej i nie odmawiając sobie żadnych wygód. Pomimo tego musieliśmy się zatrzymać na ostatnim przeprzęgu dla zupełnej niemocy żony. Przybyliśmy w nocy do Żytomierza. Przy wjeździe do miasta czekał na nas posłaniec ojca mojej żony i wskazał nam przygotowane dla nas mieszkanie. Zastaliśmy tam panią Gogel z dziećmi. Przybyła ona do Żytomierza w chęci pomagania nam, sama nie wiedząc w czem i jak. Sama jej obecność sprawiała nam przyjemność pośród niepokojów, które coraz bardziej zdawały się być liczniejsze. Zapewniła nas najprzód, że pan Korsakow, gubernator tutejszy, jest pełen zacnych uczuć i pod każdym względem mąż szanowny. Było to prawdziwe szczęście, bo postępowanie Łaskarewa dostatecznie dowiodło, że nasze znośne położenie zależało zupełnie od charakteru urzędników, którym los nasz powierzono.

Tymczasem urzędnik policyjny poszedł zdać raport gubernatorowi. Powrócił z rozkazem zaprowadzenia mnie do tego dygnitarza. Pan Korsakow był w wieku średnim, wzrostu miernego i miał fizjonomję otwartą i uprzejmą. Zbliżył się grzecznie do mnie i rzekł:

— Marszałek guberski ofiarował za pana kaucję; przyjąłem ją. Możesz pan z żoną w mieście mieszkać i być spokojnym; prosiłbym tylko, abyś nie wychodził i nie przyjmował nikogo, nie uwiadomiwszy mnie o tem. Z przyjemnością będę pana widział, ile razy zechcesz mnie odwiedzić. Żądam od pana słowa, że się nie oddalisz. —

Otrzymawszy moje słowo, wziął mię za rękę, ścisnął ją i pożegnał się ze mną, poczem, jak gdyby żałował zapomnienia, zapytał tonem najuprzejmiejszym o zdrowie żony mojej, a gdy mu powiedziałem, że bardzo cierpiąca, rzekł żegnając mnie, abym powrócił czemprędzej i uspokoił ją. Pobiegłem opowiedzieć jej szczegóły tego zaspakajającego przyjęcia, co w istocie wpłynęło pomyślnie na jej zdrowie. Tegoż samego dnia odwiedziła nas żona szanownego gubernatora. Pani Korsakow była piękną, a wyraz dobroci na jej twarzy jeszcze podwyższał jej piękność. Mówią, że nie trzeba sądzić ludzi z twarzy; otóż przysłowie to, co do tej

damy, było mylne. Sprawdzała wszystko, co obiecywała szczęśliwa jej fizjonomja. Rzadko zdarza się widzieć osobę, której cnoty za pierwszym rzutem oka dają się spostrzegać i są niezawodne. Pani Korsakow była taką osobą. Od pierwszego widzenia powziąłem o niej najchlubniejsze wyobrażenie, a z czasem nic nie osłabiło szacunku i uszanowania, jakie we mnie wzbudziła, owszem wszystko powiększyło dla niej te uczucia.

Jak tylko po kilku dniach odpoczynku żona moja nieco sił odzyskała, przenieśliśmy się z zacną panią Gogel i jej córką do domu kapitana załogi, pana Różyczki, i czekaliśmy tam rozstrzygnienia mojego losu ze zwodniczą bezpiecznością, która nam dozwoliła przynajmniej kilka chwil szczęścia.

Ponieważ przyrzekłem gubernatorowi nie widywać nikogo bez uwiadomienia go, żyliśmy zupełnie na ustroniu. Pragnąłem nastręczyć mojej żonie jakie rozrywki, ale utrudzenie i zgryzoty wyczerpały jej siły; nie mogła wychodzić. Z drugiej strony pani Gogel zabierała się do powrotu i wnet mieliśmy być zupełnie odosobnieni. Prosiłem wtedy o pozwolenie sprowadzenia dzieci. W dziesięć dni potem mieliśmy przyjemność mieć je około siebie. Przybyli z niemi krewni mojej żony i pewnie nie było w Żytomierzu rodziny serdeczniej złączonej i wzajemną miłością szczęśliwszej, jak była wówczas rodzina biednego wygnańca.

Nadchodziły kontrakty kijowskie. Pomiędzy osobami. które tam ze wszech stron jechały, było wielu naszych przyjaciół, którzy tam i napowrót jadąc, otrzymali pozwolenie widzenia nas, tak, iż przez kilka tygodni nie ustawały przyjemne wizyty. Bywałem także u gubernatora i u pani Bierzyńskiej. Im więcej poznawałem gubernatora i jego żonę, tem większą znajdowałem przyjemność w ich towarzystwie. Charakter obojga był tak piękny, a przymioty ich tak do nich przywiązywały! Hrabina Bierzyńska w niczem im nie ustępowała; z domu księżniczka rosyjska, używała całej swojej wziętości, aby tyle, ile tylko można było, robić dobrego. Okazywała nam najczulszą troskliwość; jakoż nazywaliśmy ją aniołem pocieszającym.

Pośród swoich, zajęty troskliwie żoną, zatrudniony dawaniem lekcji dzieciom, nie myślałem już prawie, że byłem pod zarzutem sądowym i dnie płynęły dla mnie spokojnie. Uczucia oddane rodzinie, nie zostawiały miejsca przewidywaniom przyszłości. Zapomniałem o moich niebezpieczeństwach i o mnie zdawano się zapominać; proces mój spoczywał!

Tymczasem zbliżała się dla mojej żony chwila stanowcza i tem dla niej niebezpieczniejsza, im większe poprzedziły ją utrudzenia i zgryzoty. Z największą niespokojnością myślałem o niej, o niczem innem myśleć nie mogłem. Opanowały mnie smutne przeczucia, a najmniejsze przypadki, okoliczności najdziecinniejsze, przestraszały chorą wyobraźnię moją. Wszystko mnie uderzało, wszystko zdawało mi się być wróżbą; traciłem prawie głowę z niespokojności. Ach! jak trudno mieć umysł odważny, kiedy się truchleje o życie drogiej istoty, którą się widzi ginącą jako ofiara czułości i poświęcenia. Nie! nie mam filozofiji zdolnej wytrzymać podobną natarczywość i zamiast podziwiać tych, którzy mają nieszczęście ją posiadać, raczej nad nimi tylko ubolewać mogę.

Niespokojność moją powiększyły bolesne okoliczności, jak gdyby mi pokazywały powrót na drogę nieszczęść po chwili wytchnienia.

W pięć dni po sprowadzeniu mamki, dziecko jej, zdrowe kiedy przybyła, umarło na szkarlatynę. Sprowadzono inną mamkę, której dziecko także wkrótce umarło na zgniłą gorączkę. Zapewne te dwa przypadki śmierci nie miały nic wspólnego z mojem położeniem, ale całe życie, szczególniej w dzieciństwie, tyle się obija o uszy powieści o strachach i wróżbach, że nie wierząc w nie nawet, myśli zatrzymują się przy wszystkiem, co tylko podobne do tych przywidzeń, ile razy człowiek doznaje przeciwnego zwrotu fortuny. Nadewszystko, kiedy wypadek jest nieszczęśliwy, mówią:

— Nie wierzę w to, w owo. Dzięki Bogu, nie mam tej słabości, albo nie jestem do tego stopnia pozbawiony rozumu: jednakże to lub owo zdawało się mnie ostrzegać. Gdybym był zabobonny, uważałbym to za przestrogę niebios! —

I tak mówiąc, jedni wierzą z całą mocą przekonania; inni bliżsi są wierzenia niż myślą; jeszcze inni, chociaż nie wierzą, dziwią się tej igraszce wyobraźni i losu, tym przypadkowym zdarzeniom, które jakaś tajemnicza władza zdaje się urządzać i mówią o tem jak o jakiej rzeczy dziwnej: należę do tych. Nakoniec są, którzy nie mówią o tem, ale może więcej jeszcze o tem myślą. Kiedy maska zbyt jest filozoficzna, często nie dosyć nią jest głowa.

Ponieważ czas naglił, lekarz podjął się sam szukania trzeciej mamki we wsi należącej do mego brata i o trzy mile odległej. Dołożył on zapewne w tym wyborze wszelkiej gorliwości uczciwego człowieka, wszelkiej znajomości swej sztuki, i nie wiem, jak do tego stopnia albo sam się omylić, albo komu innemu w błąd dał się wprowadzić, bo osłupiałem, widząc dziecko trzeciej mamki. Pomimo że matka zdawała się być zdrową, dziecko było prawie ślepe; wzrok się wzdrygał i trzeba się było litować na widok czerwonych, nabrzmiałych, z głowy wystających, zawsze wilgotnych oczu dziecka. Trzeba jednakże było koniecznie poprzestać na tej mamce.

Nazajutrz żona moja powiła córkę ładną i zdrową. Wszelkie pozory powinny były mnie zaspokoić, a jednak miałem serce ściśnione i pełne smutnych przeczuć. Wszystkie opowiedziane tu przeciwności stawały mi nieustannie w myśli i niepodobna mi było oddalić na chwilę te uprzykrzone wspomnienia. W nocy trzeciego dnia przebudzono mnie, bo dziecko zachorowało. Biegnę i zastaję biedną dziecinę nurzającą się w krwi, którą kawałkami z siebie wyrzucała. Rozesłałem po lekarzy; przybyło ich dwóch i wstrzymano krwiotok. Ale wnet znowu i jeszcze gwałtowniej krew się rzuciła, dziecko widocznie bladło i zdawało się konać. Jeden z lekarzy radził mi wtenczas kazać go ochrzcić. Zrozumiałem znaczenie tych słów. Po odbytej ceremonji ten sam lekarz radził jako ostatni ratunek przystawienie pijawek, dodając że pod niemi dziecko umrzeć może. Nie było chwili do stracenia. Pozwoliłem.

Biedna dziecina nic nie czuła; krwiotok ustał i lekarz zapewnił, że będzie ocalona, jeśli pot na nią wystąpi. Zdaje

mi się, że ją widzę, blada jej rączka na ustach położona zdawała się chcieć zatrzymywać krew wybuchającą; nie krzyczała, tylko jęk głuchy wydobywał się z przyciśnionych jej piersi, oczy zbyt młode, iżby mogły mieć jaki wyraz, zdawały się błagać ratunku, a cała umiejętność sztuki była bezsilna! Kilka kropli potu na twarzy zdawały się zapowiadać jej ocalenie. Próżna nadzieja! Nie mogła przebyć przesilenia — skonała na mojem ręku.

Z tem wszystkiem trzeba było myśleć o matce. Lekarz zalecił największą ostrożność, jeśli nie chcę jej stracić. Ileż to wysileń potrzeba było nad sobą samym i ile trudności, aby przebyć tę próbę! Sam zmartwiony, w obawie o życie żony, musiałem udawać spokojność.

Wszedłem do Emilji; pierwsze jej pytanie było o córkę. Zapewniałem, że się ma dobrze, dodając że lekarz zaszczepił jej ospę i że zalecił, aby jej do matki nie przynoszono, bo powietrze w pokoju chorej mogłoby być dziecku szkodliwe, dopóki będzie miało gorączkę. Należało oddalać od niej koniecznie wszelki cień podejrzenia i nie wiem, zkąd miałem tyle mocy do wynajdywania rozmaitych szczegółów pocieszających matkę o córce, której ciało martwe zostawiłem w drugim pokoju. Dla ocalenia żony, do wszelkich poświęceń czułem się być mocnym. Obawa, abym jej nie stracił, zupełnie mnie opanowała; kiedy sobie przypominam ówczesne moje usposobienie, nie przypuszczam niczego, coby mnie było przestraszało, lub wstrzymywało. Sto razy na dzień posyłała mnie do małej Cecylji i tyleż razy wracałem z uśmiechem na twarzy i z nowem jakiem zmyśleniem, które układałem w pokoju właśnie, gdzie widziałem konanie naszego dziecka. Nieszczęśliwa matka musiała domyślać się prawdy, uważała mnie bowiem pilnie, powtarzała często i niespodziewanie te same pytania. Ile razy odpowiedzi moje były zupełnie te same, tyle razy była zaspokojoną; ale jeśli na nieszczęście zmieniałem jaki szczegół, a choćby tylko wyrazy, wyrzucała mi z niespokojnością, że coś przed nią ukrywam. Nadewszystko truchlałem, ile razy chciała dziecię swoje widzieć. Miałem na to tylko jeden sposób: Zezwalałem, dodając że może dziecku zaszkodzić, może je nawet o śmierć

przyprawić. Natenczas z obawy straty dziecka i sprawienia mi nowych zmartwień, przestawała nastawać, i nowe jakie zmyślone opowiadania uspokojały ją.

Po dziesięciu dniach tak przepędzonych, lekarz powiedział mi, iż czas przygotować ją z ostrożnością do smutnej wiadomości. Prosiłem, żeby się nie oddalał, nim jej przyniosę cios, którego skutki trudne były do przewidzenia. Wszedłem do Emilji i z zadziwieniem zastałem ją niezwyczajnie prawie wesołą.

— Tak się czuję lepiej — rzekła — tak lekką, że zdaje mi się, iż mogę sobie pozwolić wstać na kilka minut i ucałować naszą córeczkę.

Na te słowa strach mnie przejął.

— Nie zechcesz się zapewne sprzeciwiać temu? — mówiła dalej z przymileniem.

— Dobrze, jeśli chcesz — odpowiedziałem — ale wiesz, że zbliża się godzina, w której zwykle lekarz przychodzi; czy nie lepiej zaczekać na niego i zapytać go, czy na to pozwoli. —

Na tę słuszną uwagę nie miała co odpowiedzieć. Poprzestała na tem i zaczęła znowu zadawać mi zwyczajne pytania. Odpowiedziałem, że dziecię jest dzisiaj trochę chore.

To usłyszawszy, podniosła się nagle i wlepiła we mnie wzrok przenikliwy.

— Ach! zlituj się — zawołała głosem, na który zadrżałem — powiedz mi całą prawdę! Cecylja czy żyje jeszcze? —

Nie mogłem nic odpowiedzieć, tak byłem znękany. Łatwo zrozumiała moje milczenie. Nieszczęśliwa matka wydała krzyk przeraźliwy, załamała ręce, objęła mnie potem niemi i straciła przytomność. Lekarz nadbiegł; za jego staraniem odzyskała zmysły, ale miała wzrok nieruchomy, oczy suche, zęby konwulsyjnie ściśnione. Zostawała w takiej nieruchomości i tylko kiedy które z dzieci zbliżało się do drzwi dla wyjścia, zrywała się, jak gdyby je chciała zatrzymać. Chciała je mieć wszystkie przy sobie, jak gdyby się obawiała stracić które. Uważałem pilnie lekarza; był niespokojny. Żonie

mojej tylko płacz mógł przynieść ulgę, łzy tylko mogły ją ocalić. Ale nie mogła płakać. Potrzeba jej było rozdzierać serce, żeby z niej wydobyć łzy, które ją dusiły, i na mnie spadał ten bolesny obowiązek, bo matka mojej żony była także w podobnym jak ona stanie. Zacząłem jej mówić o naszej córeczce, o jej wdziękach, o szczegółach jej cierpień i śmierci. Dzieci się rozpłakały; matka patrzała na nie, sama nie płacząc; zaledwie zaczynała odzyskiwać nieco czucia. Nareszcie oczy jej zwróciły się ku mnie, a widząc kilka łez na mojej twarzy, wydawszy westchnienie, które jak gdyby ją ożywiło, zawołała:

— Ach! mój drogi, i ty cierpisz! —

Rzuciła na mnie ramiona, spuściła głowę i zaczęła płakać. Od tej chwili była ocalona. W kilka godzin potem rzekła do mnie:

— Boję się, iżby fatalność, która nas od tak dawna ściga, jeszcze się nie wysiliła; śmierć naszego dziecka jest może tylko wstępem do nowych nieszczęść! —

Te słowa były prorocze!

Czas i starania rodziny troskliwej zmniejszyły stopniowo zmartwienia Emilji, i już byliśmy weszli w zwyczajny bieg naszego sposobu życia, kiedy proces mój się rozpoczął.

Wydano na mnie wyrok zaoczny. Powiedziano w nim, że hrabia Olizar, który nie wiadomo gdzie się znajduje, należy do pierwszej klasy winowajców, że majątek jego ma być skonfiskowany, że dzieci jego będą zabrane i umieszczone w zakładach rządowych (kazennoje zawiedenia) i że sam skazany jestem na śmierć.

W chwili, kiedy mnie tak sądzono, wyrażając naiwnie, że nie wiadomo, gdzie się znajduję, upływało już sześć miesięcy, jak siedziałem w więzieniach rosyjskich! Pierwsza część wyroku natychmiast została wykonaną; nie tylko mój, ale także majątek żony mojej został skonfiskowany. Naradzano się teraz w sądzie, czy mam być na nowo pytany i sądzony, czy też po prostu wyrok dawny ma być do mnie zastosowany. Wice-gubernator wołyński, zwany Affendik, był ostatniego zdania. Na szczęście gubernator i marszałek guberski widzieli całą niedorzeczność takiego wniosku i po-

stanowiono, że zaoczny wyrok, podczas kiedy byłem w ręku władzy, nie mógł być ważny, gdyż nie można nikogo potępić bez wysłuchania go, chyba jeśli obwiniony nie może być schwytany. Dla tego jednak nie wrócono rzeczy do dawnego stanu; majątek pozostał w konfiskacie i postanowiono tylko odbyć ze mną na nowe koszta śledztwo i sądzić mnie powtórnie. Przysłano mi pytania, na które miałem odpowiedzieć, i zarzuty, który służyły dawniej do mego potępienia. Nie było w tem dla mnie nic trudnego. Całe oskarżenie zasadzało się na zeznaniach lokajów i ludzi zbezcześcionych. Kilku jenerałów przysłało także objaśnienia, oparte na doniesieniach podobnych i wszystko to sięgało tylko czasu przed powstaniem. Od tej chwili nie skompromitował mnie żaden więzień. Miałem więc tylko bronić się przeciw oskarżeniom, po większej części niedorzecznym i nieco loiki wystarczało do wykazania ich bezzasadności. Co do powstania samego, chociaż udziału w niem nie mogłem zaprzeczyć, zdołałem jednak nadać sobie w niem rolę, która mnie przenosiła do trzeciej klasy już wtenczas amnestjowanej, tem bardziej, iż nie było żadnego przeciw mnie dowodu, bo ci, którzy mogli świadczyć, znajdowali się albo za granicą, albo na Syberji. Odpowiadając więc co do tego punktu, spędziłem wszystko na niejakiego pana Golejowskiego, który obok mnie był zabity. Sprawdzano moje odpowiedzi przez śledztwa, nakazane w miejscach moich mniemanych zbrodni. Obywatele z okolic, włościanie wsi sąsiednich, żydzi mojego miasteczka, a nawet popi w moich dobrach, stwierdzili pod przysięgą prawdziwość moich odpowiedzi. Włościanie ubiegali się o składanie przysięgi, której niepodobna było przyjmować od wszystkich.

To ogólne ubieganie się, ta powszechna życzliwość były przynajmniej słodką pociechą w moich utrapieniach. Przekonany przysięgą przeszło 80 osób wszelkiego stanu, sąd pod prezydencją godnego Korsakowa zawyrokował, że miałem prawo korzystać z amnestji.

Ale było to tylko uwolnienie w pierwszej instancji; wyrok miał być przedstawiony najprzód do rozpoznania jenerał-gubernatora Lewaszewa, mieszkającego w Kijowie, a potem

do zatwierdzenia cesarza. Z tem wszystkiem przyjaciele nasi, szczęśliwi tym pierwszym wypadkiem pomyślnym, winszowali nam go i uważali mnie już za ocalonego. Radość ich zdawała mi się bardzo przedwczesną, a jednak podzielałem ją szczerze na pozór, ażeby uspokoić Emilję i dać jej czas do nabrania sił, których, zdawało mi się, wnet będzie potrzebowała; bo przewidywałem, że w jednej lub drugiej i ostatniej instancji zapadnie jakie fatalne postanowienie. Byłem o tem przekonany, a przeszłość tylko aż nadto pokazywała mi przykładów, stwierdzających moje przewidzezia złowróżbe. Ta stłumiona niespokojność po niedawnych i tak gwałtownych zmartwieniach sprawiła we mnie rozdrażnienie, które jak gdyby rzuciło jakiś nieład w moją organizację; wznowiły się w moich wnętrznościach takie same boleści, jakich doznawałem był w skutku zatrucia. Były nawet gwałtowniejsze, niż kiedy bądź; co chwila mniemano że skończę. Straszna kryzys, która nagle ustała, położyła im koniec. Po niej nie cierpiałem nic, ale byłem tak osłabiony, że się ruszyć nie mogłem i zżółkłem jak cytryna. Po trzech dniach żółtaczka minęła i zacząłem chodzić.

W tym czasie gubernator Korsakow pojechał do Petersburga, a wyrok mój posłano do Kijowa. Emilja chociaż jeszcze bardzo słaba po swojej chorobie i strudzona staraniami w czasie mojej słabości, chciała sama dopilnować mojej sprawy i niepodobna mi było wstrzymać ją od tego.

To rozłączenie się, które uważała za potrzebne, a które podług mnie żadnego nie obiecywało skutku, było dla nas obojga niezmiernie przykre. Wsiadając do powozu, rzekła:

— Jakże serce moje jest ściśnione, ściśnione, jak gdyby ręką żelazną! Ach, Boże! Miałażbym cię więcej nie zobaczyć?! —

Usiłowałem pocieszyć ją, obudzić w niej nieco nadziei. Płakała, słuchając mnie. Poruszając głową, zdawała się do mnie mówić:

— Nie! nie będziemy mieli tyle szczęścia! —

Nagle na jej pięknej twarzy pokazał się uśmiech smutny i rzewny; pocałowała mnie po raz ostatni, dała znak kucze-

rowi, aby ruszył, rzuciła się w głąb powozu i zniknęła z moich oczu.

Powóz szybko pędził; dopóki wzrok mój ścigać go mógł, byłem smutny, a jednak dosyć spokojny; ale kiedy go widzieć przestałem, zdawało mi się, że tracę tchnienie. Z kolei znowu moje, jak wprzódy, ścisnęło się serce. Otaczały mnie dzieci, schylałem się, aby je całować, wszystkie chciały odbierać pocałunki na twarzach zroszonych łzami. Głos potajemny mówił mi:

— Całuj, za chwilę już ich nie będziesz widział! —

Nie miałem mocy przemówić do nich słowa — patrzały na mnie, nie śmiąc mówić, i wróciliśmy w milczeniu do domu, gdzie ja nie miałem już żony, gdzie one nie miały już matki!

W kilka dni potem rozeszła się pogłoska, że wyrok uwalniający mnie został skasowany; ze wszech stron przychodzono ostrzedz mnie o tem i nalegano, abym uciekał. Ale doradzano rzecz niepodobną, ponieważ byłem więźniem na słowo. Co bądź miało nastąpić, honor nakazywał zostać i czekać dalszego losu. Czekałem go z ową śmiertelną niespokojnością, jakiej doznaje w podobnych okolicznościach człowiek czuły, który widzi tyle i tak drogich istot przywiązanych do swego bytu, kiedy nadszedł list od żony. Donosiła w nim, że jenerał-gubernator Lewaszow uznał wyrok za nie mogący być osłabionym i radził nam być spokojnymi. Po takiem zapewnieniu musiała być zapewne spokojną ta biedna towarzyszka mego życia. Ale tego samego dnia, kiedy otrzymałem jej list, naczelnik policji przyszedł do mnie z uwiadomieniem, że dostał, może tą samą pocztą, rozkaz od tego samego gubernatora Lewaszowa, oddać mnie w ręce komendanta placu, który miał mnie zatrzymać w areszcie. Byłem właśnie przy stole z dziećmi; zrozumiały one zbyt dobrze, o co chodziło, chciałem więc oszczędzić im zmartwienia, jakiego by doznały, widząc ojca prowadzonego do więzienia, a sobie boleść na widok rozpaczy biednych dzieci. Naczelnik policji był tak ludzki, że zaczekał ażeśmy obiad skończyli, poczem posłałem dzieci na przechadzkę i jak tylko straciły mnie z oczu, udaliśmy się do więzienia.

Zapewne był to cios okropny, ale przynosił z sobą ratunek. Natychmiast przyszła mi myśl i opanowała wszystkie inne, że uwolniony jestem od danego słowa. Mogłem już myśleć o ucieczce, spodziewałem się że znajdę do tego pomoc, a ocalając moją głowę, obiecywałem sobie, że wrócę pokój rodzinie.

Nie można się było już łudzić: Osadzając mnie w więzieniu, jenerał-gubernator dosyć jasno pokazywał, że mnie potępił, a mogłem być pewny, że cesarz raczej jego, niż sądu żytomierskiego potwierdził wyrok. Nie wiedziałem, na jaką karę zostałem skazany, ale uważałem jako szczęście uwięzienie, które uwalniając mnie od danego słowa, przywracało mi prawo szukania wszelkich środków ucieczki.

Tą zajęty myślą, powiedziałem komendantowi, że schorzały potrzebuję koniecznie, przynajmniej na dni kilka, pomocy jednego z moich służących. Ze wstrętem wypełniając narzucony sobie smutny obowiązek i widząc na mnie uderzające ślady ostatniej choroby, komendant zezwalał na danie mi służącego, ale pod wyraźnym warunkiem, iżby ten służący tak był więźniem jak ja, dopóki przy mnie zostawać będzie. Warunek ten, zresztą bardzo naturalny, wywracał moje plany; cofnąłem więc moje żądanie i w kilka minut potem brama klasztoru Bernardynów, zamienionego na więzienie, zawarła się za mną. Komendant, który mnie tam zaprowadził, pozwolił przynosić odemnie śniadania i obiad, i poszedł sam dla pilnowania, aby mi przyniesiono rzeczy, których potrzebowałem.

Jak tylko sam ujrzałem się w więzieniu, przystąpiłem zaraz do rozpoznania miejsca. Pokój mój z dwoma łóżkami był obszerny i znajdował się na dole. Przed oknem, które wychodziło na ogród, chodziła warta; kroki drugiej warty, postawionej przy drzwiach, rozlegały się po kurytarzu. W pierwszych chwilach obeznanie się z miejscem zatrudniło mnie wyłącznie, ale kiedym zwiedził i odkrył wszystko, co na pierwsze rozpoznanie było do widzenia, myśl przeniosła się do rodziny i do nowego mojego położenia. Nieznośnem mi się zdawało uwięzienie ostre po niewoli na słowo, gdzie mi wolno było żyć z żoną i dziećmi. Wyobrażałem sobie

zmartwienie tych biednych dzieci, wołających o matkę jeszcze nieobecną, a ojca uwięzionego. Drżałem, myśląc jak okropnie zdziwioną, w jakiej rozpaczy będzie żona, gdy za powrotem do domu, rada że mi przywozi wolność, nawet w domu mnie nie zastanie, gdy się dowie gdzie jestem, gdy widzieć będzie że ją łudzono, i zapytywałem się, czy w tem barbarzyństwie nie odmówią jej może pozwolenia widywania mnie.

Pogrążony byłem w tych rozmyślaniach, kiedy komendant przybył z żołnierzem i jednym z moich służących, przynoszącymi moje rzeczy.

Widok służącego mocno mnie zdziwił; dowiedziałem się, że matka mojej żony powiedziała im o mojem żądaniu i o warunkach wymaganych przez komendanta. Wszyscy chcieli iść ze mną do więzienia i musiano im doradzić, aby losy ciągnęli. Wyciągnął go Karol, który natychmiast pochwycił za rzeczy, przyniósł mi je i uwięził się ze mną. To poświęcenie wruszyło mnie więcej, niżbym to mógł wyrazić; uściskałem poczciwego chłopca jak przyjaciela, jak dobrego krewnego. Widząc komendanta rozczulonego, tak sceną, której był świadkiem w moim domu, jak tą, którą miał przed oczyma, chciałem z tego korzystać i prosiłem go, aby mi wolno było zatrudnić się pisaniem. Nie taił, że rozkazy otrzymane względem mnie były nadzwyczaj surowe, kazano mu mieć mnie ciągle na oku, odjąć mi wszelką możność znoszenia się z kim bądź zewnątrz, a nadewszystko nie dawać mi żadnej sposobności do odebrania sobie życia. Ostatni ten rozkaz przekonał mnie, że lekarz tajemnicy więzienia warszawskiego nie dochował wiernie. Z tem wszystkiem komendant przychylił się do mego żądania, ale uprzedził mnie, że napisze o tem do jenerał-gubernatora, a jeśli odpowiedź jego będzie niepomyślna, zmuszony będzie do niej się zastosować.

Więzienie to wcale nie było tak łagodne, jak w ostatnich czasach więzienie u Karmelitów w Warszawie. Tu pozwolono mi widywać rodzinę, ale tylko co trzy dni, na pół godziny i w obecności oficera, który ją wprowadzał i odprowadzał aż do bramy zewnętrznej.

Pierwsza wizyta moich dzieci sprawiła mi wiele radości, a może jeszcze więcej cierpienia. Płakały, a łzy ich były dla mnie okropną męką. Prosiłem ich, ażeby nie płakały; biedne dzieci dusiły się, chcąc zatrzymać szlochania. Najmłodszy oparty na moich kolanach, usiłował także wstrzymywać się, ale od czasu do czasu pomimowolnie aż się zanosił z płaczu. Nie wiedziałem, co z sobą uczynić; byliśmy wszyscy w stanie zbyt gwałtownym na nasze siły. Na szczęście fatalne pół godziny upłynęło i oficer nas rozłączył.

Im boleśniejszą była ta wizyta, tem gorliwiej zacząłem myśleć o ucieczce. Potrzeba było żyć dla tych dzieci — potrzeba było, gdy żonę zobaczę, powiedzieć sobie:

— Ucieknę i złączymy się wszyscy w jakim kraju mniej nieszczęśliwym! —

Najprzód, z powodów zdrowia otrzymałem pozwolenie przechadzania się po kurytarzu; starałem się rozszerzyć wycieczki moje tak daleko, jak tylko można było, a tym sposobem przebiegając wzrokiem dość znaczną część gmachu, zdołałem powziąść dokładną znajomość rozpołożenia wewnętrznego więzienia.

Co wieczór o godzinie 9. zamykano mnie w moim pokoju; była to przeszkoda, którą należało koniecznie usunąć i powiodło mi się szczęśliwie. Byłem jeszcze widocznie chory, udawałem jeszcze bardziej chorego, skarżyłem się na osłabienie i boleści, które porywały mnie szczególniej w nocy, i ażeby tem łatwiej uwiadomić wartę, gdybym nagle zachorował, otrzymałem nieoceniony przywilej zostawania w nocy bez zamknięcia. Powiedziałem i uwierzono mi, że nie było żadnego niebezpieczeństwa zostawiać drzwi nie zamknięte na klucz, których warta dzień i noc pilnuje.

Był już czas do porozumienia się z przyjaciołmi względem środków ułatwiających ucieczkę moją za granicę. I to mi się powiodło. Jakim sposobem? Na to muszę rzucić zasłonę, aby wielu osób nie skompromitować; powiem tylko, że z pewną ostrożnością mogłem na piśmie się znosić i miałem codzienne stosunki z przyjaciołmi po za więzieniem.

Nie zaniedbywałem także zjednać sobie przyjaciół w samem więzieniu. Żołnierze mając odemnie zawsze wódkę i trochę pieniędzy, zamykali chętnie oczy na moje małe nadużycia, do których zresztą nie przywiązywali wiele wagi; nadewszystko że mnie widzieli na pół umarłego, bo wszelkiemi sposobami starałem się wyglądać jak najbardziej osłabionym i chorym. Chodziłem mało i zawsze oparty całym ciężarem o ramię Karola. Mówiłem głosem umierającego, skarżyłem się nieustannie, a kiedy oficerowie się zmieniali, udawałem, że zaledwie w łóżku podnieść się mogę. Inny sposób posłużył mi dziwnie: zdołałem dostać odwaru szafranowego i używając go w miarę, nadałem sobie cerę tak chorobliwą, że nią pilnujących mnie żołnierzy zupełnie zwieść i czujność ich uśpić potrafiłem. Mogę powiedzieć, iż mnie prawie tylko dla pozoru pilnowano. Nakoniec jednego dnia uwiadomiłem, jakim sposobem mogę wyjść z więzienia, jakiej potrzebuję pomocy, i t. d.

Pomijam tu wszystkie szczegóły mojej ucieczki, ponieważ car jeszcze żyje, ponieważ żytomierski klasztor Bernardynów jest jeszcze jednem z jego więzień stanu i ponieważ nie chcę innym ofiarom jego tyranji zamykać drogi, którą dostałem się na wolność. Szczęśliwy jestem, że nie zostawiłem żadnego śladu, któryby wskazał służalcom cesarza miejsce, którem się wymknąłem przed jego zemstą.

Ale nie mam żadnego powodu do tajenia opowiadań, jakim sposobem dostałem się z Żytomierza do Francji. Aby się wydobyć z niebezpieczeństwa, nie dosyć było przestąpić progi klasztoru, a nawet, jak to później zobaczymy, przebyć granicę rosyjską. Trzeba było mieć na pogotowiu sposoby ujechania bezpiecznego i szybkiego i dostać się na ziemię gościnną.

Urzędnik tamtejszy, pan Boczkowski, który mnie nie znał i nigdy nie widział, jedynie przez uszanowanie dla sprawy, której się poświęciłem, postanowił mnie wybawić. Wziął dla siebie i dla służącego paszport, za którym można było dostać się do powiatu graniczącego z Austrją i o 30 mil polskich od Żytomierza odległego. Oprócz tego zaopatrzył się w inny rodzaj paszportu, znanego pod nazwiskiem

«Podorożne». Jest to rozkaz gubernatora do pocztmistrzów, aby dostarczali posiadającemu taki paszport, liczbę koni w nim oznaczoną.

Wszystko było przygotowane, dzień i godzina były oznaczone. W niedzielę wielkanocną wieczorem miałem wyjść z klasztoru Bernardynów.

Tegoż samego dnia z rana przyszła do mnie żona z dziećmi i panią Gogel, która dowiedziawszy się o mojem uwięzieniu, powróciła do Żytomierza. Tak byłem zajęty rzeczami, o których przy oficerze od warty niepodobna było mówić, że ostatnie to widzenie się nasze było niejako sceną niemą, w czasie której musiałem nawet nad sobą czuwać, w obawie abym nie obudził podejrzeń. Zaledwie przemówiliśmy do siebie kilka słów nic nie znaczących. Pani Gogel zbyt szanowała naszą boleść, iżby zamyślała zawiązywać rozmowę. Dzieci płakały w milczeniu; całowałem je, nie mając odwagi nieść im pociechy. Nareszcie ostrzeżono nas, że pół godziny upłynęło. Ucałowałem po raz ostatni wszystko, co mi było drogie, i zostałem sam z moimi projektami i niebezpieczeństwami.

Już był wielki czas uciekać, bo sąd wojenny złożony w tym celu otrzymał był już formalny rozkaz sądzenia mnie natychmiast i skazania mnie na szubienicę. Co większa, osnowa wyroku była już naprzód ułożona. Nazajutrz, pomimo święta, miano odbyć ze mną na pozór procedurę, zadać mi dla formalności kilka nowych pytań, a we trzy dni potem przeczytać mi wyrok. Takie wyraźne polecenie otrzymał był sąd, a dowiedziałem się tylko o tem, dzięki podrzędnemu oficjaliście, który nie bez przyczyny mną się zajmował. Ale ponieważ względem wszystkich trzeba być sprawiedliwym, winienem powiedzieć, że cesarz pokazał się na chwilę aż do podziwienia ludzkim. Na szczęście nie było mnie już, kiedy przybył kurjer miłosierdzia; inaczej zamiast powiesić, byliby mnie tylko rozstrzelali.

W końcu uwiadomiono mnie, że liczba ziarn grochu, mających mi być przesłanemi wieczorem, wskaże mi godzinę, o której miano na mnie czekać w umówionem miejscu. Około godziny szóstej przyniesiono mi pudełko jakoby z apteki

i pomiędzy pigułkami znalazłem 9 ziarn grochu. Więc na godzinę 9. miałem być gotowym. O wpół do dziewiątej włożyłem do kieszeni nieco bielizny i nim nadeszła umówiona godzina, napisałem do jenerał-gubernatora te kilka słów:

— Gdybyś nie miał był więcej zaufania w waszych bagnetach, niż w mojem słowie, nie byłbyś miał potrzeby żałować, że ci się wymknęła ofiara, tem godniejsza żalu, że ją wybrano dla zrobienia przykładu. —

Potem poleciłem opiece niebios biedną moją rodzinę, wziąłem z sobą nóż, który ukryłem po obiedzie i wyszedłem z mocnem postanowieniem, przebić każdego, coby chciał mnie zatrzymać, albo zabić się, gdybym spotkał za wiele przeszkód, iżby je szybko i bez hałasu uprzątnąć. Na szczęście nie spotkałem nikogo i nikt mnie nie widział, nie słyszał. Stanąwszy w miejscu umówionem, wbiegłem ztamtąd do budynku, gdzie na mnie czekał poczciwy Boczkowski i który spiesznie zaprowadził mnie do domu na ustroniu, gdzie przygotowane było dla mnie zupełne przebranie. Zarzucił mi na ramiona płaszcz gruby, włożył na głowę czapkę chłopską, ścisnął mię pasem skórzanym i podał mi nabity pistolet. Wskoczyliśmy na wóz pocztowy, który już na nas czekał, i oddalaliśmy się od Żytomierza, jak tylko konie wyskoczyć mogły.

Pozostaje mi już tylko powiedzieć nieco o pędzeniu naszem z Żytomierza do granicy, bo lubo od zacnych spółziomków galicyjskich doznałem dowodów życzliwości i wszelkiej pomocy do mego ocalenia, wszystko jednak, co dla mnie uczynili, było wprost przeciwne woli rządu austrjackiego, który dozwolił schronienia tymczasowego innym wygnańcom, mnie tylko zaszczycił szczególniejszą niechęcią i wydać rozkazał.

Obawiam się więc, iżby wszelki względem mnie czyn ludzki, wszelkie uczucia szlachetne, nie były uważane jako zbrodnia stanu i nie mogę w tym razie lepiej okazać mojej wdzięczności, jak tając nazwiska moich wybawicieli, jak kryjąc usługi, które mi wyświadczyli. Ta nieostrożność miałaby skutki zdrady. Następne opowiadanie będzie więc tylko jak gdyby opisaniem drogi, prawie bez szczegółów

i często niedokładnem. Przyjdzie może czas, kiedy wolno będzie sercu memu wynurzyć się i ogłosić tak poświęcanie się zacnych Galicjanów, jak wdzięczność, którą dla nich jestem przejęty.

Do trzeciej stacji pocztowej nie wiele byłem strudzony, a przynajmniej, cały zajęty niebezpieczeństwem, zawsze niejako obecnem, nie mogłem czuć utrudzenia; ale na czwartej stacji już się nie czułem. Wozy pocztowe w Rosji są to rodzaje skrzyń bez rysorów, opartych wprost na osiach, i nieco słomy służy za siedzenie; nic w nich nie łagodzi szturkań: trzęsą, rozdzierają, wyrywają wnętrzności. Nawet przyzwyczajeni do takiej jazdy gońcy rosyjscy, których o niewytrwałość nikt nie obwini, zmuszeni są ściskać sobie silnie biodra skórzanemi pasami. Można więc sobie wystawić, ile musiałem cierpieć, ja, com nigdy podobnym sposobem nie podróżował, co na taki wóz wsiadłem po osłabiającej nieczynności długiego więzienia i jeszcze osłabiony po ostatniej chorobie, która właśnie w wnętrznościach miała swoje siedlisko. Nie miałem już był zupełnie sił do wytrzymania; jeśli się chciałem oprzeć, szturkanie nagłe i nieustanne po bokach łamało mi piersi; jeśli się rzuciłem na słomę, podskakiwanie wozu odbijało się na całem ciele. Nie wiedziałem jak wysiedzieć, wszystkie sposoby były nieznośne, a jednak trzeba było zawsze pospieszać, trzeba było lecieć, gdybyśmy byli mogli, bo tu szło o życie nie tylko moje, ale i zacnego Boczkowskiego.

Nakoniec w nadmiarze cierpienia nie mogłem już oddychać. Boczkowski, baczny aby konie jednej chwili w największym pędzie nie ustawały, kiedy niekiedy i na mnie rzucał wzrokiem, ażeby widzieć, co się ze mną dzieje. Kiedy spostrzegł moją bezwładność, kazał się zatrzymać, ścisnął mi biodra postronkiem, tak silnie jak tylko mógł i znowu ruszyliśmy całym pędem. Postronek tak mi ściskał boki, że mię aż ranił; ale nie czułem tego, tak silną była boleść wewnętrzna; owszem czułem że mniej cierpię.

Jużeśmy upędzili 20 mil, prawie dwie trzecie drogi z Żytomiezza do granicy, kiedy na przeprzęgu wysiadłem, aby przez czas zmiany koni nieco odpocząć w biórze poczto-

wem. Moja cierpiąca i strudzona mina zwróciła uwagę pisarza pocztowego, poznał mnie i zmierzał ku mnie, aby mię przywitać. Najmniejsza niebaczność mogła mnie zgubić i zadrżałem, kiedym spostrzegł, że się ku mnie zbliża; ale musiało go uderzyć moje przebranie, zamiast więc przyjść do mnie, wyszedł natychmiast i zostawił mnie w ogromnej niespokojności. Myślałem, że może widzi się w obowiązku zdradzenia mnie. Ale jakież było moje zadziwienie, kiedy po chwili usłyszałem go krzyczącego na parobków:

— Prędzej, pospieszcie się! Czy chcecie, żeby podróżni na was czekali! —

W parę minut zaprzężono; sam pisarz przybiegł uwiadomić nas o tem, podał mi rękę, pomagając wsiąść, ścisnął mnie serdecznie, obejrzał się ostrożnie, a widząc że nie ma nikogo, wzniósł oczy do góry i rzekł po cichu tonem najżywszej przychylności:

— Nie traćcie czasu, niech was Bóg poprowadzi! —

W tejże samej chwili zwoszczyk zaciął konie i ruszyliśmy z miejsca galopem.

O kilka poczt dalej mieliśmy zboczyć z wielkiego gościńca. Niepodobna mi było jechać dalej takim samym sposobem. Na szczęście dostaliśmy wóz trochę wygodniejszy. Już nie wiele drogi mieliśmy do przebycia, ale tu właśnie mnożyły się niebezpieczeństwa; nie wiedzieliśmy, którędy przebyć granicę i jak uniknąć niebezpiecznych spotkań. Ani Boczkowski, ani ja, nie znaliśmy miejscowości; jechaliśmy prawie na chybił-trafił, powierzając się naszemu przeznaczeniu, ale zawsze zbliżając się do granicy.

Tym sposobem przybyliśmy do miasteczka N. Konie nasze były zmęczone, zatrzymaliśmy się przed lichą karczmą, a sądząc że uniknę wypytywań, jeśli dam poznać, że znam właściciela miasteczka, zrzuciłem z siebie płaszcz, w którym wyglądałem jak służący i zapytałem karczmarza, czy dziedzic jest u siebie? Kiedy mi powiedział, że jest, chciałem niby wysiąść, ale zatrzymując się nagle, rzekłem:

— Jestem po podróżnemu ubrany, a pan wasz ma może u siebie gości?

— Ma właśnie — odpowiedział karczmarz — pan N. jest u niego z całym domem. —

Znałem w istocie właściciela miasteczka, ale w podobnem położeniu nie byłbym mu się chciał powierzyć i nie myślałem wcale o oddaniu mu wizyty. Znałem także pana N.; i ten był człowiekiem pewnym, śmiałym, dobrym patrjotą, który wielu wychodźcom ułatwił przebycie fatalnej granicy. Niespodziewane to spotkanie zdawało się być pomyślnem zesłaniem fortuny i tak mnie uradowało, że myślałem, iż się zdradzę. Ale natychmiast przybrałem minę obojętną i powiedziałem, że w takim ubiorze nie mógłbym się pokazać przed damami i odkładam wizytę do powrotu, poczem zostawiono mnie spokojnym. Prosiłem zaraz mego towarzysza, aby wysiadł, jak gdyby tylko dla wyprostowania nóg, aby się udał do dworu, gdzie go nikt nie znał, ażeby wywołał pana N. pod pozorem pilnego interesu, aby go odemnie pozdrowił i prosił, iżby nam dalej poradził.

W kwadrans potem przyniósł p. Boczkowski adres pana N., mieszkającego o dwie mile dalej, ze wskazaniem drogi do niego. Notatka napisana ręką pana N., miała nam służyć za rekomendację i usunąć wszelką nieufność. We dwie godziny potem stanęliśmy u tego obywatela. Było dopiero dwadzieścia godzin od czasu, jak wyszedłem z więzienia, i w tym czasie przebyliśmy już 30 mil polskich. Gospodarz zaprowadził nas do pokoju ustronnego, zapewnił że nie mamy się niczego obawiać, ale dodał, że trzeba przepędzić u niego noc, bo w tem miejscu niepodobna przebyć granicy: że będziemy musieli nazajutrz kołować i odbyć jeszcze 5 mil drogi. Pomimo utrudzenia, nie rad byłem zatrzymać się na noc całą, ale trzeba było uledz konieczności i spałem aż do dnia. Przebudziwszy się, czemprędzej się ubrałem; nigdy może nie zrobiłem tego tak prędko, bo spodziewałem się, że pojedziemy natychmiast, gdy tymczasem gospodarz inaczej rzeczy widział i chciał koniecznie zjeść z nami śniadanie. Dopiero więc po południu ruszyliśmy we trzech w powozie naszego gospodarza; poprzedzał nas służący konno, który miał rozkaz ostrzegać nas, jeśliby spostrzegł jakie niebezpieczeństwo, abyśmy mieli czas uniknąć go.

Tak zajechaliśmy o pół mili od granicy do wsi, gdzie mieszkała jemu znajoma dama. Dama ta i nadobne jej córki zatrudniały się od początku naszej wojny jedynie pomaganiem nieszczęśliwym Polakom i ukrywaniem ich przed wściekłością władz rosyjskich. Używały do tej usługi szlachetnej kilku włościan, którzy niemal wyłącznie oddani temu zatrudnieniu, nabyli wielkiej wprawy do przeprowadzenia wychodźców przez granicę rosyjską. Wszystko to zapewniało mi ocalenie. Zbliżając się do domu, spostrzegliśmy przed nim zaprzężony powóz; przewodnik nasz kazał się zatrzymać, a służący dojechał dla powzięcia bliższej wiadomości. Był to pułkownik żandarmów, którzy strzegli granicy. Nie bardzo radzi zabrać z nim znajomość, schroniliśmy się do lasku przerzedzonego i kryliśmy się w nim jak można było. Sam gospodarz zaleciwszy nam, abyśmy aż do jego powrotu z lasku nie wychodzili, pojechał do domu tych dam.

Schronienie nasze było bardzo niepewne, bo liście nie pokryły były jeszcze drzew, a wskroś lasu widzieliśmy przechodzących na pobliskiej drodze i sami łatwo mogliśmy być spostrzeżeni, chociaż byliśmy w samym środku lasku, albo raczej gaiku, otoczonego polami i drogami, z których dwie go przerzynały. Granica była w bliskości i tu i owdzie spostrzegaliśmy żandarmów i kozaków wałęsających się w okolicy.

— Gdyby nas zobaczyli! — rzekł do mnie Boczkowski.

— Przyjęlibyśmy ich pistoletami. Wszakże je masz? — odpowiedziałem.

— Nie mam ich, a ty ich nie masz?

— Nie mam. —

Zapomnieliśmy ich wziąść z sobą; zostały w powozie. Tak więc byliśmy w tym lasku bezbronni, bez sposobu ucieczki, pośród nieprzyjaciół i prawie pod ich oczyma. Gdyby nas byli spostrzegli, a nic nie było podobniejszego, nie bylibyśmy się mogli ani bronić, ani ich zmusić do zabicia nas, ani nawet samym sobie odebrać życie. Trzeba było czekać aż nas wezmą żywcem i poprowadzą oprawcy jako ofiary. Jakież położenie! Nigdy nie uczułem mocniej, jak w pewnych okolicznościach samobójstwo może być pożądanym ratunkiem!

Nareszcie gospodarz przybył z damami uwolnić nas od tych niepokojów; ale zamiast przeprawić nas szybko przez granicę, jak tego pragnęliśmy, zaprowadzono nas do domu i powiedziano nam, iż byłoby bardzo nieroztropnie przeprawiać się przed północą, a tu była dopiero godzina trzecia! A dla nas z tej strony granicy była śmierć, a z tamtej życie i wolność! Mogłem już, że tak powiem, przeskoczyć granicę, a tu mi mówiono, że trzeba czekać 9 godzin, i to w domu, z którego dopiero co wyszedł, do którego wrócić mógł pułkownik żandarmów! Rzeczywiście, nie byłem tam wcale spokojniejszy jak w lasku. Wprawdzie gospodynie nasze były bardzo uprzejme, kolacja była wyborna, spoczynek był mi bardzo potrzebny, jednak wyznaję, że ani wdzięki tych dam, ani smak potraw, nie skracały tych okropnie długich dziewięciu godzin.

W godzinie oznaczonej przyszedł włościanin i uwiadomił że możemy ruszyć w drogę. Był to nasz przewodnik. Damy udzieliły mu instrukcji, której przezornej troskliwości nigdy nie zapomnę. Pożegnawszy się z niemi i usiłowawszy im wyrazić całą wdzięczność, ruszyliśmy pieszo. Na ten raz nie zapomnieliśmy o pistoletach. Przez trzy godziny szliśmy w milczeniu, niespokojni, a co do mnie, niezmiernie strudzony. Nareszcie przewodnik rzekł nam:

— Jużeście panowie nie w Rosji! —

Na te słowa, które nas zdziwiły, jak gdyby to była nieprzewidziana nowina, które nas uradowały, jak gdybyśmy nagle przeszli z rąk bandy rozbójników w objęcia najlepszych przyjaciół, Boczkowski i ja rzuciliśmy się sobie na szyję z jednakowym wyrazem uczucia. Jakiż ciężar nie spadł z naszego serca! Jakże powietrze rządu cywilizowanego, takim przynajmniej zdawał nam się, podnosiło nasze piersi! Tu, tak przynajmniej myśleliśmy, nic nie trąci Mikołajem, ani podłemi narzędziami jego barbarzyństwa.

Puściliśmy się w dalszą drogę. W godzinę potem byliśmy u obywatela galicyjskiego przy kominie, niebezpieczeństwa dla tego tylko sobie przypominając, żeśmy szczęśliwie z nich wyszli. Ale wnet myśli przeniosły się do rodziny; serce mi się ścisnęło. W więzieniu widywałem przynajmniej

te drogie mi istoty — teraz, kiedyż mogę się spodziewać widzieć je? Uwolnienie moje zdawało mi się być bardzo drogo okupionem. Uwolnienie! powiedziałem. Nie byłem jeszcze u kresu wszystkich moich kłopotów.

Polacy, którzy po wojnie schronili się byli do Austrji, mogli tam tymczasowo przebywać. Później porozumiano się i rząd austrjacki okazał się mniej ludzkim dla tych, którzy przybywali potem i surowe rozkazy były względem nich wydane. Jeszcze byliśmy w łóżku, kiedy gospodarz nasz, przypominając sobie z niespokojnością ostatnie rozkazy rządowe, tyczące się emigrantów polskich, poszedł po informacje do celników. Za powrotem prosił nas, iżbyśmy się nie pokazywali, powiedział nam, że zostając tak blisko granicy, narażamy się na wydanie Rosjanom, i przyrzekł nam schronienie bezpieczniejsze. Tegoż samego wieczora zabrał nas z sobą do powozu i zawiózł o kilka mil dalej do hrabiego N. Przybyliśmy tam o godzinie dziesiątej wieczorem i zastaliśmy tam zgromadzenie liczne; zapowiedziałem się pod przybranem nazwiskiem Bętkowskiego, myśląc że roztropniej uczynię, jeśli tylko samemu hrabiemu dam się poznać. Wszedłem więc do salonu z pewnością zupełną, ale zaledwie kilka kroków postąpiłem, kiedy dama jedna przywitała mnie po mojem prawdziwem nazwisku. Na szczęście uwaga ogólna zwrócona była gdzieindziej i miałem czas uprzedzić tę panią, że zostaję w konieczności zatrzymania przybranego nazwiska, tak, iż pośpiech jej z przywitaniem wygnańca nie miał żadnego nieprzyjemnego skutku. Przepędziłem kilka dni spokojnie u hr. N., w towarzystwie jej syna, tej pani, o której wspomniałem, jej przyjemnej córki i dwóch innych emigrantów, którzy także w tym domu znaleźli schronienie. Hrabia, wyjeżdżając do Lwowa, był tak dobry podjąć się wyjednania mi albo pozwolenia pobytu, albo paszportu do Francji, a gdy bynajmniej nie wątpił o pomyślnym skutku swoich starań, zapewnienie jego czyniło mnie spokojnym. Odjeżdżając, przyrzekł za dziesięć dni przywieźć albo pozwolenie, albo paszport. Tymczasem incognito moje stało się wnet tajemnicą komedji; poznano mnie, a wiadomość o mojem przybyciu, które za cudowne uważano, rozeszła się po całej okolicy i drzwi nie

przestały się zamykać. Od rana do wieczora odwiedzano mnie, winszowano mi i przekonywano się, czy wiadomość rozgłoszona nie była bajeczna. Dziesięć dni nieobecności hrabiego upłynęło, czekałem z zaufaniem, kiedy mnie uprzedzono jednego wieczora, że nazajutrz o świcie wojsko ma dom otoczyć, aresztować mnie i odstawić do Lwowa. Natychmiast schroniłem się do sąsiada, hr. K..., który przyjął mnie z otwartemi rękami; przez dwa miesiące doznawałem w jego domu gościnności najotwartszej, najserdeczniejszej.

Tam to otrzymałem bardzo smutną wiadomość. Doniesiono mi z Żytomierza, że pani Gogel, moja żona i dzieci zostały aresztowane i obiecano mi pisać wkrótce powtórnie, na co długo i nadaremnie czekałem z śmiertelną niespokojnością. Łamałem sobie głowę, szukając przyczyny tego spóźnienia, zapytywałem się z trwogą, co chciano uczynić z moją rodziną. Nakoniec nie mogąc dłużej znieść tej niespokojności, postanowiłem powrócić na Wołyń, widzieć znowu koniecznie żonę i dzieci i powrócić do więzienia, jeśliby tego potrzeba było dla ich ocalenia. Ułożywszy w myśli ten projekt, chciałem jak najprędzej przywieść go do skutku. Prosiłem więc hrabiego K., aby pojechał ze mną do N. dla oddania mu wizyty na pozór, a rzeczywiście dla przybliżenia się do granicy, gdyż wieś jego była od niej tylko na wystrzał karabinowy oddaloną. Na szczęście spotkaliśmy w drodze posłańca z listem do mnie, w którym mi donoszono, że po czterdziestu czterech dniach aresztu, pani Gogel, moja żona i moje dzieci zostały wypuszczone. Uspokojony z tej strony, mogłem już myśleć o sobie samym i trzeba było, bo położenie moje nie było wcale zaspakajające; szukano mnie wszędzie, rewidowano ciągle domy, nieustannie byłem zagrożony. Uprzedzano mnie zawsze dosyć wcześnie i poświęcenie moich przyjaciół wynajdowało za każdym razem albo środki ukrycia mnie, albo jakie nowe schronienia; ale życie taką niespokojnością miotane, nie było do zniesienia.

Kiedy pierwszy mój gospodarz powrócił ze Lwowa, długo po naznaczonym czasie, dowiedziałem się od niego, że hrabia D. wziął na siebie wystarać się dla mnie o paszport, albo jeśliby go wyrobić nie mógł, przysłać mi paszport kogo

innego dla użycia go w ostatniej potrzebie. Wkrótce potem hr. D. doniósł, że nie mógł nic wskórać, przysłał mi tylko paszport jednego Galicjanina, z zastrzeżeniem, żebym go dopiero w braku innych sposobów użył. Tymczasem szukano mnie ciągle z jednakową zawsze czynnością, a nawet razu jednego tak niespodzianie zrobiono rewizję w domu hr. K., że zaledwie miałem czas wymknąć się i dostać się do jego sąsiada, który natychmiast wysłał mnie do odległej wsi, gdzie dwa dni przepędziłem. Ztamtąd powróciłem do mego nowego protektora, który ukrywszy mnie dni kilka i posunąwszy życzliwość swoją aż do zaopatrzenia mojej kieski zupełnie wypróżnionej, posłał mnie o dwadzieścia mil dalej i polecił mnie swojej siostrze. Miałem szczęście zastać tam hrabiego D. i jego uprzejmą małżonkę.

Liczę do moich przykrości, że nie mogę tu wymienić nazwiska hr. D. Doznawałem od niego pomocy, opieki czynnej, poświęcenia przyjacielskiego i zachowałem dla niego w sercu mojem wdzięczność, która, niech zechce wierzyć, godna jest szlachetnego ze mną postępowania. Po sześciu tygodniach spokojnego i najprzyjemniejszego pobytu wypędziła mnie z tego schronienia rewizja domu. Hrabia D., niestrudzony w swoich staraniach szlachetnych, był tyle dobry, że mnie sam zawiózł do obywatela, którego żona wkrótce miała jechać do wód Karlsbadzkich. Zaproponowano mi jechać z nią, nadszedł list od Emilji, abym się jak najprędzej oddalił — ale nie mogłem opuścić towarzysza mego zacnego Boczkowskiego. Nie szukano go, zmienił nazwisko i był spokojny; hr. D. przyrzekł mi mieć o nim staranie i ułatwić mu później podróż do Paryża. Tym sposobpm względem niego uspokojony, przyjąłem propozycję. Mieliśmy już wyjeżdżać, kiedy gospodarz domu został przestrzeżony, że tej nocy ma być u niego rewizja. Ruszyliśmy więc z hr. D. jak najspieszniej, aby w drodze czekać na panią N., której miałem towarzyszyć. Czekaliśmy na nią w karczmie przez dwa dni, nareszcie przybyła i puściłem się w drogę z paszportem niejakiego pana W., który jeszcze winien byłem grzeczności hrabiego D. Pani N. wiozła z sobą do wód dwoje dzieci chorych i chciała z tego powodu jak najspieszniej podróż odbyć. Jechaliśmy

więc dniem i nocą; jakoż w krótkim czasie przybyliśmy do Karlsbadu. Tam oddano mnie pod protekcję zacnego kupca, który mnie powiózł do Saksonji i polecił kupcowi, swemu przyjacielowi. Godny ten człowiek, dowiedziawszy się, że byłem wygnańcem polskim, przyjął mnie z otwartemi rękami, jak gdyby dawnego przyjaciela i zawiózł mnie do Brunszwiku, dokąd jechał z kilku fabrykantami. Tam powiedział, że jestem jego pomocnikiem handlowym, wziął dla mnie paszport do Hamburga i dał mi list rekomendacyjny do kupca hamburgskiego. Ten człowiek przezorny i czynnie rzecz biorący nie radził mi zostać w Hamburgu; zdawało mu się, że w tem mieście nie było dla mnie bezpieczeństwa.

— Opuść to miasto — rzekł — jedź do Anglji, siadaj na okręt prędko, a im prędzej wsiądziesz, tem lepiej uczynisz. Jeśli chcesz, wnet wszystko urządzę. —

Przyjąłem chętnie uczynną propozycję i tego samego wieczora znajdowałem się na statku angielskim, który płynął do Londynu, gdzieśmy dnia trzeciego przybyli. W tydzień potem wstąpiłem na tę ziemię Francji, gdzie nakoniec znalazłem schronienie i protekcję. Tu przynajmniej zasłoniony jestem przed despotyzmem i zemstą Mikołaja; tu mogę czekać, aby przeminął, jak jaka mijająca plaga, albo aby Polska podniosła się znowu pod pomyślniejszą wróżbą.

Ach, Francjo! Serce twoje zakrwawiło się, kiedyś musiała siostrę swoją zostawić okrucieństwom despoty — nie zapomniałaś, że ta siostra niegdyś krew swoją za Ciebie przelewała! ¡Dano ci przyjąć jej dzieci rozproszone: przyjęłaś je szlachetnie, z uniesieniem pochwyciłaś tę sposobność, aby dowieść twojej szlachetności. Bodajby obadwa nasze narody szczęśliwe i potężne wnet dać sobie mogły dowody wzajemnego szacunku i sympatji, i przyczyniać się do wspólnego szczęścia.

PAMIĘTNIKI

KASZTELANA NARCYZA OLIZARA.

(CZĘŚĆ DRUGA.)

1831.

POWSTANIE NA WOŁYNIU.*)

Tyle już od końca naszej wojny wyszło na widok publiczny pamiętników, że nie miałem bynajmniej ochoty pomnażać ich liczby. Następująca rozwaga zmieniła moje postanowienie:

Nie straciliśmy wszelkiej nadziei; może Polska, deptana dziś przez swoich groźnych rozbójników, jeszcze się kiedyś oswobodzi. Nie mogła się jeszcze wydobyć, ale nie przestała stawiać im oporu. Dzieci jej gotowe są poświęcić się dla niej, a potrzeba jej bytu coraz więcej czuć się daje. Cywilizacja szybko postępuje naprzód, sympatja ludów przybędzie

*) Wołyń był jedną z prowincji polskich, na którą, jeśli nie więcej, to przynajmniej tyle, ile na inne prowincje, sprawa nasza w roku 1831 mogła liczyć. Była to ulubiona kraina patrjotycznych widoków i usiłowań Czackiego: tam były Ateny polskie, tam związki narodowe najbardziej były rozszerzone, a położenie prowincji dało powstaniu tamtejszemu wielkie środki i wielką ważność.

Dla czego Wołyń oczekiwaniu ojczyzny nie odpowiedział? Czy rządu czujność, czy Boremel, czy Chróścikowski, czy kto inny był tego przyczyną, czy to wszystko razem do ostatniego wypadku się przysłużyło, to pozostaje do objaśnienia.

Pamiętniki kasztelana Olizara opowiadają to, co było, wiernie i bezinteresownie; a na wypadki, które nie nastąpiły, a nastąpić były powinny, rzucają niewątpliwie wielkie i tem pewniejsze światło, że na każdej karcie ich obok najczystszych dla ojczyzny uczuć, przebijają się dwie rękojmie prawdy: otwartość i abnegacja siebie. (Przyp. wyd.)

zapewne ojczyznie naszej w pomoc, a oprócz tego jest Bóg, który wcześniej czy później karze niesprawiedliwość i nagradza cnotę! Polska więc podniesie się, zajmie znowu pomiędzy narodami miejsce, którego dla honoru i bezpieczeństwa Europy nigdy nie powinna była stracić.

Polska odzyska swoją niepodległość! Z tem przekonaniem wziąłem pióro do ręki. Sądziłem, iż powinniśmy się uważać za będących w nieustannym obowiązku służby dla ojczyzny, a nie mogąc dla niej dziś nic uczynić, należy nam pracować dla jej przyszłości. W czasie walki robiliśmy dla niej bez wahania się i bez żalu wszelkie ofiary; dzisiaj zróbmy dla niej jeszcze może najtrudniejszą, ale niemniej potrzebną ofiarę: poświęćmy dla niej miłość własną. Nie mylę się, gdy powiem, że jednym z najlepszych środków, jakie nam los ku pożytkowi kraju naszego zostawił, jest prawe przystąpienie do wyspowiadania się z błędów naszych, ażeby w nie powtórnie nie popadać, albo od nich zachować tych, którzy nas zastąpią. I w rzeczy samej, najszacowniejszym Pamiętnikiem naszym będzie ten, gdzie autor szczere przeciw sobie samemu wytoczy oskarżenie.

Tak pisać postanowiwszy, myślałem z razu, jaką należałoby nadać rozciągłość mojej pracy: czy objąć w niej całą rewolucję, czy mówić o moim w niej udziale? Przełożyłem rozmiar drugi i powiem dla czego: Przedewszystkiem chciałem mówić prawdę. Sprzeczności i błędy napotykane zwykle w Pamiętnikach pochodzą prawie wyłącznie z pretensji zbyt powszechnej, pisania zupełnej historji albo całej jakiej epoki, albo całego jakiego ciągu zawikłanych zdarzeń. Wtenczas, kiedy się samemu wszystkiego nie widziało, kiedy wszystkiego widzieć dokładnie nie można było, zmuszonym się często widzi pisarz polegać na bezzasadnych pogłoskach, na opowiadaniach niepewnych, przesadzonych i przez namiętności sfałszowanych. Tym sposobem pamiętniki, których prawdziwem przeznaczeniem powinno by być ułatwianie pracy historykowi, nie tylko nie osięgają tego celu, ale nawet stawiają historyka w smutnej konieczności błąkania się dla wykrycia prawdy, a częstokroć nawet zmuszają go zastępować ją domysłami, bo jeden i tenże sam czyn pokazuje mu się pod

tysiącznemi kształtami, bo jedni zaprzeczają, co inni zapewniają, bo w końcu robi się chaos, zawsze trudny, a często niepodobny do uporządkowania.

Otóż bez wątpienia wielki powód do niepowtarzania podobnych błędów. Ale nie koniec na tem. Z wysokości, na jakiej się stawa, chcąc iść za biegiem ogólnym zdarzeń, nie jest łatwo odkrywać lub dostrzegać pewnych okoliczności, których sprawiedliwe ocenienie nadałoby rzeczom inny charakter. Znikają tam, albo za mniej ważne osądzone są liczne czyny, które wstrzymane w swem właściwem rozwinięciu, zatarły się w obec innych faktów, w istocie mniej ważnych, ale całkowicie spełnionych, albo takich, które przypadkowym zbiegiem okoliczności na jawniejszą scenę wystąpiły. Tak więc rzeczy uboczne zajmują miejsce wypadków głównych i całe opowiadanie pozbawione jest prawdy. Dodajmy do tego, że we wszystkich wielkich przedsięwzięciach są koniecznie widoki powzięte na przyszłość, że tych widoków ważności nie wszyscy umieją oceniać na samo obejrzenie pierwszych skutków, jedynych wtedy, jeżeli się nie powiodło przedsięwzięcie. Przyszły i stanowczy ich skutek, to jest prawdziwy ich cel, częstokroć zasłoniony jest wypadkami bezpośrednio nastąpionemi, które rażą gmin i dla umysłów pospolitych albo uprzedzonych, stają się stanowczemi.

Te rozwagi zdają mi się tak ważne, że powinnyby zasługiwać na uwagę każdego zastanawiającego się człowieka.

Nie w zarozumiałej myśli dawania komubądź rady, mniemam jednak, iż mogę utrzymywać, że uniknęłoby się wszelkich tych zboczeń, gdyby każdy poprzestał na skreśleniu tego, co sam uczynił, wyznając poczciwie błędy, które myśli że popełnił, odsłaniając zamysły, jakie miał, i wyrażając pobudki, jakie nim kierowały. Wtedy, śmiem to powiedzieć, pamiętniki nasze stałyby się chlubnym pomnikiem szlachetności charakteru narodowego i otworzyłyby szacowny zbiór materjałów dla dziejów, zachowując je od skaz namiętności i od spekulacyjnego łakomstwa.

Temi przenikniony prawdami, będę tu tylko mówił

o powstaniu tej części Wołynia, gdzie się znajdowałem, kiedy wypadki się gotowały i spełniły, o reprezentacji tej części Polski i o tych zdarzeniach, o których mam dokładną wiadomość, bo w nich albo udział miałem, albo byłem ich naocznym świadkiem.

Opowiadanie moje zamknięte w tak ciasnych granicach nie będzie miało tego powabu, jaki mógłby mu nadać całkowity obraz zdarzeń ówczesnych. Ale jeśli nie mogę powiedzieć czytelnikowi: Czytaj, bo pismo moje jest przyjemne — przynajmniej mogę mu powiedzieć: Nie odmawiaj zaufania, bo na nie zasługuję.

Od rozbioru Polski nieszczęsne jej dzieci na chwilę nie przestały myśleć o odzyskaniu jej niepodległości. Ile razy podawała się sposobność działania, tylekroć miłość ojczyzny, zawsze pierwsza cnota, nakazała im nieść ofiary i składać dowody męstwa, które Europa umiała ocenić. Żadne z tych usiłowań nie było szczęśliwe, ale każda nowa klęska podwajała ich zapał. Zwalczone, ale nie pokonane, nabierały na widok klęsk ojczyzny coraz nowej siły, tej mocy duszy, jaką nadaje rezygnacja, towarzysząca zawsze konieczności, połączona z męstwem, umiejącem czekać i chwytać właściwą do wybuchnienia i powodzeniu przyjazną porę; słowem, tej mocy, która stanowi godność człowieka. Otoczone niebezpieczeństwami, wznawiającemi się nieustannie, pośród chmary szpiegów, mając zawsze przed sobą albo rusztowanie, albo syberyjskie pustynie, pracowały w ukryciu bez pomocy jakiego bądź z tych bodźców, które schlebiają miłości własnej i jedynie dla tego, aby iść za głosem ojczyzny, za uczuciem czystem, bezinteresownem, takiem wreszcie, jakiem przeniknąć się, jakiego doświadczać mogą tylko serca szlachetne.

Głoszono już nieraz historję związków tajnych, odradzających się natychmiast po każdem ich zniszczeniu, pod rozmaitemi kształtami. Wyjawienia te mniej więcej dokładne, są tak znane, iż nie mam potrzeby tu ich ponawiać. Ograniczę się tylko do ostatniego ich perjodu i o ile to ściąga się do Wołynia. I tak jeszcze, tylko z największą ostrożnością, będę mógł przystąpić do tego opowiadania, zamilczając największą część nazwisk, aby nie narazić osób na prześladowanie. Powiem to tylko, co koniecznie będzie potrzebne do wyjaśnienia udziału mojego w powstaniu wołyńskiem.

Towarzystwo «Kosynierów» znane jest dobrze z procesu w latach 1826, 1827 i 1828 i z licznych ofiar wściekłości Mikołaja. Wywarte przeciw temu towarzystwu barbarzyństwa nie zdołały go zupełnie zgnieść. Pozbawione większej części swoich głównych naczelników, nadzorowane z całą surowością rządu dzikiego, którego podejrzenie dopiero co obudziło, nie mogło już rozszerzać się z łatwością, ale nie przerwało swego bytu. Członkowie onego, którzy prześladowania uniknęli, nie sądzili, iżby odkrycie związku od przysięgi ich było uwolniło: szukali tylko innej jakowej zasłony, aby czujność szpiegów rosyjskich udaremnić. Tymczasem działali tajemniej i roztropniej, zachowywali w przyjmowaniu więcej ostrożności, a kiedy się chcieli naradzić, lub nowego członka przyjąć, korzystali ze wszelkich sposobności dla zgromadzenia się bez obudzenia podejrzeń. Zaślubiny, pogrzeby, chrzty, przybierały naturę zgromadzeń patrjotycznych. Ileż to razy pod opieką odgłosu hucznej muzyki przysięgano śmierć ciemiężcom! Nieraz jeszcze się paliły gromnice przy ołtarzu, gdzie nowonarodzonemu chrzest dawano, a już ojciec dziecko swoje świętej sprawie ojczyzny poświęcał. Często nowożeniec wyrywał się na ustronie z pośród biesiady weselnej i tam przyrzekał wyrzec się szczęścia domowego i poświęcić życie, jeśliby tej ofiary wymagała niepodległość Polski. Wtedy to charakter narodowy jaśniał całym blaskiem; nie było jednego westchnienia za szczęściem prywatnem, lada chwila narażonem na niebezpieczeństwo, nie było najmniejszego oglądania się na prześladowania zbyt świeżo w pamięci tkwiące: żadna trwoga o przyszłość, żadne wahanie się nie kaziły czystości przysięgi. Poświęcano wszystko pięknemu imieniowi Polaka, uświęconemu tylu cierpieniami, tylu łzami, tylekrotnym krwi potokiem.

Miałem szczęście należeć do tego towarzystwa. Kiedy roku 1826 większą część członków, z którymi miałem stosunki, z domów porwano, czekałem i ja, aż los ich podzielić przyjdzie, tem bardziej, iż podejrzywano mnie od dawna i wiedziałem, że zostaję pod ścisłym nadzorem. Było to

w moich oczach nieuchronne nieszczęście i przygotowałem się na nie: ale nie mogłem myśleć bez przerażenia o rozpaczy mojej rodziny, kiedy żandarmi przyjdą porywać mnie z jej objęć. Ta myśl tak mnie dręczyła, że w końcu, jak gdyby w rozpaczy, postanowiłem sam iść naprzeciw niebezpieczeństwom i rzucić się niejako wilkowi w paszczę. Świeże uwięzienie mego brata, o którego zresztą byłem zupełnie spokojny, wiedząc iż nie należąc do związku, był niewinnym, nastręczyło mi pozór do uspokojenia na niejaki czas mojej rodziny. Powiedziałem że pojadę za nim, aby mu tem skuteczniej być pomocnym, i wyjechałem do Petersburga. Ten krok ocalił mnie. Zeznania moich uwięzionych kolegów nie zawierały ani słowa, któreby mnie skompromitować mogło, a ztąd nie miano przeciw mnie nic, prócz prostych podejrzeń, do uwięzienia zapewne bardzo dostatecznych. Ale dobrowolne przybycie moje zdawało się być tak mocnym dowodem mojej niewinności, że mi dano pokój. Dopiero za powrotem naznaczono mi areszt we własnym domu, gdzie tym sposobem przez rok byłem aresztowany. Uwolniony z aresztu, mogłem później dosyć bezpiecznie objąć obowiązki naczelnika powiatu Łuckiego, urząd, którym mnie towarzystwo «Kosynierów» już dawniej było zaszczyciło.

Znajdowałem się w Krzemieńcu, kiedy nadeszła wiadomość o powstaniu w Warszawie. Udzielano jej sobie po cichu, oddawano się nadziei, obliczano prawdopodobieństwo przyszłych powodzeń. Wszyscy byli jak odurzeni. Samych tylko członków towarzystwa można było jak gdyby poznać po spokojności. Inni obywatele, niepewni roli, jaką im śród tych ważnych wydarzeń odegrać wypadnie, oddawali się jak gdyby szałowi, a podniesiona wyobraźnia ich nie przewidywała niczego, coby przyszłej ich działalności tamę kłaść mogło. My przeciwnie wiedzieliśmy, że nam należało działać i jakim niemal sposobem. Złudzenie więc było dla nas niepodobne, a oczekiwanie hasła ze strony naczelnika trzymało w oczekiwaniu wszystkie władze naszego umysłu.

Tymczasem dni upływały, a hasła nie było! To nas dziwiło, tem bardziej, iż naczelnik nasz (żałuję iż tu nazwiska

jego wymienić nie mogę), był człowiekiem wielce honorowym i energicznym. Wnet dowiedzieliśmy się, że powstanie obumiera, że posłano nawet propozycje do Petersburga! Łatwo pojąć, ale nie wyrazić, jakie wrażenie sprawiła na nas ta okropna wiadomość. Wszyscy objawili już byli swoje uczucia, jedni żywiej, drudzy ostrożniej, podług różności położeń i charakterów, a tak sama potęga wypadków podniosła okrywającą nas dotychczas zasłonę i wystawiła nas na niebezpieczeństwo. Każdy z nas mógł w bliskiej przyszłości przewidywać nieszczęścia tem boleśniejsze, że nam odmawiano pociechy zasłużenia na takowe należeniem do walki. Ta niespokojność ustała, kiedyśmy się dowiedzieli, że cesarz Mikołaj odrzucił wszystkie propozycje. Sejm detronizował despotę i nadzieja wstąpiła znowu w serca nasze.

Od tej chwili zdawało się, że naczelnik wyda niezwłocznie rozkazy, ale wnet dowiedzieliśmy się, że rząd wszystkich wplątanych w sławny proces z lat 1826, 1827 i 1828, o którym już mówiłem, a zatem i naszego naczelnika, z domu porwać i w głąb Rosji uwieść kazał. Nieszczęście to spotkało wielu obywateli, którzy dopiero po opłakanem zakończeniu wojny, przez braci ich prowadzonej, do domów popowracali.

W tak niespodziewanem położeniu, kiedy już uwozić go miano daleko od widowni wypadków, w chwili tak krytycznej, naczelnik nasz, człowiek z głową i sercem, widział potrzebę zdania władzy swojej osobom, mogącym ją na miejscu sprawować, i pomimo obecności zbirów, którzy mieli rozkaz uprowadzenia go, zdołał znaleźć sposób przesłania nam na piśmie rozkazu, przez który władzę wojskową na pułkownika Błędowskiego, w nieobecności jego na kapitana N., a władzę cywilną na mnie zlewał. Na nieszczęście rozkaz ten nie mógł być w całości wykonany. Pomimo że jak najspieszniej posłaliśmy uwiadomić o tem wyznaczonych naczelników wojskowych, przyjaciele nasi przybyli już zapóźno. Pułkownik Błędowski, zagrożony wywiezieniem, ujechał do Warszawy; co zaś do kapitana N., myśleliśmy że także pojechał do Polski, a on przebywał w Austrji.

Pozostały sam jeden ze wszystkich, którzy byli powołani do zastąpienia nieobecnego naczelnika, wziąłem się do spełn-

nienia mego obowiązku, bez względu na trudności czasu i miejsca, a większe jeszcze, jakie koniecznie czekać miały człowieka cywilnego, zmuszonego trudnić się rzeczami wojskowemi.

Pierwszem mojem staraniem było zawiązać stosunki z twierdzą Zamościem. Wielu obywateli miało od dawna myśl tę samą i zamysł ten byłby już spełniony, gdyby się był znalazł człowiek, którego roztropności można było powierzyć misję, tak niebezpieczną dla tych, którzyby ją powierzali zdrajcy lub nawet nieostrożnemu posłańcowi. Ci obywatele nie mając żadnego szczególnego polecenia, któreby na nich takiego narażenia się obowiązek wkładało, nie chcieli wystawiać na niebezpieczeństwo siebie i swoich rodzin i słusznie mniemali, że obowiązek ich jako obywateli nakazuje im wprawdzie poświęcić się i ponieść wszelkie ofiary, kiedy godzina powstania wybije, ale iż nie należy im czasu tego wyprzedzać. W rozumieniu zaś ich, godziną tą była chwila zjawienia się wojska polskiego, albo przynajmniej odezwy jakiego dowódzcy, zbliżonego do granic Wołynia tak, iżby mógł wspierać usiłowania, do których pobudził. Położenie moje było wcale inne: Pozostawszy naczelnikiem towarzystwa, nie dosyć mi było mieć się samemu na pogotowiu, ale należało mi także przysposabiać wypadki. Zdawało mi się, iż potrzebuję być zawiadomiony, czego po nas oczekują, ażeby oczekiwaniu temu, o ileby nam okoliczności pozwoliły, odpowiedzieć. W tym celu podniosłem zamysł prawie zapomniany otworzenia związków z Zamościem; zaproponowałem posłać tam osobę zaufaną i za krok ten wziąłem na siebie całą odpowiedzialność. Ufano mi, otrzymałem na to fundusz pod warunkiem tajemnicy, i natychmiast zająłem się wyborem posłańca.

Znajdował się wtenczas w Krzemieńcu młody człowiek, dawny członek towarzystwa Kosynierów. Kilkakrotnie miałem sposobność być mu użytecznym, niedawno nawet umieściłem go za guwernera w jednym zacnym domu i z przyjemnością widziałem, że wolał przyjąć miejsce zawisłe, on, co nigdy nie zależał od nikogo, aniżeli stawać się dla kogobądź ciężarem. Dałem mu więc pieniądze na tę misję, a przewidując prawdopodobny przypadek, że może nie mógłby dostać się napowrót, umówiłem się z nim względem szczególnego pewnych wyrazów znaczenia, przez które w takim razie miał mię uwiadomić o odpowiedzi jenerała Sierawskiego, naówczas komendanta twierdzy Zamościa.

Uspokojony pod tym względem, przedsięwziąłem organizować powstanie. Nie było to rzeczą łatwą.

Podług statutów towarzystwa «Kosynierów» sam tylko naczelnik prowincji znał wszystkich naczelników powiatowych, a do udzielenia mi ich nazwisk nie miał był już czasu. Naczelnicy powiatowi nie wiedzieli o sobie; członkowie towarzystwa jednego powiatu nie wiedzieli również o współpracownikach swoich w innych powiatach. Jeśli o niektórych wiedziałem, było to nadużycie; zresztą liczba takich była bardzo szczupła. Korzystałem z ich dobrych chęci, ażeby rozszerzyć zakres mego działania, które powinno było obejmować całą prowincję. Tak słabe mając środki, zwolna tylko rozszerzałem moje stosunki, a ta trudność była podług mnie nowym powodem do nieograniczania ruchu na samo towarzystwo Kosynierów. Zastanawiałem się więc nad możebnemi łatwościami i przeszkodami, gdyby przyszło zamiar mój do skutku przywieść. Ponieważ rozważania moje pod tym względem nie były, jak śmiem sądzić, pozbawione wszelkiej trafności, a posłużą przynajmniej do objaśnienia późniejszego mojego postępowania i dając dosyć dokładne wyobrażenie o stanie moralnym prowincji, mogą się komuś przydać do działania w razie podobnym, nie uważam od rzeczy uczynić tu o nich wzmiankę.

Mieszkańcy Wołynia mogą być podzieleni na pięć klas:

1) Szlachta, właściciele wielkich majątków, nazwani magnatami.

2) Szlachta, zwana pospolicie drobna szlachta.

3) Włościanie.

4) Księża.

5) Żydzi.

Nazywają magnatem każdego szlachcica bogatego, noszącego nazwisko mniej więcej znane w historji kraju. Rodziny zbogacone w późniejszych czasach, nie należą wła-

ściwie do tej klasy, ale gdy dla nich nie ma klasy oddzielnej, zgodzono się niejako, liczyć je do klasy magnatów. Nie będę się rozwodził nad magnatami. Pisano już dosyć o ich pochodzeniu, o pamiątkach, jakie nazwiska ich przypominają, o dawnem ich znaczeniu. Chcę ich tylko uważać z punktu, w jakim się znajdowałem. Nie mam nic do powiedzenia o ich patrjotyzmie: Nazwiska Czartoryskich, Radziwiłłów, Sanguszków, Potockich i tylu innych tak zaszczytnie znane w naszem powstaniu, świadczą dostatecznie, iż magnatom nie brakowało miłości ojczyzny. Ale aby ich do powstania zachęcić, należało zastanowić się nad ich osobistem położeniem. Nie są oni nieszczęśliwi; jeśli boleją nad uciemiężaniem kraju, boleją mniej nad sobą, jak nad swymi współobywatelami, bo osobiście mogą się od tego uciemiężenia uchylać. Ponieważ nie brakuje im pieniędzy, a pieniądze są wszystkiem pod panowaniem rosyjskiem, sumy tu i owdzie rozumnie rozdawane, zapewniają im wolność prawie nieograniczoną. W kraju nie mającym praw, gdzie niezliczne i sprzeczne ukazy tysiąc nastręczają środków do nadania każdej rzeczy charakteru dowolnego, wszystko zależy od dobrych lub złych chęci urzędników, a gdy życzliwość ich jest towarem, magnat zawsze kupić ją może. Trudno byłoby wymyśleć czyn jaki, chociażby najprzestępniejszy, od któregoby bogacz nie mógł się wykręcić w Rosji bez wielkich trudności, aby tylko nie wykryto w tym czynie jakiej dążności do zmiany tego, urzędnikom tak dogodnego porządku rzeczy, bo wtenczas widzieliby oni w nim wszyscy niewątpliwy dowód nieprzyjacielskich przeciw nim samym zamiarów i zamach zabójczy na ich intratny przemysł, na ich przywileje, podług nich nieodłączne od ich urzędów. Kradzież czyli dochód z owych nieprawych układów, jest dla nich pierwszym przywilejem. Czyn więc, któryby w nich budził podobne obawy, byłby uważany za zbrodnią nie do przebaczenia, zwłaszcza jeśli sprawcą onego jest magnat, bo ta klasa mogąc i znacząc więcej, mając zatem więcej sposobów do przewiedzenia swoich zamiarów, zagrażałaby stanowczo ich bytowi. Z tego wszystkiego naturalnie wynika, że magnaci, wiedząc dobrze, iż narażają się na większe niebezpieczeństwo utracenia

korzyści ogromnych i że w istocie naraziliby się więcej w interesie innych, niż w interesie własnym, potrzebują pewnych rękojmi powodzenia, nim się rzucają w przedsięwzięcia rewolucyjne. Tej rękojmi ja dać im nie mogłem, ale byłoby im ją dostateczną dało wkroczenie wojska polskiego na Wołyń. Manifest sejmu wyraźnie zapowiadał, że wojsko przybędzie do naszej prowincji; można więc było liczyć naówczas na tych magnatów, którzy jeszcze usiłowań swoich z ruchem w Polsce nie byli zespolili. Na teraz więc sądziłem, iż nie należało do nich mi się zgłaszać.

Drobna szlachta zajmuje w Polsce takie samo miejsce, jak stan średni we Francji. Składa się z osób, posiadających małe własności ziemskie, z oficjalistów i sług u bogatych, z dzierżawców wsi lub gruntów. Pod rządem tytuł szlachcica nadawał im prawa polityczne, które dziś nie są już uważane. Jedni używali tych praw, drudzy znali je z opowiadań ojców i mogą sądzić, że przywrócenie Polski wróci im znaczenie, jakie im wydarło panowanie obce. Ponieważ na tę szlachtę mniej uwaga jest zwrócona, ponieważ mniej ma do ważenia, a więcej do zyskania, powinnaby być skorsza do wszelkich poruszeń, niż magnaci. Słusznie tu nadmienić należy, że w tej to szlachcie jest cała żarliwość czystego patrjotyzmu i że zawsze gotowa jest poświęcić się dla narodowej sprawy, bez względu nawet na osobiste widoki, o których mówiłem. Wypadało więc podciągnąć ją w moje rachuby, a gdy z jednej strony interes jej osobisty nie stawiał żadnych przeszkód, z drugiej miłość ojczyzny popychała ich do walki, na niej więc oprzeć się powinna była cała moja nadzieja.

Nie będę się zabawiał zbijaniem śmiesznych powiastek o tyranji szlachty nad włościanami*) Nie odpowiada się na

*) Szlachetny charakter autora tych Pamiętników nie przypuszcza tej tyranji. Jest to sądzić z siebie o drugich. Ale tu nie o to idzie. Chcąc utrzymywać, że na Wołyniu, lub w jakiej bądź innej prowincji rosyjsko-polskiej szlachta nie tyranizuje chłopów, trzeba by dowieść dwóch rzeczy: że pańszczyzny w tych prowincjach nie było, i że szlachcic, albo jego ekonom, włościanina dowolnie kijami, batami, kańczugam, lub własną pięścią karać nie może. Tego niepodobna udowodnić, a zatem i istnienia tyranji w stosunkach szlachty z włościanami zaprzeczyć nie można. Miałożby na-

podobne niedorzeczności. Mam tu jednak słowo do powiedzenia. Kiedy sejm zabierał się do usamowolnienia włościan, ja jako reprezentant Wołynia z góry przystawałem na wszystkie i jak najliberalniejsze postanowienia, i byłem pewny, że wszyscy komitenci moi potwierdzą moje przyzwolenie.

Włościanie kochają Polskę. Starcy, radzi w czasie odpoczynków wieczornych, opowiadają jak im dawniej było, a teraźniejsze pokolenie, uległe barbarzyńskiemu rekrutowaniu, przywalone podatkami, przeciążone rządowemi robotami, pragnie widzieć Polskę niepodległą i powrócić do dawniejszego stanu ojców swych, tak łagodnego w porównaniu z obecnem swojem położeniem. Omylono by się jednak, gdyby myślano, że włościanie powstaną w masie na samo wezwanie ojczyzny. Długa i ciężka niewola, narzucona przez Rosjan, zbydlęciła i uczyniła ich zbyt trwożliwymi, iżby z własnego popędu działać mogli. Wola ich nie ma żadnej sprężystości. Mundur urzędnika rosyjskiego przenika ich strachem, a ten tylko przed innem i koniecznem posłuszeństwem mógłby ustąpić. W powstaniu już, w szeregach pod dowództwem, biliby się mężnie, ale wzywani tylko, nie śmieliby ruszyć się z miejsca. Zresztą w dzisiejszym stanie rzeczy wszystko obudza w nich nieufność do panów. Rząd chytry, nie dosyć że zmusił włościan do zmiany religji, znalazł sposób uczynienia niepodobnem wszelkie zlanie się tych dwóch klas. Nie urzędnik cara, ale pan musi wykonywać surowe rozporządzenia, które włościanina o rozpacz przyprawiają: pobór podatków, brankę rekrutów, odrabianie szarwarków. Obowiązki te, których pan ani odmówić, ani po ludzku łagodzić nie jest mocen, wywierają wpływ opłakany na włościan. Jedni, za mało oświeceni, iżby oceniali położenie każdego, przypisują złośliwości panów kary, na jakie ci są zmuszeni ich wskazywać i ztąd nie mają bardzo naturalnie do nich tyle przywiązania, iżby szli za nimi na wyprawy niebezpieczne, do których, jak o tem wiedzą, zmuszeni być nie mogą. Inni wiedzą wprawdzie, że pan nękając ich,

zwanie „tyranja“ być tu niewłaściwe? Jakże inaczej, jak łagodniej nazwać takie obchodzenie się ludzi z ludźmi? (Przyp. wyd.)

wypełnia tylko obowiązek i tyle ile oni, sam nad tem boleje, ale to właśnie daje im tak wysokie wyobrażenie o potędze rządu i tak smutną miarę władzy panów, iż nie mogą mieć najmniejszego zaufania w ich usiłowaniach przeciw rządowi. Ztąd wynikało, że chciawszy zachęcić tamtych do powstania, potrzeba było innych ludzi, niż byli ci, których oni uważali za swoich ciemiężycieli, a chciawszy poruszyć drugich, potrzeba było kogoś, któregoby uważali za potężniejszego od swoich panów. Te dwa niezbędne warunki mogły być jedynie spełnione przez wykomenderowanie korpusu polskiego, któryby oprócz tego położył koniec wszelkim wahaniom się przez swój rozkaz. Rozkazowi temu wreszcie każdy rad byłby uległ. Włościanie więc nie obiecywali mi chwilowo żadnej pomocy.

Księża katoliccy są w ogólności dobrymi Polakami. Ale wpływ ich, odnoszący się tylko do szlachty, jedynej na Wołyniu ludności katolickiej, nie mógł być wielką pomocą. Szlachta nie potrzebowała być pobudzoną do przechylenia się na stronę sprawy polskiej. Jednakże nie należy lekceważyć współdziałania księży katolickich. Mnóstwo rodzin mazowieckich, osiadłych w lasach, gdzie się oddają rozmaitym fabrycznym przemysłom, dochowało religji katolickiej.

Co do księży rosyjskich, zwanych popami; nie tylko na ich posługę nie można było liczyć, ale nawet potrzeba było starannie ukrywać przed nimi nasze zamysły. W głębokiej ciemnocie zanurzeni, w ogólności pijaństwu oddani, wymagają oni bez litości od włościan daniny od ślubów, chrztu, pogrzebów, spowiedzi i t. d., rodzaju podatku, nałożonego na ich dochód przez rząd na włościan i nie są od nich ani lubieni, ani poważani. Popi, gdyby nawet chcieli być sprawie naszej użyteczni, nie wiele by mogli. Ale mogą szkodzić i do tego nie brakuje im chęci. Najprzód, podobnie jak wszyscy urzędnicy rosyjscy, mają obowiązek szpiegowania. Nadto wiedzą, iż obca siła narzuciła ich krajowi i że w nim nie mają żadnego znaczenia, a pewni są, że oswobodzeni Polacy wypędziliby ich bez żadnej litości. W tem mylnem rozumieniu są więcej niż kto bądź za utrzymaniem status quo. Ponieważ zresztą ich ciemnota, której przy-

najmniej domyślać się muszą, i wspólne im wymagania władzy, żadnego innego, prócz szpiegostwa i donosicielstwa, dla utrzymania się na swoich posadach, nie zostawiają im środka, nie zaniedbują więc donosić władzom o wszystkiem, co im się zdaje być podejrzanem.

Żydzi mają o co narzekać na dzisiejszego cesarza. Dawniej, zamiast dawania rekrutów, płacili podatek. Mikołaj kazał ich brać w rekruty i z rozkazu tego to nowego Heroda dzieci żydowskie, ośm do dwanaście lat mające, porywane są z łona matek. Z tem wszystkiem Żydzi w głębi duszy są Moskalami. Ponieważ trudnią się tylko spekulacjami mniej więcej zabronionemi i niemoralnemi, liczą wiele na zyski ze szpiegostwa systematycznego rządu rosyjskiego, a uważają za Opatrzność przekupstwo urzędników, z którymi zresztą dzielą się zyskami z kontrabandy. Dochód z tych łupieztw zapewnia im wygodną bezkarność. Uważając za rzecz niepotrzebną mięszać się ze społecznością, która ich odpycha, widzą w niej tylko kopalnię złota, a bez ojczyzny przybierają tę, której zepsucie najwięcej obiecuje im zarobku, haniebnego wprawdzie, ale zyskownego. Chcąc ich przywiązać do innej ojczyzny, potrzebaby wskazać im korzyści zdolne uzacniać ich w własnych oczach i tem samem uzdolnić ich do czynienia delikatniejszego wyboru w środkach zbogacenia się; albo zapewnić im więcej pomyślności materjalnej, niż dziś mają. Nie mogąc im nic podobnego wskazać, nie wiele na nich liczyłem.

Jest jeszcze na Wołyniu jedna klasa mieszkańców, która wyszła z samego łona prześladowań. Nie zwracano nigdy na nią uwagi, a jednak nie należy jej spuszczać z oka, nie tyle z powodu liczby jej rodzin, ile ze względu na jej wpływy. Mówię tu o rodzinach, posiadających darowane sobie majątki wygnańców polskich, którym wydarto własność, za to, że w rozmaitych epokach usiłowali kraj swój oswobodzić. Rodziny te w potomkach swoich już prawie spolszczone, nie byłyby od tego, żeby się od jarzma rosyjskiego uwolnić, gdyby im zapewnione było spokojne posiadanie dóbr, albo stosowne wynagrodzenie za dobra, które po wypędzeniu cudzoziemców musiałyby być koniecznie prawnym właścicielom zwrócone. Nim to nastąpi, klasa ta wystawiona na utratę wszystkiego, czepiać się będzie Rosjan i trzeba będzie ją uważać za nieprzyjaciołkę konieczną wszelkiego patrjotycznego poruszenia. Niepodobna mi było dawać jej podobne zabezpieczenia. Zajmowałem się więc ludźmi tej kategorji dla tego tylko, żeby przed nimi taić moje projekta.

Tak więc rozważnie rzecz biorąc, tylko na drobną szlachtę liczyć mogłem. Uprzedzać o tem osoby tej klasy byłoby nieroztropnością nie do przebaczenia. Chwila zrzucenia maski jeszcze nie była nadeszła. Musiałem poprzestać na nie wielu prywatnych zawiadomieniach, które mnie zupełnie zaspokoiły, bo odpowiedzi dowodziły, że w całej tej części ludności tyle znajdowało się patrjotyzmu, ile go sobie obiecywałem, i że patrjotyzm ten czekał tylko sposobnej pory działania.

Ale oprócz trudności, jakie wynikały z potrzeby działania bardzo skrycie, była jeszcze inna, niemniej wielka i tem smutniejsza trudność, że nie miałem żadnego sposobu do jej przebycia. Był nią brak broni i amunicji. Trafnie położenie swoje oceniając, rząd rosyjski czuł dobrze, że musi być znienawidzony, najprzód jako uzurpator, a potem jako ciemiężyciel. Jakoż nie przestając głosić swojej mniemanej prawości, przewidywał powstanie i przedsiębrał jakie tylko mógł wymyślić środki do zabieżenia mu, albo do pokonania powstańców. Na pierwszą wiadomość o rewolucji nie szczędził odezw, groził karami strasznemi, rozciągał je nawet do dzieci tych, którzyby czynem lub słowami z rewolucją się łączyli, i do tych nawet, którzyby nie byli dosyć podli do donoszenia swoich braci. Poświęcić honor jest zawsze pierwszem wymaganiem rządu rosyjskiego. Nie przestaiąc na tych środkach postrachu, nakazał rząd rosyjski zabrać wszelką broń natychmiast i bez wyjątku. Rozkaz ten był jak najściślej wykonany, bo urzędnicy sami w niebezpieczeństwie, jeśliby się powstaniu powiodło, nie śmieli w tym razie oddawać się swemu zwyczajnemu przekupstwu. Nie wiele więc było broni za opłatą zachowanej lub ukrytej, i ten brak zupełny najpotrzebniejszego do powstania warunku,

zdawał się być nieprzebytą zaporą do pomyślnego prowadzenia rzeczy.

W tak trudnem położeniu plaga niebios zdawała się przychodzić nam w pomoc. Cholera zaczęła roznosić spustoszenie. Chcąc bieg jej ile możności wstrzymać, nakazał rząd zakładać w pownych odległościach magazyny, podzielić powiaty na małe okręgi i opasać te okręgi kordonem zdrowia, złożonym z włościan uzbrojonych w kosy. Marszałkowie powiatowi powierzoną mieli władzę nad tymi okręgami i upoważnieni zostali mianować z pośród obywateli naczelników okręgowych. Wszystkie te rozporządzenia zaczęły być wykonywane. Szło więc o to, aby się zwierzyć naczelnikom okręgowym i otrzymać ich pomoc. Wtenczas powstanie byłoby zupełnie w całej prowincji przygotowane. Odważyłem się na to. Cała trudność zależała teraz na tem, jak się pośród podwójnej czujności policji z marszałkami innych powiatów porozumieć. Powiodło mi się uwiadomić o tym planie jednego marszałka i myśl ta podobała mu się. Przyrzekł mi urządzić swój powiat stosownie do moich widoków i skłonić do podobnego działania innych marszałków, z którymi miał się wkrótce widzieć, ponieważ wszyscy zwołani byli do stolicy prowincji.

Rad, że mi się pierwszy ten krok powiódł, zwróciłem uwagę na Polesie, gdzie zwykle mieszkałem i gdzie sobie obiecywałem łatwiejsze dla powstania powodzenie, niż gdzieindziej. Byłbym tam natychmiast pojechał, ale oczekując co chwila odpowiedzi z Zamościa, nie śmiałem się ruszyć z miejsca. Potrzeba więc było posłać na Polesie jakiego człowieka rozważnego i pewnego. Ale kogo? Pan Godebski wyprowadził mnie na szczęście z tej niepewności. Tę samą co ja myśl mając, pospieszył z udzieleniem mi jej, sam podjął się tej misji i zobowiązał się przygotować wszystko tak, iżby na pierwsze moje hasło być gotowym. Znałem doskonale pana Godebskiego. Pamięć ojca jego, poległego na polu chwały pod Raszynem, prześladowania, jakich sam doznał od w. księcia Konstantego, i osobiste zdolności, tjednały mu zaufanie i czyniły go bardzo właściwym do poprowadzenia szczęśliwie delikatnego przedsięwzięcia, które na siebie

przyjmował. Przyjąłem najchętniej jego propozycję, a on natychmiast pojechał.

Tymczasem dni upływały, a z Zamościa nie przybywała żadna odpowiedź! Niecierpliwość i niespokojność srogo mnie dręczyły. Jaka przyczyna tego spóźnienia? Coby zwłoka taka zapowiadała? Cała rzecz, że mój posłaniec do Zamościa nie dojechał! — —

Marszałkowie powiatowi, na których zakładałem największe nadzieje, pojechali istotnie do stolicy gubernji, ale ich tam zatrzymano. Wypadek ten zadał moim planom cios okropny. Nie zraziłem się jednak tak wielką przeciwnością i pozostały prawie sam jeden, myślałem jak sobie poradzić bez użytecznych sprzymierzeńców, których mi los wydzierał. Kilka osób podejmowało się przysposobić powiaty: Krzemieniecki, Dubieński, Rowieński, Zasławski i Włodzimirski. W mieście, gdzie się znajdowałem, więcej zrobić nie mogłem. Trzeba więc było przenieść się gdzieindziej, aby rozszerzyć zakres działań. Miałem już właśnie Krzemieniec opuścić, kiedy tam nadjechał hrabia C. Znając jego patrjotyzm, nie wachałem się mówić z nim otwarcie. Od niego się dowiedziałem, że posłaniec mój nawet nie wyjechał z Wołynia. Wiadomość ta pomięszała wszystkie moje rachuby. Chcąc naprawić tak przykry zawód zrządzony przez moją nieroztropność, postanowiliśmy wysłać do Zamościa kogo innego. Pan C. podjął się wyszukać posłańca, wyprawić go i przyrzekł objechać powiat Dubieński i Włodzimierski; tymczasem nim by powrócił, umówiliśmy się, że pojadę na Polesie i dotrę aż do granic powiatu Pińskiego; nakoniec pan C. przyrzekł, udać się na Podole. Umówiliśmy się jeszcze, że za ośm dni zjedziemy się w Krzemieńcu i że przywieziemy wiadomości, ile możności dokładne i szczegółowe o położeniu i siłach nieprzyjaciela, a to w celu przesłania ich naszym braciom i ułożenia pomiędzy sobą właściwego planu.

Po upłynieniu dni ośmiu, jakież było moje zdziwienie, kiedy ujrzałem hrabiego C. nie samego, ale w towarzystwie pana P. Zrozumiał li inaczej jak ja naszą umowę? Albo czy w zapale swojej gorliwości osądził, że chwila działania już

nadeszła? Nie wiem, ale zamiast po instrukcje posłał prosić o posiłki i przyniósł bilet, w którym pułkownik Krysiński, komendant Zamościa, obiecywał przysłać nam za cztery dni 4000 wojska, to jest 1000 regularnego i 3000 nieregularnego. Po pierwszej chwili radości zaczęliśmy udzielać sobie objaśniające szczegóły, pozbierane w naszych podróżach. Z ogółu naszych raportów pokazało się, że Rosjanie, dosyć wprawdzie jeszcze oddaleni, mieli znaczne siły i 24 dział, a ztąd wypadał wniosek, że wojsko nieregularne, które miano nam przysłać, mogłoby być zniszczone, nie zdziaławszy nic użytecznego; że pochód onego, podług wszelkiego podobieństwa, ten tylko sprawiłby skutek, iżby obudził czujność nieprzyjaciela, przyspieszył złączenie się jego sił i nakoniec powiększył w prowincji liczbę ofiar. Z tej strony uważane położenie wcale nie zaspokajało. Wszakże z drugiej strony uczyniłem uwagę, że pokazanie się wojska polskiego podniesie ducha ludności, zdemoralizuje Rosjan i że zręczne obroty wojenne mogą ułatwić rozszerzenie powstania w prowincji tak dalece, że przez to i powstanie Polski przybierze postać groźną i ułatwione mieć będzie wybicie się z pod panowania obcego. Te dwa przeciwne zdania były popierane i roztrząsane. Słusznie czy niesłusznie, byłem zdania, aby wypadki szły naprzód drogą, na jaką wstąpiły, i abyśmy przyjęli okoliczności tak jak są. Liczyłem na odwagę moralną, na zapał patrjotyczny prowincji, na oburzenie wszystkich przeciw rządowi rosyjskiemu, nakoniec na odległość nieprzyjaciela, który nie tak prędko mógłby przeszkadzać wykonaniu naszych zamiarów. Pan P. był zdania zupełnie przeciwnego. Dawny wojskowy, a tem samem nie widząc siły rzeczywistej gdzieindziej, jak tylko w bagnetach wojska regularnego i karnego, miał o trudności naszego położenia przesadzone wyobrażenie i oświadczył wręcz, że najlepiej uczynimy, jeśli korzystając z przeciągu czterech dni, zapowiedzianych przez komendanta Zamościa, wyślemy kogo, któryby wymarsz wojska przyobiecanego wstrzymał, albo jeśliby przybył zapóźno, z drogi je zwrócił. Zdawało mi się spostrzegać w tych słowach nieco złego humoru, odnoszącego się raczej do mnie, niż do hrabiego C., którego gorliwość nieroztropna

ale chwalebna przez się, w tę niepewność nas wprowadziła, a może nieco ukrytego żalu, że mu nie powierzono naczelnictwa prowincji i oznakę zazdrości ku mnie, co byłbym dał wiele, żeby się uwolnić od podobnego ciężaru. Mogłem się mylić, ale to pewna, że mi się tak zdawało. Tu nie wynoszę skargi; winienem tylko uczynić wyznanie. W tem przekonaniu uzasadnionem, czy mylnem, postanowiłem usunąć się natychmiast, jak tylko będę miał pewność, że pan P. zgodzi się na przyjęcie kierunku powstania, bo nikt nademnie więcej nie cenił jego doświadczenia i znanego męztwa. Pragnąłem nawet miejsca mojego ustąpić natychmiast, ale ani przedstawiania, ani prośby moje nie mogły pokonać oporu jego. Odmówił i wyjechał do Uściługa, żeby wstrzymać pochód spodziewanego wojska. Ponieważ zresztą nie było pewności, czy tam nie przybędzie zapóźno, a na wszelki wypadek należało być w pogotowiu, wyjechałem do Łucka dla uczynienia rozporządzeń, jakie mogłaby doradzać, albo jakich mogłaby dozwalać dwuznaczna postawa rzeczy.

Za mojem przybyciem powziąłem wiadomości o sile nieprzyjaciela. Znajdowało się w tem mieście około stu inwalidów, stanowiących zwyczajną załogę, i 50 ludzi z komendantem przy 800 koniach, niedawno przez obywateli dostarczonych. Oddział ten wysłany dla poprowadzenia koni, uzbrojony był tylko w małe szable piechoty.

Nazajutrz obywatel C., wysłany z Włodzimierza do Łucka, przywiózł mi wiadomość, że wojsko polskie zbliża się do granicy. Wkrótce potem kilkunastu młodych ludzi z okolic, których dniem pierwej uprzedziłem, zgromadziło się u mnie. Sam jeszcze nie wiedząc, jakie będą działania i czy się wojsko wróci, lub najprzód iść będzie, nie bardzo wiedziałem, jak o tem mówić z tą zacną młodzieżą. Musiałem ich zaspokajać, w ogólnych wyrazach. Powiedziałem im: że Polacy się zbliżają i może wkroczą na Wołyń, że trzeba się przygotować do pomagania im ile możności, że pewny ich dobrych chęci i ich patrjotyzmu, byłbym sądził, że ich krzywdzę, gdybym ich o tem nie uwiadomił; nakoniec że oczekując co chwila wiadomości pewniejszych, proszę ich, aby byli gotowi do działania wspólnego stosownie do wydarzonych okoliczności.

Niepodobna by mi było oddać szlachetnych oznak zapału na samo proste zawiadomienie. Wdzięczność ich za zaufanie, gorąca niecierpliwość zmierzenia się jak najprędzej z nieprzyjacielem, więcej niż kiedybądź kazały mi liczyć na wybornego ducha prowincji i budziły żywy żal, żem nie poszedł pomimo oporu pana P. za pierwszą myślą moją. Ale szkoda już się stała; trzeba było ponosić jej skutki.

Zgromadzenie nasze trwało już może godzinę lub więcej, kiedy do nas wpadł młodzieniec, pan M., z kokardą białą przy fraku.

— Robiłem — rzekł — wycieczkę od strony Włodzimierza; jenerał Dwernicki jest w Uściługu, rozproszył tam bataljon rosyjski, a około północy tutaj go zobaczycie. Przysyła mnie powiedzieć wam, żebyście nie pozwalali spalić mostu i uprowadzić koni znajdujących się w mieście, bo ich bardzo potrzebuje. —

Podobny rozkaz niezmiernie mnie zdziwił. Do wykonania go miałem wojsko z 10 ludzi! Pojmowałem bardzo dobrze korzyści z zatrzymania koni i z utrzymania mostu, którego zniszczenie uczyniłoby miasto nieprzystępnem z tej strony. Ale nazwisko jenerała Dwernickiego pomięszało szyki moich myśli. Spodziewaliśmy się dowódzcy polskiego, ale nie tego jenerała, i tylko oddziału wysłanego z Zamościa przez pułkownika, komendanta tej twierdzy. Widziałem w tem nieporozumienie bardzo niepokojące i dziwiłem się lekkomyślności, z jaką przysłano mi podobny rozkaz, nie wiedząc jakie mam środki do jego wykonania. Widocznie rozkaz taki nie mógł pochodzić od jenerała Dwernickiego, bo jakże posądzać go o podobną nierozwagę! Myślałem więc, że ów młokos miał do czynienia z jakimś nieroztropnym człowiekiem, co nie wiedział o niczem i uważał za rzecz bardzo prostą wydawać rozkazy, nie troszcząc się o to, czy mogą być wykonane lub nie, i w tem szczęśliwem niedowierzaniu postanowiłem czekać wieczora, poprzestając na uważaniu ruchów załogi. Z tem wszystkiem, ponieważ otrzymane doniesienie tylko na domysły mnie prowadziło, a nie byłem pewny, iżby mi nic działać nie należało, korzystałem z wizyty komendanta, wysłanego po sprowadzenie remonty, zabawiałem go jak najdłużej

i kupiłem od niego konia z całem osiodłaniem. W kilka godzin potem otrzymaliśmy pewną wiadomość, że oddział wysłany przez pułkownika Krysińskiego istotnie napadł na Uściług i rozproszył tamtejszą załogę rosyjską, ale że na wezwanie pana P. już się cofnął. To co widziałem, nadaje mi przekonanie, że wojsko to, jakkolwiek nieregularne i nie liczne, było wtenczas dostateczne do poruszenia całej prowincji. Chociaż obowiązki moje były zupełnie cywilne, powinienem był jednak oprzeć się wykonaniu projektu pana P., co tak zgubne za sobą pociągnął skutki. Bo gdy z jednej strony wielu obywateli za zbliżeniem się wojska jawnie okazało swoje uczucia, co podwoiło czujność policji i było dla niej skazówką, i gdy to zbliżenie się wojska ostrzegło jenerałów rosyjskich dowodzących na Podolu i w Kijowskiem, i spowodowało ich do dania rozkazów, aby Wołyń strzedz przed wojskiem polskiem — z drugiej strony nagły i niewczesny odwrót tego oddziału zawiódł wszystkie nadzieje. Nieszczęśliwi patrjoci, którzy tym sposobem uczucia swoje wyjawili, zostali sprowadzeni do gubernji i tam ich zatrzymano. Byli to dla Rosjan zakładnicy, albo nowe ofiary, a o tyleż dla nas ubyło wybornych współdziałaczy. W chwili, kiedy się odbywał ten fatalny odwrót, powstanie niespodziewane nie byłoby napotkało wiele przeszkód, a Rosjanie nadciągnąwszy po niejakim czasie, byliby je zastali już tyle rozszerzonem i wzmocnionem, że nie łatwo byłoby im przyszło je pokonać. Kiedy ta pora minęła, doznawało później powstanie niepodobnych do przełamania trudności.

Poczciwość pana P. była wyższą nad wszelkie podejrzenia, ceniłem także jego doświadczenie wojskowe i dla tego obałamucił mnie, przedstawiony przez niego obraz «nieużytecznych nieszczęść», na jakie wystawiłoby nas zdanie przeciwne jego widzeniu rzeczy. Chciałem był uniknąć wyrzutów, że uporem nieroztropnym nieszczęścia te sprowadziłem, a boję się, czy nie zasłużyłem na większą naganę za to, żem się powodował zbyteczną roztropnością.

Nie wiem, czy pan P. byłby mię usłuchał i jakich środków byłbym musiał użyć, żeby go zniewolić do odstąpienia od swego zdania; jednakże sądzę, że obowiązkiem moim

było, dołożyć wszelkich usiłowań dla dopięcia mego celu. Wszystkie te uwagi teraz stawają jasno w moim umyśle; wtedy nie tyle mnie uderzały.

Z tem wszystkiem widziałem, że nam potrzeba było naczelnika wojskowego, a przekonany że nad pana P. nie posiadamy zdolniejszego do odpowiedzenia temu obowiązkowi, i zawsze zajęty myślą, że mi zazdrości pierwszego miejsca, napisałem do niego list, w którym go błagałem jako obywatel, a wzywałem jako naczelnik, aby wziął na siebie ster całej części wojskowej, a nawet naczelny kierunek powstania, dodając że się usunę na Polesie i odtąd zostawać będę pod jego rozkazami.

Czy mogłem zdawać innemu włożony na mnie obowiązek? Czy taki czyn wyrzeczenia się był mi dozwolony? Mianować naczelnika wojskowego, to było w mojej mocy; ale usuwać się, aby nie być przedmiotem zazdrości, a może niezgody, odbierać sobie dla innego władzę i wkładać na niego obowiązek rozwijania całej gorliwości i wszystkich talentów, czynić go całkowicie odpowiedzialnym, bo naturalnie jako naczelnik odpowiedzialność brał na siebie, to może przechodziło moją władzę. Nie wiem, czy nawet pobudki, jakie do tego miałem, będą mogły mnie usprawiedliwić. Tak jednak uczyniłem.

Pan P. odpowiedział że przyjmuje obowiązki, jakie na niego zlałem. Byłem szczęśliwy z tej odpowiedzi i wyznaję, że myślałem, iż dobrze zasłużyłem się ojczyźnie tym czynem, który dowodził, że cały byłem poświęcony dla sprawy i wolny tak od miłości własnej, jak od widoków osobistych. W godzinę po otrzymaniu tej odpowiedzi byłem w drodze ku Polesiu.

Zastałem tam rzeczy w tak dobrem położeniu, jak tylko tego żądać można było. Z jednej strony hrabia Stanisław Worcell przysposobił z własnego popędu najstosowniejsze działania w powiecie Kowelskim, graniczącym z powiatem Łuckim; z drugiej pan Godebski urządził wszystko najwłaściwiej, najpomyślniej i najgorliwiej. Rozmówiwszy się z nimi, pojechałem do dóbr moich, położonych prawie w okolicy środkowej powiatu; tam u siebie umyśliłem czekać

na wypadki. W kilka dni doniesiono mi, że powiat Rowieński zupełnie jest uorganizowany i wymieniono mi nazwiska naczelnika powiatowego. Naczelnik ten oświadczył mi, że podniesie sztandar powstania, jak tylko dam mu do tego hasło. Ze swojej strony pan P. nie zdawał się tracić czasu. Dowiedziałem się z niewypowiedzianą radością, że z wielu okolic Wołynia przysyłają do niego po rozkazy. Od czasu do czasu zjawiały się także jego odezwy. Wtedy to szczególniej winszowałem sobie, że mu władzę moją zdałem i nie wątpiłem, że będąc uznany przez obywateli, nieomylnie da się prowadzić szlachetnej dumie kierowania mądrego naszego przedsięwzięcia i odda się temu obowiązkowi z całą odwagą patrjoty, z całem doświadczeniem wojskowego. Obiecywałem sobie pomagać mu prowadzeniem; ile możności najlepszem powstania poleskiego.

Wkrótce potem otrzymaliśmy odezwę wydaną przez majora Chruścikowskiego, który się mienił być wysłańcem jenerała Dwernickiego. W odezwie tej zapowiadał bliskie przybycie tego jenerała na Wołyń. Po tem zawiadomieniu, przekonany, że wkrótce powołani będziemy do chwycenia za broń, sądziłem że jest moim obowiązkiem przyspieszyć do tego przygotowania, chociażby przyszło obudzić podejrzenie policji. I w istocie, widzieliśmy dobrze, że nas miała w podejrzeniu, ale ponieważ myśleliśmy, że się zbliża chwila stanowcza, nie przerywaliśmy prac naszych, nie dbając bynajmniej na rozkazy, jakieby rząd wydać mógł, do wykonania których, jak nam się zdawało, już nie miałby czasu.

Osłupieliśmy, kiedy w kilka dni potem, zamiast uwiadomienia o nastąpionem już wkroczeniu jenerała Dwernickiego, otrzymaliśmy od tego samego majora Chruścikowskiego inne pismo, w którem nam donosił, że jenerał ten zatrzymał się w Zamościu z powodu złych dróg i że zostanie tam, dopóki drogi nie naprawią, tak, iżby artylerję mógł z sobą prowadzić. Nie potrzebuję mówić, jakie wrażenie wiadomość ta na nas sprawiła. Nasze przygotowawcze działania były już jawne, rząd miał już na nas zwrócone oczy, a wojsko nieprzyjacielskie nie zatrzymując się dla złych dróg, zyskiwało czas potrzebny i zbliżało się dla udaremnienia naszych usiło-

wań pierw jeszcze, nim zdołalibyśmy działać. Im więcej zastanawiam się nad tą okolicznością, tem mniej ją rozumiem. Rozgłaszać przez odezwy zamiar wkroczenia na Wołyń, zaczynać ruch i zatrzymać się potem kilka tygodni, było to to samo, co zabijać powstanie. Jakoż skutek odpowiedział tak wielkiej nieroztropności i poświęcono całą prowincję.

W miarę jak Rosjanie postępowali, powiaty, przez które przechodzili, albo przez które mieli przechodzić, nie mogły ani myśleć o powstaniu. W każdem mieście powiatowem zostawiali bataljon piechoty, a władze otrzymały zawiadomienie i rozkazy surowsze, niż kiedybądź. Jedno tylko Polesie nie było osadzone wojskiem, bo gdy dowódzcy rosyjscy spieszyli się ku granicy dla bronienia prowincji przeciw jenerałowi Dwernickiemu, nie zatrudniali się tą częścią leśną Wołynia, która podług nich nie wielkiej była wagi. Jakoż tam tylko można było urządzić małe powstanie; wszakże i tam stawały nam przeszkodzie wielkie trudności.

Każdy powiat ma rodzaj trybunału policji, zwany «Niżny sąd»; członkowie tego sądu mieszkają w rozmaitych częściach powiatu, zwanych «uczastki». Cały sąd złożony jest z prezydującego, którym jest «kapitan sprawnik» i czterech asesorów, niekiedy nawet z większej ich liczby, podług obszerności powiatu i miejscowych potrzeb. Wszelkie śledztwa i egzekucje należą do tego sądu. Kapitan sprawnik i dwóch asesorów składają komplet; jakoż sąd w tym komplecie znajduje się zawsze w mieście powiatowem. Inni asesorowie, jakeśmy powiedzieli, mieszkają w uczastkach, w dobrach jakiego obywatela i każą sobie płacić za pobłażanie w egzekucjach, za okrzesywanie raportów, a niekiedy za zupełne milczenie. Jest to ciągły handel sprawiedliwością. Zwykle wyznaczają im obywatele dochód stały, tak w pieniądzach, jak w produktach; pomimo tego dręczą oni obywateli, jak tylko zdarza się jaka nadzwyczajna do tego sposobność. Ale przynajmniej za owe daniny uważają się za obowiązanych do zamykania ócz na wypadki zwyczajne, a prawie codzienne. Ponieważ dochód ich nie w każdym uczastku jest jednakowy, ubiegają się o uczastki zamieszkałe przez bogatszych obywateli, jak plebani o to lub owo probostwo. Sąd ten łączy

w sobie w najwyższym stopniu wszystko, co tylko przekupstwo ma w sobie najhaniebszego, wszystko, co tylko kradzież i łupieztwo mogą poddać filuterstwa i wybiegów dla ukrywania i upozorowania zdzierstw. Takie są w ogólności sądy niżne, szczególniej tam, gdzie nie wszyscy asesorowie są wybierani przez obywateli, gdzie ich wszystkich rząd mianuje, jak to się dzieje w gubernjach prowincji dawniej polskich. Należy jednak wyznać, iż i pomiędzy asesorami były zaszczytne wyjątki. Mieliśmy w naszych szeregach członków niżnego sądu, którzy się z nami otwarcie połączyli, z których kilku podziela teraz wygnanie swoich współziomków. Wprawdzie byli to ludzie, którzy zawsze odznaczali się od swoich kolegów prawością i uczciwością. Na szczęście pan Słuchajewski, członek tego zacnego sądu, który w dobrach moich mieszkał, był razem pijakiem i tchórzem. Korzystając z tych jego ułomności, które w okolicznościach, w jakich się znajdowaliśmy, miały wartość przedziwnych przymiotów, zapraszałem go na obiady, i kiedy wino, którego mu nie szczędziłem, skutek swój sprawiało, wydobywałem z niego doniesienia przeciw mnie wielu popów i obietnice, że nie prześle je władzy. Kilkaset papierowych rubli przypieczętowały naszą umowę i myślałem, że będę mógł być spokojny, przynajmniej na niejaki czas. Zyskać zaś czas, było wtenczas wszystkiem, co się zrobić dawało i jedynym środkiem naszego ocalenia. W rzeczy samej raport nie był posłany; ale dowiedziałem się, że pan Słuchajewski zakradł się był w nocy do kuźni, gdzie kazałem przyrządzać żelazca do lanc i że ich wziął kilka, wraz z żelaznemi kółkami, które miały służyć do przymocowywania kos. To przekonało mię najprzód o trafności moich uwag nad moralnością urzędników, a następnie, że pomimo iż przyjął pieniądze, nie należało ufać panu Słuchajewskiemu, jeśli nie chcę, iżby wszystkie nasze plany, dopóki zostawalibyśmy w tak niepewnem położeniu, nie były wywrócone. Zaprosiwszy więc znowu tego poczciwego asesora, powiedziałem mu, że miałem zamiar obejść się z nim łaskawie w razie jakich wypadków; ale teraz, kiedy mi haniebny jego postępek wiadomy, kiedy działa jak zdrajca, obejdę się z nim jako z takim.

— Nie tajno panu — dodałem — że cała okolica czeka tylko hasła do powstania: otóż przestrzegam cię, że jeśli słówko bąkniesz, hasło to ogłoszę i w kilka godzin potem każę cię jako szpiega powiesić. Ale jeśli uczciwie postępować będziesz, przyrzekam ci protekcję i ocalę cię pomimo powszechnej ku tobie nienawiści. —

Nikczemnik usłyszawszy te słowa, rzucił mi się do nóg, przyrzekał ślepe posłuszeństwo i na dowód swojej przyszłej poczciwości przyniósł nazajutrz wszystkie swoje papiery z żelazcami, które był ukradł. Dla tego jednak niegodziwiec podał skrycie raport przeciw mnie i tylko zręczniej ukradł inne żelazca, które później w czasie mojego procesu przedstawiane mi były jako przekonywające dowody. *)

Pomimo tej jakoby rękojmi, nie byłem zupełnie spokojny. Biorąc cholerę za pozór, sprowadziłem kilkunastu moich strzelców i osadziłem nimi przyjazd do mego domu, zdecydowany bronić się, gdyby przysłano uwięzić mnie; i na dobre mi to wyszło, bo wkrótce potem ostrzeżono mnie, że dwudziestu pięciu żandarmów wysłano dla aresztowania mnie, ale ci zwrócili natychmiast, spostrzegłszy za zbliżeniem się, że nie łatwo byłoby im wypełnić ten rozkaz, tem bardziej, iż gotowość Polesia nie była wątpliwa, bo wszyscy czekali tylko sposobności, żeby silne zrobić powstanie.

Taka nasza niepewność trwała 6 tygodni; w tym przeciągu

*) Dowód był obciążający, ale na szczęście przewidziany. Otóż jakie tych żelazców dałem wyjaśnienie. Nie wiedząc, czy pomimo wszelkich moich środków obrony nie będę porwany, bo to zależało od tego, jak długi czas jenerał Dwernicki Rosjanom zostawi, przewidywałem że mogę być aresztowany i ostrzeżony postępkiem nikczemnego Słuchajewskiego, kazałem narysować plan kraty dla przyozdobienia balkonów mojego mieszkania. Rysunek ten składał się ze sztuk zupełnie podobnych do żelazców lanc i do kółek, które kuć kazałem. Napisałem i podpisałem na planie rozkaz antydatowany, polecający memu komisarzowi, aby wszystko podług planu tego zrobić kazał. W tem poszedłem za przeczuciem, zbyt sprawdzonem. Bo gdy później aresztowany zostałem i gdy mi pokazano te obciążające mnie dowody, odpowiedziałem, że to były części kraty, poleconej do zrobienia na długi czas przed rewolucją i wtedy jeszcze, kiedy nikt nie mógł jej przewidywać, co łatwo sprawdzić datą rysunku kraty, znajdującego się pomiędzy mojemi papierami. Może nie wierzono takiemu tłumaczeniu, ale nie miano nic naprzeciw onemu do powiedzenia; musiano pominąć ten dowód, przynajmniej na pozór.

czasu, przysposobienia nasze ciągle postępowały. Chociaż nie wiedzieliśmy, którego dnia jenerał Dwernicki wkroczy na Wołyń, jednak przekonani byliśmy, że to wkrótce musi nastąpić.

Korzystając, ile można było, z czasu tak przykrej nieczynności, wziąłem się do opisania moralnego usposobienia prowincji i do ułożenia kodeksu tymczasowego, zastosowanego do potrzeb chwilowych i do położenia naszego w stosunku do rządu rosyjskiego. To wszystko posłałem jenerałowi. Nakoniec przewidując, że powstanie tej części Polesia, zbyt oddalonej od pana P., iżby się mogła znajdować pod jego rozkazami bezpośredniemi, potrzebować będzie dowódzcy wojskowego, któryby kierował pierwszemi działaniami, żądałem widzenia się z pułkownikiem M., który służył pod Napoleonem i zdawał mi się być najwłaściwszym do wypełnienia takiego obowiązku. Zjechaliśmy się w domu innego obywatela i stanęło na tem, że pan M. obejmie dowództwo powstania jak tylko wybuchnie i że je zatrzyma dopóty, dopóki nas nie dojdą rozkazy albo jenerała Dwernickiego, albo pana P. Uspokojony pod tym względem, powróciłem do siebie czekać na wypadki.

Upłynął tydzień, drogi się poprawiły, a nieczynność nie ustawała! Nękany niespokojnością, postanowiłem dojechać do granicy dla dowiedzenia się czegoś pewniejszego o poruszeniach jenerała Dwernickiego. Wyjechałem tak tajemnie, jak tylko można było. Dwór hrabiego Worcella znajdował się na drodze, umyśliłem więc do niego wstąpić. Zajechałem tam około godziny jedenastej wieczorem. Z cichości, jaka tam panowała, niczego nie przewidywałem; myślałem bardzo naturalnie, że wszyscy udali się do spoczynku, gdy tymczasem prawie wszyscy z dworu wyjechali. Kołatałem długo do bramy, nakoniec może w kwadrans otworzyło się okno z salonu i usłyszałem głos kobiety, zapytujący mnie, kto jestem? Wymieniłem moje nazwisko, drzwi się otworzyły i hrabina blada i niespokojna pokazała się sama w przedsionku. Nie dając mi czasu do powitania siebie, rzekła:

— Mój mąż i nasi sąsiedzi podnieśli chorągiew powstania

i wyruszyli ku Kowlowi w zamiarze opanowania tego miasta i znajdujących się tam magazynów. —

Pełen radości i zadziwienia zawołałem:

— Jakto! I mąż pani nie uwiadomił mię o tem!

— Posłał do pana umyślnego — odpowiedziała hrabina — musieliście się w drodze minąć. —

Cała noc zeszła na pytaniach z mojej strony, na odpowiedziach nie obejmujących wszystkich szczegółów ze strony hrabiny, która miotana między szczęściem z nadejścia chwili tak pożądanej a niespokojnością o męża, równie żywą, jak naturalną, nie bardzo się dowiadywała, jakie uczynione były przysposobienia, jakie miano środki do wykonania dzieła.

O świcie, kiedy konie już wypoczęły, wsiadłem do powozu i wyjechałem drogą do Kowla, aby się z hrabią Worcellem rozmówić i widzieć naocznie pierwsze kroki tego powstania tak spóźnionego, które nas wyprowadzało nareszcie z położenia tak niepewnego i narażającego na niebezpieczeństwo nadzieje nasze i nas samych. Zaledwie pół mili ujechałem, spostrzegłem kilkunastu jeźdźców, eskortujących dwie powózki pocztowe. Po rozmaitości ich ubiorów poznałem zaraz, że to są powstańcy; zatrzymałem się więc i wnet ujrzałem jednego z nich zwracającego ku mnie. Był to hrabia Worcell. Jak tylko mnie spostrzegł, pospieszył z zapytaniem, czy odebrałem jego list?

— Nie — odpowiedziałem — a Kowal czy wzięty?

— Jeszcześmy tam nie byli; jest nas tylko dziesięciu, a Kowal ma na załodze przeszło 100 ludzi, którzy się mają teraz na ostrożności. Zabraliśmy tylko konie z poblizkich poczt dla przecięcia komunikacji i na jednej z tych poczt wzięliśmy do niewoli dwóch oficerów wiozących raporta do jenerała Rydigera. —

Tak o tem wszystkiem rozmawiając, wróciliśmy do dworu hrabiego Worcella. Jeńców umieszczono w domu zajezdnym, gdzie obchodzono się z nimi ze względnością, jaka się należy nieszczęściu. Jeden z nich, niejaki baron de Morgenstern, mający przy sobie raport, w chwili, kiedy go powstańcy otoczyli, rozdarł papier i część onego tak zręcznie

zniszczył, że hrabia Worcell tylko połowę mógł mu odebrać. Wyczytaliśmy jednak, że jenerał Rydiger donosił feldmarszałkowi Dybiczowi o wkroczeniu jenerała Dwernickiego na Wołyń na czele 20,000 wojska i o bliskiem wyruszeniu za tymże jenerała Sierawskiego na czele 30,000 ludzi. Jenerał Rydigier donosił w tym raporcie, że duch prowincji jest jak najgorszy, że nie będzie mógł z korpusem swoim nieprzyjacielowi stawić oporu i prosi gwałtownie o posiłki. Wiedzieliśmy, że Rydiger mylił się bardzo co do liczby wojska polskiego, które wynosiło najwięcej 4000 ludzi; jednak trwoga jego napełniła nas najpiękniejszemi nadziejami.

Hrabia Worcell uwiadomił mnie także, iż jenerał Dwernicki pisał do pułkownika M., zachęcając go do urządzenia powstania, że pułkownik ten wydał odezwę i że to wszystko mi posłał. Nie tracąc chwili czasu, powróciłem do siebie i zastałem w istocie posłańca hrabiego Worcella. List jenerała Dwernickiego wzywał pułkownika M. do spiesznego działania i do przysposobienia rzeczy tak, iżby powstanie wybuchnąć mogło na wielu punktach razem, dla łatwiejszego, jak się list wyrażał, pokonania jenerała Rydigera, który tym sposobem będzie zmuszony podzielić swoje siły. Odezwa pułkownika M. polecała nam zebrać się u kapitana B., wyznaczonego dowódzcy. W tejże samej odezwie przepisana była droga, którą, rozkaz ten wypełniając, iść mieliśmy. Natychmiast kazałem wezwania te przepisać i posłałem je panu Godebskiemu, wzywając go także, aby się spieszył. Kazał mi powiedzieć, że natychmiast bierze się do dzieła. Odpowiedź moją pułkownikowi M. oddałem posłańcowi hrabiego Worcella.

Po tem wszystkiem zająłem się otwarcie wszystkiemi przygotowaniami. Hrabia Worcell pisywał do mnie prawie codziennie, powstanie jego powiększało się i wnet powiodło mu się przejąć transport mąki, przeznaczonej dla korpusu jenerała Rydigera. Z żywością tą cofnął się w lasy w miejsce zwane Czerewacha, czekając tam na nasze przybycie i na rozkazy pułkownika M. Wkrótce potem uwiadomił mnie pan Godebski o dniu, w którym powstanie ma wybuchnąć w mojem miasteczku. Z jakąż boleścią otrzymałem od hra-

biego Worcella we wilję wskazanego mi dnia wiadomość, że pułkownik M. rozkazuje nam czekać. *Nigdy* większego nie doznałem zmartwienia: Czekać, było to samo, co się samym gubić, co opuszczać świętą sprawę, dla której poświęcaliśmy wszystko, co wyrzekać się wszelkiej nadziei naszego ocalenia, wszelkich środków obrony i wystawić się na wywiezienie do Syberji, za to tylko, że się robiło nieużyteczne demonstracje. Wszystkie te myśli stanęły mi w żywych kolorach przed oczyma i postanowiłem nie uwiadamiać powstańców o tym nowym rozkazie, tak zgubnym dla nas wszystkich i który uważałem za przeciwny dobru ojczyzny.

Napisałem więc w tym duchu do hrabiego Worcella i czekałem jutra z niespokojnością trudną do opisania. Nakoniec nadeszło to jutro! Około godziny szóstej wieczorem spostrzegłem z balkonu około 500 ludzi, wychodzących z lasu, postępujących na równinę i zmierzających ku mojemu miasteczku. Co wtenczas czułem, niepodobna byłoby mi wyrazić. Widziałem nadchodzącą chwilę, w której nareszcie będę miał szczęście rozpocząć jawną usługę dla mojej ojczyzny. Ale ostatni rozkaz pułkownika M. dając mi do zrozumienia, że już na niego liczyć nie możemy, nasuwał myśl, że rzeczy nie muszą iść tak dobrze, jakeśmy myśleli, i zmniejszał o wiele moje nadzieje.

Wnet przybył do mnie pan Godebski z kilkoma innymi obywatelami, którzy się połączyli z powstaniem. Uwiadomili mnie, że mają zamiar przepędzić noc w miasteczku, ale że ich ludzie przeprawią się natychmiast na drugą stronę rzeki i obozować będą na drugim brzegu.*) Chcąc aby ta przeprawa odbyła się pod ich okiem, powrócili spiesznie do miasteczka, wzywając mnie, abym do nich nazajutrz o świcie przybył.

Wsiadłem na konia o godzinie czwartej z rana i wnet stanąłem w Rafałówce, gdzie zastałem moich towarzyszów już czuwających. Na środku głównej ulicy postawili mieszkańcy stół nakryty obrusem, a na nim położyli chleb z solą. Tym to sposobem włościanie i żydzi okazują swoją

*) Styr płynie pod miasteczkiem mojem Rafałówką.

przychylność do nich przybywającemu. Ruszyliśmy razem; nasi ludzie byli już na drugim brzegu rzeki uszykowani. Nie było to zapewne wojsko regularne, ale każdy dowódzca starał się swoich ludzi ubrać ile możności jednakowo. Powstańcy ci byli tak gotowi do boju, tak ochoczy, iż nie mogłem przenieść na sobie, iżbym nie był ubolewał, że nie byli zaopatrzeni w broń wojskową (mieli tylko strzelby myśliwskie), a nadewszystko, że nimi nie dowodził jaki zdatny wojskowy, któryby umiał dobre ich chęci na korzyść obrócić. Pochód nasz był niejako tryumfalny; ludność całych wsi wychodziła dla widzenia nas. Ale włościanie, zawsze pod wpływem bojaźni okrutnego rządu, wracali do domów, wyraziwszy nam swoje życzenia. Co chwila spotykaliśmy wozy naładowane żywnością i wódką, które nam przysyłali obywatele. Nakoniec nazajutrz przybyliśmy do Czerewachy i połączyliśmy się z oddziałem hrabiego Worcella.

Myślałem że prosto pójdziemy do mieszkania kapitana B.; ale on uwiadomił nas, że sam do nas przybędzie, a więc czekaliśmy na niego. Przybył nazajutrz na czele trzydziestu dobrze ubranych i dobre konie mających kawalerzystów. Kapitan zrobił natychmiast przegląd naszych ludzi. Było nas blizko tysiąc, a w tej liczbie znajdowało się 200 konnych; w piechocie stu miało strzelby myśliwskie, reszta złożona po większej części z włościan, miała tylko kosy. Przyznaję że uzbrojenie takie nie bardzo zabezpieczało. Włościanin dobrze uzbrojony i w szeregu wojska regularnego, jest wybornym żołnierzem; ale uzbrojony tylko kosą i nie mając dowódzców wojskowych, nie dawał żadnej rękojmi. Mieliśmy wprawdzie dwieście rekrutów rosyjskich, ale wziętych do wojska z pośród włościan Wołynia; zabraliśmy ich byli do niewoli, kiedy ich w bliskości nas prowadzono do Kijowa, gdzie miano ich uzbroić. Trudno było wiedzieć, jak dalece można im było ufać, a zresztą nie mieliśmy dla nich broni. Jednakże w nadziei, że broń znajdziemy, postanowiliśmy ich wcielić pomiędzy powstańców i powiedzieliśmy im, że mamy zamiar użyć ich w powstaniu.

— Życzymy wam dobrze — odpowiedzieli — ale złożyliśmy przysięgę. —

Widząc iż tylko ta okoliczność ich wstrzymuje, kazaliśmy przyjść księdzu unickiemu, a ten uwolnił ich od dawnej przysięgi i przyjął od nich nową na wierność rządowi polskiemu. Od tej chwili uważali się już za naszych. Jednakże z małą bardzo ilością amunicji, na teraz tylko na jazdę naszą mogliśmy liczyć.

Ponieważ przybycie kapitana B. zmieniło pierwsze nasze rozporządzenia, czekaliśmy więc na rozkazy pułkownika M. W kilka dni napisał do nas przecie — ale jaki list! Zachęcał nas, żebyśmy się rozeszli! Wprawdzie obiecywał nam przybyć, jeśli tego koniecznie wymagamy, ale tylko dla tego, żeby z nami na placu poledz, i w końcu list jego datowany był z N., miasteczka w Galicji austrjackiej.

To zbiegostwo zwichnęło wszystkie nasze usiłowania; inny temu podobny i może smutniejszy postępek do reszty pogorszył nasze położenie. Pan P., pomimo swoich odezw i obietnic, wyjechał także do Galicji, w chwili kiedy potrzeba była zacząć działać.

Opuszczeni przez dowódzców wojskowych, widzieliśmy, że już tylko na siebie samych liczyć musimy i że nam należy utworzyć jaką władzę powstaniem rządzącą. Wtedy nie wiem przez jaką chęć naśladowania głównego rządu polskiego, któremuśmy w rzeczy służyli, wpadliśmy w ten sam błąd, jaki popełniono w Warszawie; zamiast mianować jednego naczelnika i powierzyć mu władzę najwyższą, ustanowiliśmy radę cywilną i wojskową, władzę, która dla tego samego, że była zbiorową, nie mogła nigdy mieć tej sprężystości, tej mocy, jakich wymagają ruchy powstańców. Ofiarowano mi przewodniczenie w tej radzie, ale bez żadnego przywileju. Jeden z członków jej, kapitan B., miał sobie powierzone dowództwo wojskowe.

Za długo, a może niepotrzebnie byłoby wskazywać tu wszystkie wady podobnego rządu. Nadmienię tu jednak, że rada będzie zawsze więcej rozprawiała niż działała, że dowódzca wojskowy, członek rady, nie będzie ani pod niczyim dozorem, ani niepodległym w swoich działaniach; nakoniec z jakich bądź składałaby się członków, rada będzie zawsze rządem, który nie usprawiedliwi nigdy tego tytułu, ponieważ

nigdy nie będzie mógł zadosyć uczynić wymaganiom każdochwilowym, a od których w rewolucji zależy zwykle całe przyszłe powodzenie, jak tego dowodzi na wielką skalę powstanie Polski, a na małą powstanie Wołynia. Jednakże nie przestawaliśmy się zatrudniać. Spiesznie napisaliśmy do jenerała Dwernickiego, zaklinając go, aby nam przysłał przynajmniej kilku oficerów i wydawaliśmy odezwy — wszystko nadaremnie.

Nakoniec, gdy widoczną rzeczą było, że nie możemy ciągle zostawać na jednem miejscu, że przedłużając naszą nieczynność, ściągniemy straszne klęski i że z korzyści przybywania do nas ochotników nikną przez uchodzenie włościan, którzy w ciągłej trwodze Rosjan, z kolei nas opuszczali, postanowiliśmy bądź co bądź wyjść z tego położenia.

Zgodzono się jednomyślnie, żeby wyruszyć z miejsca; ale inaczej rzecz się miała, kiedy przyszło do ułożenia planu działań. Przedstawiono i popierano najprzeciwniejsze projekta. Każdy pragnął jednego celu, ale każdy chciał do niego dążyć drogą, która mu się najwłaściwszą zdawała; a na nieszczęście nie było pomiędzy nami nikogo, któryby miał dosyć powagi do przecinania spornych kwestji, albo wojskowego tak znanego, iżby mógł przechylać szalę i pociągnąć głosy wszystkich za swojem zdaniem.

Powstanie nasze składało się z mieszkańców dwóch przyległych powiatów: Łuckiego i Kowelskiego. Jakoż jedni chcieli iść do Łucka, drudzy do Kowla, i uważali te dwa miasta jako punkta nadzwyczajnej wagi. Ja przeciwnie, może z równą bezzasadnością, myślałem, że obadwa te projekta są zgubne dla wszystkich innych planów. Następujące uwagi zrodziły we mnie taki sposób widzenia: Myślałem, że z tak małą siłą, z tak szczupłym zapasem amunicji, a nadewszystko doświadczenia, nie gdzieindziej będzie nam podobna osiągnąć jakie pomyślne skutki, tylko w lasach, gdzie znajomość miejsca i łatwość ukrycia naszego prawdziwego położenia, do pewnego stopnia zastąpią liczbę. Obadwa miasta powiatowe znajdują się na płaszczyźnie; idąc więc dla ich zajęcia, odsłonimy naszą słabość i bardzo łatwo będziemy pobici. Podług mnie pierwszy nasz bój powinien być koniecznie

uwieńczony zwycięztwem, inaczej odbiegnie nas odwaga i natychmiast się rozproszymy. A na równinie walcząc, nawet z jednakową siłą wojska regularnego, niezawodnie będziemy pobici, bo wojsko regularne oprócz wyższości, jaką mu nad powstańcami nadaje znajomość służby i karności, miało zaledwie tknięte naboje, kiedy my mieliśmy ich tylko resztki.

W tak trudnym razie skreśliłem rodzaj planu działań, mówiłem o nim z kapitanem B. i przekonawszy go szczęśliwie, potrafiliśmy pozyskać większość zdań.

Nim dalej o wypadkach mówić będę, sądzę, że nie od rzeczy będzie powiedzieć tutaj, jaki to był ten plan. Nie będę utrzymywał, że był najlepszy, jaki w położeniu naszem był podobny, a nawet iżby był dobry. Nie służywszy nigdy w wojsku, nie mam żadnej pretensji do zdolności wojskowej. Przedstawiam go tak, jak mi go podał zdrowy rozsądek, jedyny mój przewodnik w tej okoliczności, kiedy zbyt dobrze czułem potrzebę działania i wartość czasu. Znawcy ocenią go według wartości; oddaję go chętnie pod ich krytykę. Niech będzie surowa i wyrozumowana, aby się stała na przyszłość pożyteczną nauką.

Jenerał Dybicz był niedaleko Warszawy; jenerał Rydiger znajdował się na granicach Wołynia, tak, iż nasze powstanie było w tyle wojska rosyjskiego. Litwini już byli powstali, Podole czekało tylko hasła. Na Wołyniu powiat Rowieński był zupełnie przygotowany i pragnął powstać, abyśmy go tylko wspierali. Litewski powiat Piński uwiadomił nas, że powstanie za naszem przybyciem i uprzedził nas, że wielkie zapasy żywności z magazynów Pińska mają być wysłane dla armji rosyjskiej. Nakoniec dowiedziałem się, że hrabia Przezdziecki, mój krewny i przyjaciel, dowodzący jako dawny pułkownik znacznym oddziałem powstańców litewskich, przysyłał do mnie, chcąc się z nami porozumieć. Na tych to spostrzeżeniach uzasadniłem mój plan.

Proponowałem iść najprzód do Pińska, zabrać przysposobioną żywność i poruszyć powiat do powstania, potem udać się do sąsiedniego powiatu Kobryńskiego, zrobić w nim także powstanie i zetknąć się z powstaniem litewskiem

które hrabia Przezdziecki ze swojej strony byłby ku nam posuwał. Ztamtąd napowrót idąc, bylibyśmy wspierali w pochodzie powiat Rowieński i Konstantynowski, a ponieważ ostatni styka się z gubernią podolską, bylibyśmy mieli ułatwione połączenie się z powstaniem podolskiem. Wszystkie te działania wymagały tylko trzech, a najwięcej czterech tygodni czasu, a Rosjanie zatrudnieni jenerałami: Skrzyneckim, Sierawskim i Dwernickim, nie byliby mogli udaremnić naszych usiłowań. Z drugiej strony nieliczne wojsko w Kijowie i Kamieńcu miałoby dosyć do czynienia około siebie i było zbyt oddalone do stawienia nam w swoim czasie przeważnych trudności.

Dwa te połączenia się miały cel. Przez nie mogliśmy byli utworzyć niejako łańcuch powstańców od Kowna aż do Kamieńca. Radziłem nie wystawiać się na bój regularny, którego niepomyślny skutek nie mógłby być wątpliwy; ale rzucać małe oddziały na wszystkie wielkie gościńce, na wszystkie drogi uboczne, na wszystkie ścieszki i myśleć tylko o przejmowaniu wszelkich transportów ludzi, amunicji, żywności, któreby chciano posyłać do armji jenerała Dybicza. To wszystko dałoby się tem łatwiej uskutecznić, że mieszkańcy byli za nami, a zyski, jakieby im naznaczono w zdobyczach, byłoby jeszcze więcej ich zachęciły do pomagania nam, tak, iż żaden transport nie mógłby był przechodzić, iżbyśmy nie byli wiedzieli o nim. Armja jenerała Dybicza, jak o tem łatwo z mapy przekonać się można, byłaby miała komunikacje zupełnie przecięte, a braku wszystkiego nie łatwo było pokonać. Transporta, które byłyby przechodziły pod zasłoną mocnych eskort, nie byłyby mogły być tak częste, iżby zaspakajały potrzeby armji. Nakoniec co do wojska, którem Rosjanie przeciw powstaniu mogli byli rozrządzić, to nie było one liczne i byłoby musiało podzielić się także na mnóstwo małych oddziałów, które dla powstańców nie byłyby bardzo groźne, bo miejscowa znajomość kraju i życzliwość mieszkańców byłyby im wskazywały chwile napaści i ułatwiały środki unikania boju, co wszystko stosownie do okoliczności, nadawałoby powstańcom niewątpliwą wyższość.

Opierałem na tym planie, słusznie czy niesłusznie, wiel-

kie nadzieje. Przewidywałem demoralizację nieprzyjaciela, niepodobieństwo, iżby tak prowadzonemu powstaniu mógł się oprzeć, widziałem w tym planie prawie zbawienie ojczyzny. Jakoż na chwilę byłem prawdziwie szczęśliwy, gdy kapitan B., któremu we wszystkich szczegółach plan ten wystawiłem, nakoniec oświadczył, że na niego przystaje i że przedewszystkiem pomagać mi będzie, ażeby rada zgodziła się na pochód ku Pińskowi dla poruszenia tamtejszego powiatu i zabrania transportu żywności. Inne części projektu miały na jaw wychodzić w miarę rozwijania się poruszeń. Z przyjemnem uczuciem uprzytomniłem sobie zdziwienie samych powstańców, gdyby nakoniec ujrzeli wielką rolę, jaką odgrywaliby w tej wojnie narodowej, rolę, która zdawała mi się niezawodną, chyba jeśliby jakie nieprzewidziane i nadzwyczajne okoliczności, których położenie rzeczy nie obiecywało, stawiły zaporę naszym zamysłom. Pod urokiem to tych planów, które jakkolwiek mogły być mylne, czyniły mię szczęśliwym, odbywałem pierwszy pochód na drodze do Pińska. Zatrzymaliśmy się na noc w Gródku.

Moje szczęście nie długo trwało. Plan nasz, wyższy nad wszelkie przygody, chyba gdyby go wywróciły jakieś nadzwyczajne i bardzo ważne okoliczności, uległ zmianie przez zdarzenie tak błahe, że jeszcze dziś zapytuję się samego siebie, jakim sposobem rzeczy taki obrót wziąść mogły.

O świcie przybył do nas jakiś człowiek, żadnemu z nas nie znajomy. Miał na sobie płócianke białą i wyglądał na ekonoma. Opowiedział, że go wysłali do nas obywatele powiatu Kowelskiego, zaklinając nas, abyśmy oswobodzili ich od kapitana-sprawnika Łaszczewskiego, który prześladuje ich bez litości. Nieszczęsne to poselstwo pomięszało wszystkie szyki planu. Powstańcy obywatele kowelscy tak zostali dotknięci cierpieniami swoich ziomków, tak zapragnęli zadosyć uczynić ich wezwaniu, że wszyscy oświadczyli się za zmianą pochodu i dążeniem do Kowla. Zebrała się rada i tylko ja jeden podnosiłem głos w obronie dawnego planu. Kapitan B. nawet, który na nieszczęście był także obywatelem kowelskim, czy to uniesiony takiem samem uczuciem politowania, czy że uważał za rzecz roztropną ustąpić życzeniom głośno

objawionym przez swoich współziomków, był za pochodem do Kowla. Opierałem się takiemu postanowieniu, chociaż widziałem, że opór mój będzie nadaremny; ale chciałem przynajmniej, żeby wspomnienie zdania mego pozostało. Nakoniec kapitan B., widząc niezłomny mój opór, oświadczył iż się odłączy odemnie ze swoimi ludźmi i tymi, którzyby za nim iść chcieli, i przywiedzie do skutku wyprawę na Kowel, która, jak mówił, jest nadzwyczaj ważną i którą wypada zrobić przed wszystkiemi innemi. Napróżno wystawiłem mu, że stracimy czas na działania zupełnie podrzędne, że będzie można iść do Kowla później, kiedy główny cel zostanie osiągniony — wszystko nic nie pomogło. Wtedy powinienem był może wyjawić radzie plan mój w całości, może byłbym nim owładnął umysły jej członków, tak jak mnie samego był owładnął. Ale takie miałem wyobrażenie o potrzebie zachowania najgłębszej tajemnicy, iż myślałem, że tylko dowódzcy wojskowemu udzielić go wolno mi było. Wstrzymałem się więc, pomimo że hrabia Worcell i p. Godebski zasługiwali na zupełne zaufanie, wstrzymałem się, myśląc że milczenie było moim obowiązkiem, i jak gdyby z błędu w błąd wpadając, popełniłem zaraz błąd drugi, oświadczeniem, że składam prezesostwo rady, nie chcąc brać w żaden sposób na siebie odpowiedzialności za krok przeciwny memu przekonaniu. To powiedziawszy, opuściłem zgromadzenie.

Jakież było moje zdziwienie, kiedy ujrzałem obóz nasz podzielony na dwie partje! Nie wiem, jakim sposobem spory nasze doszły do wiadomości powstańców. To pewna, że ich niezgoda ztąd poszła. Jedni na których czele znajdował się hrabia Pociej, oświadczyli, że na głos mój podniosłszy chorągiew powstania, tylko mnie samemu będą posłuszni i nie pójdą do Kowla, jeśli ja tam nie pójdę. Inni grozili odłączyć się od nas i iść z kapitanem B. To, że spory nasze tak szybko doszły do uszu powstańców, służy mi może za usprawiedliwienie milczenia o szczegółach planu mojego, chociaż nawet podobieństwa takiej niebaczności nie przewidywałem. Takim samym sposobem byłby się i cały plan rozgłosił, a możnaż go było przywieść do skutku, gdyby

wszyscy o nim byli wiedzieli? Czy należało na to narazić się? Nie wiem. Niech każdy jak chce mnie sądzi; oddaję postępowanie moje w tej okoliczności bezwarunkowo pod surowy rozbiór.

Powróciłem na zgromadzenie rady, aby ponowić moje przedstawienia kapitanowi B. Nie chciał ustąpić na krok i pocieszał mnie zapewnieniem, że po wyprawie kowelskiej będzie z całych sił pracował nad przywiedzeniem do skutku mojego projektu.

Niewątpliwie ze wszystkich nieszczęść, jakie wydarzyć nam się mogły, niezgoda, przynajmniej podług mnie, była najsmutniejszem. Oświadczyłem więc, że lubo jestem przeciwnego zdania, przekładam jaką bądź wyprawę nad rozłączenie się, któreby nas osłabiło, tak, iżbyśmy się stali wcale nieużytecznymi, a ponieważ wyprawa ta jest koniecznym warunkiem zgody, pójdę do Kowla, ale po prostu tylko jako ochotnik, gdyż przewodnictwo rady bezpowrotnie złożyłem.

Hrabia Worcell zaproponował wtenczas nadać mi władzę nieograniczoną, prawie dyktatorską; to mogło zapobiedz działaniom, które uważałem za szkodliwe, a przy których się upierano. Byłbym może przyjął tę władzę nadzwyczajną, ale wykonywanie jej byłbym musiał rozpocząć od ustąpienia właśnie co do tej wyprawy kowelskiej, która przedstawiała mi się w tak czarnych kolorach. Przewidywałem tyle nieszczęsnych następstw, iż czułem się zupełnie zniechęconym i przestałem wierzyć w podobieństwo jakiego bądź ważniejszego powodzenia. Jakoż nie przyjąłem ofiarowanej mi godności.

Gdy tym sposobem nadzieje moje, iżby powstanie skutecznie działać mogło, zniweczone zostały, pozostało mi tylko zajmować się przyszłością.

Rozważyłem skutki rozproszenia się naszego i powziąłem wtedy pierwszy raz myśl wysłania reprezentacji na sejm. Jak to później się pokaże, powiodło mi się przywieść do skutku myśl tę, która miała swoje następstwa, która jeszcze je mieć może, którą słusznie czy niesłusznie uważam za istotną przysługę oddaną ojczyznie w ogólności, a w szczególności mojej prowincji, o której później powiem obszerniej.

Kiedy tę wyprawę kowelską już niezmiennie postanowiono, zajęto się stosownemi do niej rozporządzeniami. Kapitan B. wziął na siebie prowadzenie jej. Wybrał więc 200 konnych i 100 ludzi z piechoty, czyli wszystkich ludzi, którzy w naszem powstaniu byli najlepiej uzbrojeni, całą siłę, która sama jedna mogła zabezpieczać zgromadzone powstanie i pomagać rozszerzeniu się onego. Reszta naszych ludzi otrzymała rozkaz zostać w lesie, przysposabiać ładunki z niewielkiej ilości prochu, naprawiać kilka złych strzelb i t. p., słowem, urządzić się jak najlepiej, aby za powrotem wyprawy być gotową do dalszych działań. Hrabia Worcell wziął urlop na czas naszej nieobecności, w celu zasięgnienia wiadomości o wszystkiem, co nam wiedzieć potrzeba było.

Ruszyliśmy z miejsca. Jechałem obok kapitana B., który widząc mię smutnym i zamyślonym, usiłował mnie uspokoić.

— Za kilka dni — mówił — zaczniemy działać podług pierwszego projektu, a tymczasem ludzie nasi się uorganizują.

— Nie zobaczymy ich już! — odpowiedziałem.

— Dla czegoż nie? Zastaniemy ich i przystąpimy natychmiast do wykonywania twojego planu.

— Już będzie zapóźno; chwile upływają. Już straciliśmy dosyć czasu, czekając na rozkazy, których nie przysyłano, a teraz znowu czas marnujemy, bo wreszcie czegoż można się spodziewać z wyprawy kowelskiej? Idziemy tam tylko z powodu tego kapitana sprawnika, który zapewne na nas nie będzie czekał.

— Ale tam są magazyny — odpowiedział kapitan — a oprócz tego mam nadzieję, że zejdziemy niespodzianie Łaszewskiego, a wtedy rób co chcesz, pomimo największej chęci zadosyć uczynienia twoim życzeniom, powieszę go bez miłosierdzia. To podniesie umysły i zastraszy urzędników. Przykład jest potrzebny i trzeba go na nim zrobić. —

Nic na to nie odpowiedziałem; miałem serce ściśnione. Tak więc niszczono całą przyszłość. Dla czego? Dla smutnej

przyjemności powieszenia jednego łotra! Odtąd zdawało mi się, iż jestem pod przeważnem władaniem nieszczęśliwych okoliczności, których nie mogłem zmienić i raczej jako towarzysz z musu, niż jako czynny członek powstania.

Zacząłem rozważać w cichości projekt mój reprezentacji, zastanawiać się nad sposobami przywiedzenia go do skutku i oceniać następności. Im więcej się przekonywałem o bezużyteczności powstania naszego, tem bardziej przywiązałem się do myśli reprezentacji, która mi się wydawała jako ostatnia i jedyna sposobność służenia czynnie i użytecznie naszej sprawie. To przekonanie tak opanowało mój umysł, że dla wykonania tem spieszniejszego tej myśli byłbym natychmiast porzucił powstanie, gdzie mnie żaden obowiązek już nie zatrzymywał, gdybym był mógł usunąć się z honorem w wilją pierwszego spotkania się z nieprzyjacielem, a nadto nie wiedziałem, czy się nie wydarzy jeszcze jaka nieprzewidziana okoliczność, czy nie będzie można z niej korzystać dla wynagrodzenia straconego czasu i działania podług pierwszego projektu. Postanowiłem więc nie oddalać się, chyba w takiej ostateczności, kiedy najoczywiściej będę przekonany, że smutne moje przewidzenia na nieszczęście się spełniły.

Nazajutrz wieczorem byliśmy pod samym Kowlem. Noc była bardzo ciemna. Strudzeni długim pochodem, postępowaliśmy zwolna i w cichości, kiedy okrzyk: «Kto idzie!» wymówiony po rosyjsku, ostrzegł nas, że załoga miasta czuwa. Jeden z naszych powstańców miał przytomność odpowiedzieć po rosyjsku i Kozacy (było ich dwóch) nie domyślali się niczego. Owszem przywitali nas po swojemu i zapytali, zkąd idziemy? Pochlebiałem sobie, że będziemy korzystali z tej omyłki, że otoczymy Kozaków, że im nie dozwolimy przestrzedz załogi i że ją niespodzianie zejdziemy. Próżna nadzieja! Zaledwie ten sam, który im z razu odpowiedział, wchodził z nimi w rozmowę i wymienił najbliższą wieś, która była przy drodze, kiedy inny powstaniec, uniesiony niewczesnym zapałem, wystrzelił. Jeden Kozak spadł z konia, ale drugi uciekł w największym pędzie. Puściliśmy się za nim w pogoń, ale konie nasze były strudzone; wyprzedził nas o tyle, że miał czas przebyć most, który nas

oddzielał od miasta, i że zdążono ściągnąć pokrywające go deski. Wkrótce potem usłyszeliśmy bicie bębnów.

Wstrzymani tym sposobem przed mostem, widzieliśmy niepodobieństwo wtargnienia natychmiast do miasta, tem bardziej, iż zupełna ciemność nocy nie dozwalała nam zająć się naprawianiem onego. Jeszcze niepodobniej było przebyć w bród rzeczki płynącej pod Kowlem, mającej grunt bagnisty i przy brzegach moczary nie do przebycia. Cofnęliśmy się więc na wzgórek, odległy od miasta o kilka strzałów, w zamiarze czekania tam dnia.

Kapitan B. poustawiał forpoczty i rozłożył obóz po za bagażami, aby go zabezpieczyć od nagłego napadu; słowem, urządził wszystko tak, że byliśmy w pogotowiu do przyjęcia nieprzyjaciela, gdyby na nas uderzył, poczem zabraliśmy się do spoczynku.

Około północy wystrzał na naszej forpoczcie zaalarmował nasz obóz. W oka mgnieniu dosiedliśmy koni i pospieszyliśmy w miejsce zagrożone. Wnet spostrzegliśmy około stu Kozaków, którzy na nas niespodziewanie napaść chcieli. Widząc że się mamy na ostrożności, słaby tylko stawiali opór i po pierwszem starciu się z nami spiesznie wrócili do miasta. Ścigaliśmy ich, w nadziei że razem z nimi wpadniemy na most; ale i tym razem konie ich wyścignęły nasze, tak, iż Rosjanie znowu zdążyli kilka desek z mostu zebrać. Dowódzca Kozaków winien był życie tylko szybkości swego konia, którego nawet szablą musiał popędzać, bo ją w tej ucieczce zgubił. Powstańcy podnieśli ją; była to szabla honorowa ozdobiona krzyżem ś. Włodzimierza. Ofiarowaliśmy ją kapitanowi B. i powróciliśmy na dawne stanowisko.

Kiedy dnieć zaczynało, dwóch mieszkańców kowelskich pokazało się na naszych forpocztach. Gdy ich do nas przyprowadzono, powitali nas życzeniami, oświadczyli że Rosjanie się cofnęli i że mieszkańcy uważając nas za swoich oswobodzicieli, zapraszają nas do miasta. Pomimo ich zaręczeń, kapitan B. kazał ich trzymać pod strażą i zapowiedział im, że ich każe powiesić, jeżeli nas zwodzą. Po tem zagrożeniu powtarzali to samo zapewnienie. Natychmiast więc ruszyliśmy do miasta.

Zbliżając się do mostu, którego jednak z powodu pochyłości gruntu nie mogliśmy całkowicie widzieć, spostrzegliśmy na środku drogi stół zapełniony chlebem i solą. To zdawało się potwierdzać mniemanie, że Rosjanie istotnie się cofnęli i że mieszkańcy mogąc teraz swobodnie okazać nam swoje uczucia, użyli tego środka dla przekonania nas o swojej życzliwości.

Ale jakież było nasze zadziwienie, kiedy postępując dalej, ujrzeliśmy most obdarty z desek. Piechota pod dowództwem pana Szulca i Godebskiego przebyła go na belkach, ale rogatka miasta, blizko mostu będąca, była zamknięta, a Rosjanie ukryci w domach i za domami rozpoczęli rzęsisty ogień. Czy to skutek ich złego strzelania, czy wypadek trafu, czy łaska Opatrzności, dosyć, że strzały ich prawie nam nie szkodziły, podczas kiedy powinny były nas dziesiątkować. Blisko rogatki mieliśmy stu ludzi w ściśniętym plutonie, o dwadzieścia kroków dalej byliśmy skupieni na drodze w liczbie 200 konnych, i te dwie massy były zaledwie o 50 kroków od ukrytego nieprzyjaciela oddalone! Wszystkie strzały powinny nas były dosięgać i okropnie nas przerzedzić, a tymczasem ubito nam tylko jednego, a raniono dwóch i kilka koni. Natomiast kule poszarpały nam wszystkie chorągiewki przy lancach.

Nie wiedzieliśmy jak most ten przebyć, gdy wtem spostrzegliśmy po lewej stronie parkan z desek. W oka mgnieniu rozerwano go i rzucono deski na most. Były one tylko na cal grube, ale w braku innych trzeba było ich użyć, i jeszcze dziś nie pojmuję, jak taki słaby pokład wytrzymać mógł ciężar koni. To pewna, że wszyscy dostaliśmy się na drugą stronę mostu bez żadnego przypadku. Zrzucono natychmiast rogatkę i Rosjanie tak spiesznie zemknęli, żeśmy ich dopiero o 200 albo 300 kroków dalej uciekających spostrzegli. Przypuściliśmy na nich szarżę, ale nas nie czekali i pogoniwszy ich czas niejaki, wróciliśmy się do miasta. Znaleźliśmy tam tylko kilku Kozaków, którzy bojaźliwsi od innych, pochowali się po kątach i stali się ofiarą swego tchórzostwa.

Byłem wtedy świadkiem szczególniejszej walki. Znaleziono jednego Kozaka pod łóżkiem Żyda; wylazł on z tej kryjówki bezbronny, ale z odwagą, jaką strach nadaje najbojaźliwszym. Na tego, niezmiernie wysokiego Kozaka uderzył jeden z naszych, więcej od innych do bójki porywczy, mając tylko lancę w ręku. Czy to przez niezręczność powstańca, czy to że Kozak silnie się zastawił przeciw kruchej broni, dosyć że się drzewiec lancy złamał. Kozak, któremu lanca prawie nic złego nie zrobiła, rozjątrzony zaczepką, rzucił się na powstańca i pochwycił go za włosy. Wszyscy nasi ludzie otoczyli dwóch atletów, nie mięszając się do ich walki, chociaż podług wszelkiego podobieństwa powinna się była skończyć nieszczęśliwie dla naszego rycerza, zwłaszcza że Kozak równie był silny jak wysoki. Nie wiem, czy kiedy starożytni Grecy widzieli ciekawszą walkę zapastników swoich. Przez pół godziny pasowali się obadwaj bez stanowczego końca. Silniejszy, a może doświadczeńszy Kozak zdołał nakoniec pochylić naszego zapastnika i już miał podniesioną pięść dla zadania mu ostatniego ciosu w głowę, kiedy drugi nagle oderwał się od Kozaka i w chwili, kiedy myśleliśmy, że się już poddaje, z zadziwiającą szybkością wydobył z kieszeni nóż składany, jaki zwykle włościanie przy sobie noszą, otworzył go i pochwyciwszy jedną ręką za szyję Kozaka, który takiego manewru bynajmniej się nie spodziewał, drugą przerznął mu gardło. Kozak upadł śród powszechnych oklasków naszych ludzi. Wyznaję żem się oddalił z tego miejsca z uczuciem smutku i prawie zgrozy.

Ale głównej przyczyny naszej wyprawy, kapitana sprawnika, nie mogliśmy znaleźć. Zemknął on dniem pierwej ze wszystkimi urzędnikami swymi. Magazyny były oddawna wypróżnione, tak, iż wyprawa ta przyniosła nam w zdobyczy tylko kilka postawów sukna i kilka porzuconych w magazynie kotłów; bo należy oddać powstańcom naszym tę sprawiedliwość, żeśmy nawet nie mieli potrzeby zabraniać im rabunku. Brali tylko rzeczy należące do rządu, a o naruszeniu własności prywatnych ani myśleli. Rewizja magazynów zabrała nam dzień cały.

Ciągle niepokojony o los ludzi, których zostawiliśmy w lesie, czyniłem co mogłem, żeby przyspieszyć powrót.

Z tem wszystkiem dopiero za zbliżeniem się nocy opuściliśmy Kowel.*)

Niespokojność moja coraz się powiększała i stawała się nawet przeczuciem, na nieszczęście zupełnie sprawdzonem. Na drugi dzień zbliżając się do tego samego gródka, z któregośmy wyruszyli, słyszeliśmy rozchodzące się niepewne pogłoski o jakimś boju, stoczonym w okolicach mego miasteczka. W Gródku otrzymaliśmy o nim wiadomości pewniejsze, ale także smutniejsze. Spodziewaliśmy się jakiego posłańca z naszego obozu, ale ani jeden się nie pokazał. Dowódzcy przerażeni porażką, nie myśleli ani nas uprzedzić, ani się z nami połączyć. Posłaliśmy ich szukać i wnet przysłano nam doniesienie o następujących wypadkach: Dwutysięczny oddział rozmaitej jazdy rosyjskiej napadł niespodzianie na nasz obóz. Ludzie nasi bronili się długo, pomimo słabych środków obrony i dokazali tyle, że Rosjanie przekonawszy się o bezskuteczności swego zapału, straciwszy zresztą jednego z swych dowódzców, nie śmieli zapuszczać się w lasy i już się cofali, kiedy jeden z powstańców uniesiony zapałem boju, na głos zaczął wołać o ładunki. Odpo-

*) Muszę tu przytoczyć wypadek jeden, malujący dokładnie sposób postępowania urzędników rosyjskich. Dozorca magazynu mąki, jedynego, jaki w Kowlu był dobrze zaopatrzony, pozostał był w mieście i wyszedł naprzeciw nas z miną bolejącą, mówiąc że żona mu umiera. Posłaliśmy mu naszego lekarza, obeszliśmy się z nim bardzo dobrze i wchodząc w słuszność obawy jego o odpowiedzialność, jakaby na nim ciążyła po naszem oddaleniu się, zamiast żądania od niego kluczów, kazaliśmy wybić drzwi od magazynu. Nie mieliśmy jak na teraz potrzeby zapasów żywności; pilnować zachowania jej na miejscu było niepodobieństwem; do wywiezienia jej nie mieliśmy wozów; palić ją, zdawało nam się barbarzyństwem, tem bardziej, że mieszkańcy byli bardzo biedni. Postanowiliśmy więc rozdać ubogim zapasy mąki, przekonani, że jaki bądź rzeczy wezmą obrót, co raz wyjdzie z magazynu rządowego, to dla rządu zawsze będzie stracone. Skutek usprawiedliwił nasze przewidywania. Mieszkańcy ubodzy rozrywali co mogli, ale zaledwieśmy się oddalili, dozorca zamknął magazyn, podpalił go i zdał raport, że powstańcy spalili magazyn z całym zapasem mąki. Raport ten był mi przedstawiony, kiedy byłem w więzieniu, jako jedno z moich największych zawinień. W odpowiedzi mojej nie widziałem potrzeby oszczędzać magazyniera; wyjaśniłem całą okoliczność. Ale urzędnik nie był ukarany. Musiał się podzielić ze zgrają stowarzyszoną urzędników rosyjskich. Takiego podziału z kradzieży urzędnik rosyjski nie może odmawiać, jeśli nie chce ściągać na siebie strasznej odpowiedzialności i nieprzebłaganej i niszczącej go zemsty.

wiedziano mu nieroztropnie i także na głos, że ich już nie ma. Usłyszawszy to Rosjanie, uderzyli powtórnie, ubili co im wpadło w ręce, a resztę rozproszyli.

Po tym smutnym raporcie widzieliśmy jasno całą naszą niedolę. Powstanie nasze zeszło na 300 ludzi, pomiędzy którymi 200 konnicy, a jeszcze tylko na tę broń można było liczyć, bo piechota miała wprawdzie strzelby myśliwskie, ale nie dostawało jej amunicji. Niepopobna już było działać podług pierwszego planu, który byłby się powiódł kilkoma dniami pierwej; ale teraz, kiedy 2000 jazdy nieprzyjacielskiej znajdowało się właśnie w środku i w bliskości powiatów Pińskiego, Kobryńskiego, Rowieńskiego i Konstantynowskiego, gotowej do stłumienia wszelkiego powstania, o przyprowadzeniu go do skutku ani myśleć nie można było. Gdybyśmy byli poszli za pierwszym moim projektem, nieprzyjaciel byłby zastał na kilka dni pierwej powstanie w powiatach Pińskim i Kobryńskim już dokonane, byłby postępował naprzód tylko z wielką ostrożnością, nie byłby zniszczył naszego obozu, zabrał naszych zasobów, rozproszył naszych ludzi i byłby miał tyle do czynienia; że nie zdołałby nam przeszkodzić do prowadzenia do skutku reszty planu, albo byłby zmuszony rozdzielić swoje siły na kilka oddziałów, tak, iż prędzej bylibyśmy mu poradzili; gdy tymczasem nie mając przeciw sobie powstania w tych powiatach, silniejszy był, niż mu potrzeba było do stłumienia wybuchów, które dopiero byłyby nastąpiły. Mogliśmy wprawdzie iść do Pińska, ale czy po porażce naszego obozu byłby miał powiat Piński dosyć w nas zaufania, iżby powstał za zbliżeniem się naszem? Wałęsać się jeszcze czas niejaki, przyjmować nawet do powstania pojedyńczych ochotników, ofiary więcej bez żadnego użytku rzeczywistego, oto było wszystko, cośmy teraz uczynić mogli. I to wszystko byłoby doprowadziło tylko do ogołocenia prowincji z ludzi gotowych się poświęcić, z patrjotów, którzy mieli nam oddać nieocenione usługi, gdyby zwycięztwo jenerała Dwernickiego, albo inny jaki wypadek pozwolił później znowu liczyć na usiłowania Wołynia. Zależało więc wiele na tem, żeby ich nie kompromitować, aby mogli zostać w swoich domach i być pomocnymi w działa-

niach późniejszych, szczęśliwszych i lepiej niż pierwsze obliczonych.

Tak więc nie pozostawało nam nic innego, jak połączyć się, jeśliby to uczynić można było, z jenerałem Dwernickim. Oddzielał nas od niego korpus jenerała Rydigiera, mający 12,000 ludzi; ale ponieważ na teraz nic lepszego nie można było uczynić, zgodziliśmy się na ten projekt, w nadziei, że czy to siłą, czy zwodniczemi obrotami potrafimy dostać się tam przez kordon nieprzyjacielski. Ale nowe nasuwały się umysłom naszym trudności. Wykonanie tego projektu wymagało poruszeń szybkich; potrzeba było rzucić się w tę stronę niejako pędem, aby albo uniknąć nieprzyjaciela, albo napaść na niego z nienacka i utorować sobie drogę; potrzeba było ciągle niespodziewanie schodzić nieprzyjaciela. Ale jakże tego dokazać z naszą piechotą, która bez ładunków i bagnetów, więcej była dla nas przeszkodą, niż pomocą! Spóźniałaby nasz pochód, zostawiałaby za sobą maroderów, którzyby wskazywali drogę ścigającym nas Rosjanom, którą się przebijamy. Słowem, piechota nasza była stanowczą przeszkodą dla zamiaru naszego. Musieliśmy więc rozpuścić ją.

Długo się wachano; nakoniec następujące uwagi rozstrzygnęły rzecz przykrą, ale konieczną. Nasza piechota składała się prawie w całości z ludzi, którzy mogli spokojnie powrócić do siebie, bez narażenia się na odpowiedzialność, a nawet na najmniejsze śledztwa, już dla tego, że prześladowania dosięgały tylko szczególniej tych, z których można było ciągnąć jakie zyski, już że nieobecność pojedyńczych ludzi nie była ani dosyć długa, ani zbyt uderzająca, iżby na nią zważano, a w każdym razie mogłaby być wymówką rozmaitych zatrudnień, dowolnie usprawiedliwioną. Nadto sądzono, że jeśliby przyjazne okoliczności powróciły, prowincja raz w oczekiwaniu swojem zawiedziona, byłaby oględniejszą, trudniejszą do poruszenia, i że wtedy byłoby pomyślnem zdarzeniem, znaleźć w niej ludzi gotowych do rozpoczęcia dzieła. Bo w powstaniu przedewszystkiem stanowczy i ważny jest krok pierwszy.

Rozpuszczono więc piechotę do domów, a my ruszyliśmy dalej szukać korpusu jenerała Dwernickiego.

Przebyliśmy pięć mil bez żadnej przeszkody i mieliśmy po nocnym odpoczynku dalej ruszyć, kiedy młody wieśniak przybył do nas konno cwałem pędząc, ostrzedz nas, że Rosjanie idą za nami w pogoń. Znajdowaliśmy się na krańcu wielkiego lasu, gdzie łatwo nam było zająć korzystne stanowisko, aby w razie potrzeby zmierzyć się z liczniejszym nieprzyjacielem i natychmiast zwróciliśmy się ku lasowi. Wieśniak nie wiedział o żadnych szczegółach, powiedział nam tylko, że go wysłał ekonom wsi, przez którąśmy dniem pierwej przechodzili, aby nas o tem najspieszniej uwiadomić. Czekaliśmy przez dwie godziny, ale nie mogliśmy się doczekać mniemanego nieprzyjaciela.

Myśląc nie bezzasadnie, że Rosjanie może ślad nasz zgubili, albo że nie dosyć liczni, nie śmią ścigać nas zbyt żywo, ruszyliśmy dalej i około wieczora zatrzymaliśmy się o cztery mile ztamtąd w bliskości wsi zwanej Hulaniki. Wybraliśmy podobnie jak to uczyniliśmy rano, takie stanowisko, w którem mogliśmy stawić czoło siłom przeważniejszym, niż były nasze, i gdzie konie mogły się pożywić i odpocząć. W tem miejscu kończyła się leśna okolica kraju. Nazajutrz mieliśmy wejść na równinę, która się rozciąga aż do granicy austrjackiej i gdzie myśleliśmy, że nam wypadnie może pospieszać i staczać utarczki z nieprzyjacielem. Potrzeba więc było tutaj ludziom i koniom dać dostateczny odpoczynek.

Rozmawialiśmy o dalszych projektach, jakie każdemu na myśl przychodziły, kiedy znajomy nam młodzieniec przybył do mnie z biletem od pułkownika M. Znajdowało się w nim tych kilka słów:

— Starajcie się rozejść; nie ma teraz nic do robienia. Jenerał Dwernicki złożył broń w Galicji. —

Był to dla nas cios okropny! Nasz projekt upadł; celu, do któregośmy dążyli, już nie było. Uwiadomiłem o tem tylko dowódzców. Oddaliliśmy się na ustronie dla naradzania się nad naszem położeniem i dla ułożenia, co nam dalej czynić wypadało. Znajdowaliśmy się istotnie w smutnem

położeniu. Na prawo mieliśmy przeciw sobie stu Kozaków stojących na załodze w Łucku; na lewo tych, których wypędziliśmy z Kowla i którzy tam powrócili na drugi dzień po naszem oddaleniu się; za sobą mieliśmy 2000 jazdy, która obóz nasz rozbiła i za nami szła w pogoń; nakoniec przed nami znajdował się korpus cały jenerała Rydigera, który działać mógł wyłącznie przeciw nam, bo jenerał Dwernicki nie stał mu już na przeszkodzie. A cały nasz oddział składał się tylko z 200 ludzi!

Ściśle biorąc, można było utorować sobie przejście, rzucając się na prawo, albo na lewo, albo w tył. Ale dokąd zmierzać? Wracać w głąb prowincji, pobudzać do małych poruszeń, któreby natychmiast były stłumione, byłoby to samo, co ściągać na prowincję niepotrzebne nieszczęścia, a może zbezwładnić ją na czas długi. Iść do Galicji? Nie było nic łatwiejszego, mogliśmy tam dostać się bez wystrzału; ale schronienie się jenerała Dwernickiego było zbyt świeże i nie można było wiedzieć, jak się Austrja z wojskiem obejdzie, czy, jak się tego można było obawiać, nie wyda ludzi Rosji. W takim razie ginęlibyśmy nędznie i bez żadnego pożytku. Wystawiać na tortury rosyjskie tylu walecznych było myślą tak straszną, że nawet na niepewność wydania nie należało się narażać. Zresztą gdyby nawet o losie jenerała Dwernickiego rząd austrjacki był coś stałego postanowił i gdyby to postanowienie do naszej wiadomości już było doszło, możnaż było mieć jakąż pewność, że postępowanie Austrjaków do nas będzie zastosowane?

Korpus przybyły z Polski mógł być do Polski odesłany, jeśli chciano szanować neutralność, gdy tymczasem my przybywając z Wołynia, mogliśmy być oddani Wołyniowi i nie spodziewaliśmy się być postawieni na równi z tym korpuscm dla korzystania jako część onego z udzielonej mu opieki. Można było wprawdzie zgłosić się na granicy w charakterze oddziału korpusu jenerała Dwernickiego i mieć pewność, że jenerał ten nas się nie zaprze; ale nie wiedząc, jak z nim samym Austrjacy postąpili, a zatem nie mając środka zniesienia się z nim, nie mogliśmy być pewni, że nam się uda taki wybieg. Zresztą wyznaję, że nam projekt taki wtenczas

na myśl nie przyszedł. W końcu myśl, że nasi ludzie, jako do ludności pospolitej należący, nie będą odpowiedzialni, a w przyszłości przydać się mogą — myśl, która dla nas już pierwej była powodem do rozpuszczenia piechoty, mówiła za podobnem postąpieniem z jazdą.

Z drugiej strony wiedziano już, jak rząd austrjacki obchodzi się z obywatelami, którzy bez broni i pojedyńczo szukają schronienia w jego kraju: zostawiano ich w spokojności.

Był to więc jedyny sposób dostania się do Austrji, jaki obiecywał pewne osobiste bezpieczeństwo.

Tak więc, aby uniknąć bardzo podobnych do prawdy nieszczęść, nie pomnażać niepotrzebnie liczby ofiar, zostawić w prowincji rdzeń, około którego przyszłe powstanie mogłoby się tworzyć i obrócić dla siebie jedyną znaną i pewną korzyść, postanowiono, że powstańcy do ludności gminnej należący, powrócą do domów, a znaczniejsi i skompromitowani oddzielnie i jako prości obywatele przedzierać się będą do Galicji.

Sądzę, że w ówczesnych okolicznościach czasu i miejsca, nic innego nie było do zrobienia. I tu nie bronię mojej sprawy. Powiedziałem poprzednio, że uważałem się za należącego do powstania dopóty, dopóki nie będę widocznie przekonany, że powstanie nie będzie mogło przynieść prowincji żadnego użytku. Ta chwila zaś nadeszła, i co bądź powstańcy byliby postanowili, byłbym zawsze udał się do Galicji, aby ztamtąd przywieść do skutku mój projek reprezentacji.

Ściśle biorąc, nasz dowódzca wojskowy byłby się mógł dostać z oddziałem do Zamościa, jak to uczynił później waleczny Różycki, ale byłoby to powiększyło wojsko polskie tylko o 200 ludzi, przybytek bardzo mały w porównaniu korzyści, jakieby wyniknąć mogły z powstania tych ludzi w prowincji, wtenczas, kiedyby inny korpus na Wołyń przysłano. A któż wtenczas mógł myśleć, że już innych usiłowań nie będzie, że wszystkie powstania będą musiały chronić się na obce ziemie? Schronienie się do Galicji nie było wprawdzie tak niebezpieczne, jakeśmy sądzili, ponieważ po-

wstania innych prowincji znalazły tam przytułek i nie były Rosjanom wydawane, ale wkroczyły one do Galicji później, kiedy już wiedziano, jakie było obejście rządu austrjackiego z korpusem jenerała Dwernickiego. Wtedy już nie miano przyczyny obawiać się rządu austrjackiego, bo ten wydawał tylko broń, nie ludzi. Inne powstania mogły się odważać na przejście granicy, bo miały pewność, że nie będą wydane; gdy tymczasem my w kilka dni po schronieniu się jenerała Dwernickiego, do granicy się zbliżając, tej pewności mieć nie mogliśmy, i raczej przewidywaliśmy gorsze, niż dobre nas przyjęcie.

Zresztą wkroczenie do Galicji w massie, w czem miałożby być pożyteczniejsze? Ludzie nie byliby zaraz krajowi służyli, czyby do Galicji weszli, czyby na Wołyniu pozostali, a jeśli naprzeciw temu kto powie, że z Galicyi wielu potrafiało uciec i powrócić do Warszawy, to pozostali na Wołyniu toż samo pojedyńczo mogli uczynić. Nie potrzeba, zdaje się, porównywać pożyteczności jeńców austrjackich z mieszkańcami, co powrócili do domów i gotowi są powstać w pomyślniejszych okolicznościach.

Przyjęto więc wzmiankowane postanowienie i każdy puścił się w stronę sobie najdogodniejszą. Kapitan B., panowie Moszyński, Cytryna i ja, pojechaliśmy razem i w kilka dni potem byliśmy w Galicji.*) Tylko kapitanowie Szulc

*) Już była noc, kiedyśmy przybyli do wsi, której właściciel był nasz znajomy. Postanowiliśmy zajechać do niego. Chcąc dostać się na dziedziniec jego dworu, potrzeba było przebyć mały most bez poręczy, wzniesiony nad rowem suchym i nie bardzo głębokim. Wjechaliśmy na ten most i już byliśmy w połowie, kiedy służący właściciela nadbiegł i poznawszy nas, ostrzegł że na dziedzińcu są Kozacy. Potrzeba było zawrócić, ale jak? Przejechać most było to samo, co oddać się w ręce Kozaków, a zawrócić nie mogliśmy, bo most był bez poręczy, bardzo wązki, a bryką naszą nie mogliśmy nawrócić na miejscu. Wszakże należało to koniecznie uczynić. Mieliśmy nadzieję, że nam się to uda przy pomocy ramion naszych, ale kiedyśmy w najlepsze pracowali, koń jeden pociągnął za mocno, bryka nam się z rąk wymknęła, wywróciła się i rzeczy nasze powpadały do rowu. Na szczęście Kozacy nie usłyszeli odgłosu tego przypadku. Podniósłszy brykę i zawróciwszy ją, pozbieraliśmy nasze rzeczy i po cichu zeszliśmy na stronę, zkąd zaprowadzono naszą brykę do stajni, gdzie ją ukryto. Moi towarzysze poszli za nią, aby wiedzieć, gdzie ją znaleźć, w razie gdyby tego niespodzianie potrzeba wypadła, poczem mieli się ze mną zejść. Mnie zaś zaprowadził ten sam służący, który

i Zakrzewski zmienili swoje postanowienie i chcieli powrócić do siebie. Obadwaj stali się ofiarami swojej nierozropności. Pierwszego spotkali Kozacy i rozsiekali go, drugi

nas przedtem o Kozakach uprzedził, przed domek niepozorny, gdzie będziemy mogli noc przepędzić, a sam pobiegł do moich towarzyszów. Zastukałem do drzwi, otworzono je i ujrzałem żyda. Słowa nie mówiąc, pozwolił mi wnijść, zamknął za sobą drzwi zewnętrzne i otworzył inne, prowadzące do izdebki brudnej i obrzydliwej. Już widok żyda nie podobał mi się. Jakże dopiero zraziło mnie, kiedy w kącie izdebki ujrzałem na mizernem łóżku rozciągnionego człowieka, który mnie po rosyjsku zapytał:

— Kto wy takoj? —

Myślałem że jestem zdradzony. Jednakże nie tracąc ducha, chciałem w tej przygodzie zaradzić sobie, wydobyłem krucicę, którą miałem przy sobie, i odezwałem się do tego człowieka:

— Nie uczynię ci nic złego, ale żadnych pytań i milczenie! —

To powiedziawszy, cofnąłem i stanąłem przy drzwiach, ażeby jednego i drugiego mieć na oku, czekać przybycia moich towarzyszów i z nimi spólnie wydobyć się z tej zasadzki. Ale człowiek ten zamiast przestraszyć się, jak tego się spodziewałem, sięgnął ręką pod poduszkę, wydobył pistolet i rzekł z uśmiechem znowu po rosyjsku:

— I ja mam pistolet! —

Ta wesoła mina zmięszała mnie, jednak nie na długo.

— Wiem — odezwał się tenże sam człowiek, zawsze po rosyjsku — wiem kto jesteście, ale nie bójcie się niczego i usiądźcie. —

Gdy na te słowa nic mu nie odpowiedziałem i z miejsca się nie ruszyłem, on dalej rzekł:

— Jestem dawny sługa familji właściciela; mam zwyczaj mówić po rosyjsku, ale nie mniej dla tego jestem dobrym Polakiem. No, panie hrabio, proszę usiąść! —

Widząc mnie jeszcze względem siebie niepewnego, rzekł:

— Może się pan boi tego żyda? Nie słusznie by to było, bo on jest mi slepo posłuszny i wie, żebym go ubił, gdyby słowo przebąknął. Czy pan chce widzieć tego dowód? —

To mówiąc, rzucił chustkę aż pod moje nogi i obracając się do żyda zawołał:

— Gałganie aportuj!

Żyd padł na czworaka, zbliżył się do chustki, pochwycił ją zębami i odniósł mu ją. Ten rzucił mu ją powtórnie i zawołał:

— Gałganie waruj! —

Żyd przyległ do ziemi jak pies myśliwski.

— Tu! lekko! —

Żyd postąpił nieco.

— Dalej! —

Żyd znowu sunął się naprzód.

— Aportuj! —

Żyd pochwycił chustkę jak pierwej.

Wyznaję że to szczególne widowisko wybiło mi z głowy na chwilę pamięć przykrego mego położenia, tem bardziej, że żyd wykonywał te rozkazy wesoło i śmiejąc się. Widziałem, że to nie było skutkiem brutalskiej tyranji,

pokutuje w Tobolsku za szlachetne uczucia swego polskiego serca.

Taki wzięło koniec powstanie, które pewnie byłoby sprowadziło skutki ważne i stanowcze, gdyby nie było stłumione prawie pierwej jeszcze, nim wybuchnęło. Niektórzy pisarze zawyrokowali, że Wołyniowi brakowało ducha, ale pisma te, jak wszystkie ogłoszone w zamęcie namiętności, nie zdołają przeżyć spokojniejszej rozwagi i zimnego zastanowienia.

W tem wiernem opowiadaniu można było widzieć, że okoliczności miejscowe, brak broni i amunicji, a większy jeszcze doświadczonego dowódzcy, brak, któremu zaniedbano zaradzić, chociaż prosiliśmy jenerała Dwernickiego o kilku oficerów; rozgłoszenie zawczesne projektów tego jenerała, oddalenie się od nas dwóch dowódzców, którym oddaliśmy nasze zaufanie, nakoniec chęć poczciwa, ale nieroztropna pospieszenia na głos spółziomków dla pomszczenia ich krzywd prywatnych i żądza rozpoczęcia dzieła od popisywania się, bez względu na to, czy taki czyn rozgłośny przyniesie sprawie jaki użytek, położyły rozwinięciu się powstania wołyńskiego nieprzebyte zapory.

Kiedy pomnę na wszystkie te trudności, zdaje mi się

---

ale raczej zabawą, wymyśloną przez te szalone głowy. Uśmiechnąłem się, co gospodarz mój spostrzegłszy, zawołał:

— Otóż tak lubię! Staraj się pan rozerwać się, schowaj swój pistolet i bądź spokojny! —

Moje podejrzenie już prawie zniknęło, przybliżyłem się do łóżka i podałem mu rękę. Porwał ją, ucałował kilka razy i widząc mnie rozczulonego, rzekł:

— Szczęśliwy jestem, że to pana zabawiło i odjęło przykre podejrzenie. Pokażę panu wszystko, co umiemy. —

Potem obracając się do żyda, zawołał:

— Nuże gałganie, pływaj; —

Żyd rzucił się brzuchem na podłogę i zaczął wykonywać ruchy człowieka pływającego.

— Daj nurka! — zawołał jego mistrz.

Żyd rzucił się pod łóżko i zniknął.

Nie mogłem się wstrzymać od śmiechu na widok tej ostatniej komendy. Wtem też i towarzysze moi nadeszli.

Nazajutrz o świcie wyjechałem dalej, zachowując wspomnienie dziwaka, który mnie tak dobrze przyjął i takim sposobem rozerwał. Przytoczyłem tu to zdarzenie dla swojej szczególności.

że i te drobne wypadki są snem, tak były trudne de wykonania. I w rzeczy samej powstawać prawie bez środków bronienia się, a tem mniej mając środków uderzenia na nieprzyjaciela, powstać, będąc otoczonymi szpiegami i bagnetami nieprzyjaciół, pod grośbą męczarni, które wymyśleć mógł sam tylko jenjusz Kaliguli albo Mikołaja — słowem, poświęcić wszystko, co może do życia tego przywiązywać; podnieść oręż prawie bez nadziei pomyślnego skutku i jedynie aby nie być głuchym na wołanie ojczyzny — jest to więcej jak nabyć prawa do odpowiadania na płonne oskarżenia najzupełniejszem milczeniem.

KONIEC.

Centralna Biblioteka Miejska w Katowicach

UNIWERSYTET WARSZAWSKI BIBLIOTEKA Filia w B-stoku

157583

DRUKIEM F. A. BROCKHAUSA W LIPSKU.